

Ostatnie dziewięć: prawa miękko, płynnie, śpiewaj! a lewa ciężko, z siłą, do dechy! I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, mocniej, głębiej — już!

...Jak oberwanie chmury... Szum gęsty... Oklaski... Wilgoć na karku. Kropelka po kropelce strużkami spływa pot. „Za szybko przeleciałem finale...”

Wstawaj! Koszmar. Nie widzę nic. Oczy wbite w podłogę. „Co powie Tata?” Podnieś łeb! Oklaski. Jak szczyryk, raz po raz, zgięcie i wyprost, zgięcie — wyprost... i już stoję w kulisach. A tam na sali wciąż szum i krzyki: Bravo! Bravo! Więc wypychają z powrotem. W reflektory. Nie chcę. Naprawdę nie chcę. Ale już zginam się do ziemi. „Pamiętaj, nie za nisko...” I już ktoś coś mówi, ktoś ściska, całuje, ktoś klepie po ramieniu — i nagle...

Oczy — jakby mówiły: dziękuję. Jej oczy. I twarz w obramowaniu ciemnych włosów. Teofan Grek.

Patrzę i patrzę — oczy uśmiechają się. Do mnie? Tak! Do ciebie, baranie! Stoję osłupiały — a Grzegorz już ją pociąga ku mnie:

— Ewa, to Andrzej."

— Wiem — i podaje mi rękę.

Na palcu migoce pierścionek, właściwie taka obrączka. Złota. Z cieniutkimi łańcuszkami. Na końcu każdego chyboce maleńka perełka. Tych perełek — pięć albo cztery?

— Cudownie pan grał... Cudownie... Wszyscy jesteście cudowni

Całuje Zośkę. Jeszcze niby uśmiecha się do mnie — ale już ujmuje Grzegorza za rękę.

Odchodzą. Czarny sweter, czarne obcisłe spodnie, na biodrach metalowy pas. Grzegorz kładzie dłoń na jej ramieniu. Kroczy dumny jak paw podskubany na krakowskie wesele!

W zeszły wtorek powiedział: „Poderwałem dziewczynę. Z polibudy”. Myślałem: wiadomo, John Cage — muzyka serialna. A tu nic z „serii”. Mozart. Finezja i wdzięk.

Wokół gwar, szarpia, ciągną, ściskają, Zośka całuje mnie w oba policzki:

— Jędreku, na medal!

— Stary, ty już możesz spokojnie spać.

— Za szybko leciałem.

Widzę Tatę.

— Panie profesorze...

— Cóżżeś tak przegalopował finale? Gonił cię kto?

— Nerwy, panie profesorze...

— To nie „wyścig pokoju”.

Tata gderze, ale czuję, że jest ze mnie rad. Zerkam jeszcze raz na estradę: czarne skrzydło Steinwaya, nad nim białe popiersie, czerwone róże — i... słyszę właściwe tempo finale. Wściekły na siebie za ten galop, wybiegam na ulicę.

Słońce. Ciepło. Rozpinam płaszcz. Dopiero marzec, a już wiosna. W obu gablotach afisze:

„Eliminacje polskich kandydatów do Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina”.

Ile razy spojrzę na gabloty — coś drapie w gardle: „To mój afisz...”

Poproszę w sekretariacie, żeby dali jeden taki. Wyślę ojcu.

Twarz słońcem spalona, z krzywdą zasianą w każdej bruzdzie... i przy drodze do szkoły wierzby rosochate, takie swojskie, takie nasze — jak z plakatu, jak z pocztówki — po prostu kicz!

Kiedy pojedę? Może latem... Chociaż na kilka dni. Teraz muszę ćwiczyć, ćwiczyć aż do konkursu. Tak mówię, jakbym już siedział w kadrze... I robi mi się gorąco. Ze strachu.

Latem mój stary nie będzie miał szkoły, tylko robotę w polu, w sadzie. Będę wychodził z nim o świcie, trochę pomagał w obrzędku. A w południe Małgośka przyniesie nam mleko, zimne, chłodzone w studni. Usiądziemy pod ulęgałką. Ojciec za nic nie daje jej ściać, bo... pod tą gruszą siedział Kościuszko, a pod tą drugą Kołłątaj Hugo... Będziemy pić to mleko z jednego garnka. I wtedy ojciec popatrzy na mnie po swojemu, bruzdy mu się rozciągną, oczy zamglą, głową potrząśnie i powie z wyrzutem, jakbym to ja był wszystkim winien:

— Że też matka tego nie mogła doczekać.

A potem, jak to on zawsze, że muszę zostać nauczycielem muzyki, bo inaczej z tego grania nie wyżyję. I żeby mi takie różne fiu-bździu wybił z głowy.

Krakowskie Przedmieście. Drzewa jeszcze w pąkach, ale przy Dziekance już rozkwitają takie żółte... po miastowemu chyba — forsycje.

Dokąd oni mogli pójść? Zajrzałem do Hopfera. Jakiś długowłosey, bezbrzeżnie smętny facet nad baryłeczką wina mamrocze wiersze i bazgrze długopisem po serwetce. Obok parka w czułym uścisku gapi się na niego z politowaniem. Nie, tu ich nie ma. Może poszli „Pod Retmana”? Przebiegam po zebrach na drugą stronę ulicy.

I nagle, na środku jezdni, po raz drugi zabrzmiało mi w uchu finale, tak jak powinno brzmieć.

Zdumienie. Dopiero co siedziałem przy fortepianie, sala wypełniona ludźmi — koncert kojarzy mi się zawsze z wieczorową porą — a tu samo południe, słońce, miasto pełne życia, podniecone wiosennym ciepłem. Nikt nie wie, że teraz właśnie, gdzieś tam za kulisami Filharmonii, ważą się moje losy.

Studentki na skwerku wystawiają twarze do słońca, mrużą z lubością oczy. Zbiegam Bednarską w dół. W otwartym oknie kamieniczki ruda dziewczyna w mini myje szyby. Lśnią smukłe nogi jak nieskończenie długa fermata. Dziewczyna śpiewa głośno i fałszywie: „Ach, co to był za ślub!” Tak śmiesznie wymawia „ślub”... Uśmiecham się. Uśmiecham do niej, do przechodniów, zadzieram głowę jak głupi i śmieję się do obłoków, które wiatr przegania po niebie. I oto odkrycie: nad miastem też jest niebo!

Gdzieś czytałem, że jak wybuchła wojna i było zaciemnienie przeciwlotnicze, to nad Warszawą nagle ukazało się ludziom niebo usiane gwiazdami.

Wojna. Dla mnie kilka lekcji historii. A ojcu zmieniła życie. Stał się innym człowiekiem.

Marmurowa, szcerniała już, splukana deszczem tablica: „Pamięci 29 patriotów zamordowanych przez hitlerowców w dniu...”

Czasem czyjeś ręce kładą świeże kwiaty, czasem płoną znicze — pamiętaj: to miasto leży na grobach, to miasto jest cmentarzem, choć tak pięknie rozkwita.

Srebrzyste bazy strzelają z kosza w górę. Nad nimi pomarszczona twarz wiejskiej babiny. Zapach wiosny miesza się z wonią spalin.

„Pod Retmanem” ich nie ma. Dokąd więc mogli pójść? Wracam schodkami w górę. Wokół absydy Świętej Anny, w gałęziach kasztanów, między lepkiemi pąkami nawołują się wróble. Lekko mi, rześko, radośnie. W każdej mijanej dziewczynie szukam smukłej sylwetki, włosów ciemnych, uśmiechniętych oczu... Widzę ją.

Patrzy na mnie, a później odwraca się i odchodzi z Grzegorzem. Wciąż ją widzę.

Dobrze! Czemu nie?! Zrobię ten cholerny ubaw! Pokażę im, że gwizdzę! że mam to wszystko gdzieś! Komu pokażę? Im? Wybrańcom losu? A może... sobie?

Tak, sobie! I jemu! Jemu przede wszystkim! Och, jak go nienawidzę!

Całe mieszkanie — do góry nogami! Z dużego pokoju wywaliłam wszystko, żeby było miejsce do tańca. Samograj pod jedną ścianą, stół pod drugą, na nim wino, soki, woda, kanapki, paluszki i ciastka. Z wytwornego salonu, w którym Pan Profesor przyjmuje lepszych gości, zostały tylko obrazy, brokatowe zasłony, no i słynna klepka pałacowa, zerznięta z Białego Domku w Łazienkach. W moim — przyćmione światło, miękkie siedziska, puffy, poduszki na ziemi, „kącik westchnień”. Mogą sobie tu gadać, odpoczywać... Tylko jego gabinet nie tknięty. Zastrzegł to sobie z góry. Jak tylko zaczęłam przebąkiwać o tej prywatce.

Nawet jest fajnie. Trzymam się jak złoto. Rozlewam wino, puszczam płyty, tańczą sobie, gadają, a ja krążę od Sasa do Lasa.

Oczywiście bez przerwy o muzyce:

— ...musi być grą. Matematyką. Czystą grą wyobraźni...

— ...szkoła polska! w filmie, w teatrze, pianistycie...

— ...to są takie modne słówka, to nic nie znaczy!

— ...Nie! To jednak coś znaczy. Styl! Właśnie takie, a nie inne podejście do klawiatury, brzmienie długie, śpiewne, naturalny dźwięk, miękkość ręki...

— ...O rany! Nieboszczyk Sztompka ci się kłania!

— Sztompka?! Paderewski!

A pod samograjem:

— ...ja ci mówię, że to wynika z fałszywie pojętej biografii: że niby chory, że słaby, że nostalgia za ojczyzną... że nieszczęśliwie zakochany... I ta salonowa „kobiecość”! Chopinetto! Gównno prawda! Podejmuję się zrobić program, w którym będzie męski jak diabli.

Mocny, burzliwy!...

— Czy wy już o niczym innym mówić nie umiecie?

Zwariować można!

— Zdrowie kadry! — ktoś się nagle wrywa. Robi się szum. Wszyscy podchodzą do stołu. Wznoszą w górę kieliszki.

— Zośka, poproś Tatę — Grzegorz zawsze umie się znaleźć.

— Dobrze, mogę poprosić.

Otwieram drzwi do jego pokoju. Siedzi w fotelu, pod portretem Chopina, z książką w rękę, wyelegantowany — tylko zdjęcie zrobić — sztucznie zdziwiony, jakby się nie spodziewał, co go czeka.

— Tata, kadra cię wzywa!

Wchodzi, a oni już skandują:

— Zdro-wie pa-na pro-fe-so-ra!

A ja go nienawidzę! Nienawidzę!

— Żebyście mi wstydu nie zrobili, łajdusy! Podnosi kieliszek i uśmiecha się tym swoim „czarującym” uśmiechem.

Kiedy wrócił do siebie, poczułam, że się rozklejam. Wszyscy go uwielbiają! Skoro taki cudowny, to dlaczego mama go zostawiła i związała aż do Kanady? Pojadę do niej. Koniec, kropka. Ostatecznie mam tam brata, to też się w życiu liczy.

Żłopię wino. żeby powstrzymać głupie łzy. Mgła na oczach. Kto jest przy mnie? Jędrak!

Zośka... Nie martw się. Jeszcze świat o tobie usłyszy.

— Nie martwię się.

— Bardzo fajnie grałaś.

— Wiem.

Podeszła Ewa i pociągnęła Jędrka do tańca.

Śmieszny! Zmieszany jak dziewczyna. Nie umie tańczyć. Moja chodząca klawiatura! Moje чудо! Jak on się źle czuje w tym granatowym „wyjściowym” garniturku! I kołnierzyk mu przeszkadza, i krawat! Raz po raz kręci długą szyją. Uwielbiam go w zwykłych dżinsach i w tamtym rudym swetrze, w którym przychodził do „Stodoły”, to jest prawdziwy Jędrak, a nie jakiś taki przebieraniec-muskaniec jak dziś. Aż niezgrabny, taki wysoki i chudy, strach, że się złamie, chociaż jest nieźle zbudowany, widziałam na wuefie.

Jak on tańczy! A niech sobie będzie niezgraba, mnie się i tak podoba. Najbardziej ze wszystkich na świecie. I ten wiecznie sterczący „kogut”, i nieprawdopodobnie jasne oczy. Cały jest jasny. Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. Może nie każdy ma się czym chwalić przed tym lusterkiem, ale on na pewno jest wewnątrz jeszcze jaśniejszy od swoich ślepiów. Kocham go! Może mnie wreszcie dzisiaj pocałuje? Żebym chociaż to miała! Ale na pewno nie. Jak niefart, to niefart.

Trudno. Niech będzie, co ma być. Nie wytrzymam dłużej. Tyle czasu się znamy. Na pewno mnie lubi. Ostatecznie jest równouprawnienie. Jak sam nie pocałuje, to powiem mu dzisiaj, że go kocham! Kocham! — Dolałam sobie wina.

— Daj spokój, Pekińczyk, nie pij tyle — usiłuje przyhamować mnie Grzegorz. — Zalejesz się — mówi do mnie, a kikuje, jak Jędrak tańczy z jego dziewczyną.

— No to co, że się zaleję?

— Potrzebne ci to?

— A dlaczego by nie? — i znów sobie dolewam. — Nienawidzę go!

— Kogo?

— Pana profesora waszego!

— Co ty?

— Nie mogę patrzeć na niego. Piszę podanie, żeby mnie przenieśli do Gołąbeczki. Albo... albo w ogóle wyjadę!

— Zośka! Przecież Tato cię nie punktował. Ani mnie, ani Andrzeja.

— Gadanie! Sprzedał mnie! Przehandlował za was! Za swoich pupilów!

— Mieliliśmy odpaść?

— Nie, ale ja też nie powinnam.

— Pewnie. Zagrałaś largo rewelacyjnie. Tym mezzoforte to mnie po prostu zastrzeliłaś. W nutach jest piano, wszyscy grają piano i... źle grają.

— Szkoda, że nie siedziałeś w jury!

— Może w następnym zasiądę! Będiesz pierwsza na boisku!

— Za pięć lat? Cyganka mi wywróżyła, że młodo umrę.

— Idiotka! Przestań pić!

Wyrwał mi kieliszek. Wino się rozlało! Na tę pałacową klepkę! A mówiłam, pokryć chemolakiem! A on nie! Pszczeli wosk i karnauba... Ma szmergla na punkcie tej klepki. Na pewno mi zabroni urządzić prywatki. Grzegorz próbuje wycierać serwetką. Wściekłam się zupełnie:

— Odczep się! Czegoś się przypiął do tych desek Zobacz lepiej, jak ci Jędrak narzeczoną podrywał! Wytarłam rozlane wino. Może nie będzie plamy, jak się porządnie zapastuje. Ostentacyjnie nalałam sobie

nowy kieliszek.

Zaczęli się wygłupiać. Parodiować Breakoutów, Niemena, Dąbrowskiego, Rosiewicza. A potem uprosili Jędrka, żeby zaśpiewał coś swojego. Wziął gitarę i uderza luźne akordy. Zgasiałam światło. Tylko z mojego pokoju wpada trochę złotego blasku.

Śpiewa swoją piosenkę „Olga”. Do słów Harasymowicza. Strasznie ją lubię. I nagle słyszę... zamiast „Olgo!” śpiewa: „Ewo — Ewo...”

Coś mnie kolnęło w lewą pierś. No tak, „Zośko, Zośko”, to by było głupio, nie pasuje, a Ewa pasuje. Aż mnie skręca z wściekłości. A on śpiewa, skubany:

— Ewo — Ewo —

Po niebie obłoków powoje

Stroją księżycowe pokoje

I kwitnie błękitnie

Drogi mlecznej drzewo —

Ach, Ewo!

Wszyscy patrzą na Ewę, a ona nagle chwieje się, blednie i chwyta Grzegorza za ramię. Jędrak urwał... Co jej jest? Zamyka oczy, jakoś tak dziwnie sapie. Pstryk. Zapalam światło. Wszyscy rzucają się ku niej.

— Co ci jest? Co się stało?

Otwiera oczy.

- Nic. Głowa. Strasznie mnie boli głowa.

Zerknęłam na Jędrka. Zmieszany, czerwony, jakby to, co się stało, było jego winą. Zabieram ją do łazienki. Przycupnęła na brzegu wanny. Moczę chusteczkę. Przykładam do jej skroni.

— Lepiej ci?

— Trochę.

— Co to jest?

— Nie wiem. Głowa. I mdło.

— Zwymiotuj.

— Nie mogę.

— Dużo piłaś?

— Prawie nic.

— A może... Jak ją o to zapytać?

— No, wiesz... Zrozumiała:

— Co ty?! Nie. Na pewno nie.

— Dam ci proszek. Łyknęła, popiła wodą.

— Zaraz ci będzie lepiej.

Patrzę w lustro i widzę ten swój głupi pysk: pyzate policzki, zadarty nos, skręcone kudły na oczach. Pekińczyk! Czy taka mogła wejść do kadry?! Czy taką można kochać?!

A z tyłu na wannie — wiotka, długa, ciemnowłosa princessa, ruska księżniczka! Chwyciłam taty Old Spice'a i siknęłam aerozolem na lustro. Koniec.

Przysiadam obok niej na stołku. Co jeszcze mogę zrobić? Powachluję ją.

— Powiedz, z Grzegorzem... to u ciebie na serio?

— Tak. Bardzo.

Oddycham z ulgą.

— Kochałam się kiedyś w Grzesku, ale wiesz, tak niepoważnie. Raz się z nim tylko całowałam.

Spojrzała na mnie i okropnie się nastroszyła. Głupia, Myślała, że był dziewczycą?

— Wiesz, ja to mam pecha — zasuwam dalej. wszyscy boją się taty i obchodzą mnie z daleka. Czasami to nawet chciałabym być sierotą.

— Głupoty mówisz.

— Teraz to dopiero wpadłam.

— Tak?

Lepiej od razu powiedzieć. Jeśli porządna dziewczyna, to mi świństwa nie robi.

— Nie domyślasz się?

Patrzy na mnie tymi swoimi krowimi ślepiami! Jak, można się nie domyślić!

- W Jędrku się teraz kocham. No... w Andrzeju. On jest cudowny. Prawda?

- Nie wiem... Chyba tak...

- Ale on w ogóle nie widzi we mnie kobiety. Traktuje mnie jak kumpla swojego. A mnie szlag trafia. Powiedzieć mu?

— Chyba nie... Nie wiem...

Nic nie wie, cielęcina. Ale ma rację, lepiej Jędrkowi nic nie mówić. Dlaczego ja jestem dziewczyną? Chłopak to może rwać baby jak śliwki, i jest okay. A dziewczyna? Same nieszczęścia na jeden tapir. Wracamy do pokoju. A oni znów trują o muzyce:

— Dla mnie Dinu Lipatti...

— Michelangeli!

— A dla mnie Richter. Tylko Richter! Po jego koncercie byłem zupełnie załamany. Nie chciało mi się grać. Bo po co? Po co się męczyć?! I tak nigdy nie będę grał tak jak on!

— Technika! Temperament!

— Temperament? Nie można grać Apassionaty Beethovena bez temperamentu, ale nie można też grać nokturnu Chopina z tak zwanym temperamentem.

— A technika? Psu na budę, jeśli nie służy Muzyce...

— No, właśnie, Richter to...

Grzegorz jest tak zaperzony, że teraz dopiero dostrzega Ewę.

— No i co? Już dobrze?

— Tak.

— Co to było?

— Nie wiem. Nieważne.

Rozglądam się za Andrzejem.

— Gdzie Jędrak?

— Zmył się — oświadcza ironicznie Grzegorz i zerka spode łba na Ewę. Czyżby i on był zazdrosny? A ta głupia jak na złość nuci z nieodgadnioną twarzą:

Ewo — Ewo — po niebie obłoków powoje...

A kiedy już wszyscy poszli, rozkleiłam się na dobre. Nic nie sprzątałam, zostawiłam cały bałagan, nawet się nie umyłam, nie rozesałam tapczanu, tylko kapcie zdjęłam, schowałam łeb w poduszkę — taką jeszcze przez babcię haftowaną — i beczę jak głupia. Myślałam, że tata już śpi i nie słyszy, ale nie! Usłyszał. Zawiązuje szlafrok. Przygląda siwe włosy. On zawsze musi być czarujący! Nawet zębów nie zostawił w szklance. Stoi nade mną. Przystałam płakać i patrzeć z nienawiścią. A on do mnie:

— Smoluszk... Co ty...

Doprowadzi mnie do szału tym „Smoluszkem”!

— Nie jestem żaden Smoluszek! Jestem stara krowa! Mam dziewiętnaście lat! Dziewiętnaście lat!

— Coś ty piła?

— Samogon!

— Zośka!

— Nienawidzę cię!

— Myślałem, że zachowasz spokój. I godność.

— W dupie mam godność! Sprzedałeś mnie! „Jak pan profesor mojego, to ja wysoko punktuję pańskich...” Rączka rączkę...

— Idiotka!

Chodzi po pokoju i widzę, że usiłuje zachować spokój. I „godność”. Ale mówi z drżączką w głosie:

— Dlatego nie lubię uczyć dziewczuch. Chłopak umiałby się opanować. A tu jak nie romanse, to histeria. Albo nieszczęśliwa miłość, a jeśli szczęśliwa, to zaraz dziecko... i talent diabli biorą!

Trochę mi złość przeszła. Jak mogłam tak brzydko o nim myśleć? Wiem, że jestem jego oczkiem w głowie, że dla mnie nie związał się już z żadną kobietą. A może jeszcze ciągle kocha mamę? Ee... czy oni w ogóle potrafią kochać? Zaczęłam z lekka kpić:

— Talentu nie ma. Romansu nie ma. I dziecka nie będzie. Została tylko miłość. Nieszczęśliwa...

I znowu pochlipuję. A on mnie gładzi po włosach i pyta:

— Grzegorz?

- Coś ty?! Już dawno nie! Stracony dla świata.

- ?!

- Ma narzeczoną. Widziałam, że zerkałeś na nią, nie udawaj. Taka w czerwonej sukience. Z polibudy. Usiadł przy mnie z uwodzicielskim błyskiem w oku. Pewnie, Ewa każdemu się podoba. „...Gdybym był młodszy, dziewczyno...” — powie czy nie powie?

— Gdybym był młodszy, dziewczyno... Powiedział! Roześmiałam się.

— Co mi tam! Takich jak Grzegorz mogę mieć za pięć groszy pęczek... Ale Jędrzek jest jeden na świecie.

— Andrzej?! Masz, babo, placek! Z orzechami...

— Ale co z tego? W ogóle nie patrzy na dziewczyny! Wczoraj to jeszcze była prawda, ale dzisiaj...

„Ewo — Ewo —”

— I dobrze, że nie patrzy — tata już wsiadł na swego konia: — Artysta, jeśli chce do czegoś dojść, może kobiety zaledwie tolerować. O ile nie przeszkadzają w pracy. A on się wspaniale rozwija. Nie ma lekcji, żeby mnie czymś nie zaskoczył. Ma szanse... Może nawet być pierwszy.

— A mówiłeś, że Grzegorz jest lepszy.

- Technicznie lepszy. Wcześniej zaczął grać. Od początku miał dobrych nauczycieli. I przyzwoity instrument. Ale... Andrzej czuje styl, jakby się z nim urodził. I gra tak, że robi ze słuchaczem, co chce. To rzadki dar.

Znów mi żaluzje zamokły:

— Tato... a ja... ja naprawdę jestem takie okropne beztalencie?

- Kretynko! Czy myślisz, że chciałbym cię uczyć, gdybym nie wierzył, że będą z ciebie ludzie?

Kłamie! Żeby mnie pocieszyć?! Czy też wmówił sobie, że mam talent, no bo jakby jego jedyna córka miała nie mieć talentu! I wierzy, że tak jest.

— Chcesz znać prawdę?

— Tak.

— Jesteś zbyt... oryginalna, żeby się wszystkim podobać. Miewasz pomysły trafne i... zaskakujące. Tak. Ale robisz jeszcze mnóstwo głupstw. Choćby to largo. Fatalne! Trzeba grać to, co jest w nutach. Dokładnie. Nie wymądrzać się! Ale wyrośniesz z tego, zobaczysz, Tylko przestań histeryzować. I weź się do roboty. I nie kochaj się co godzina w kim innym. No i umyj się, wyrzuć pety...

Mówi — „pety”, że niby taki kumpel!

— Otwórz okno. I pozwól ludziom spokojnie spać w nocy.

Pociągnął mnie za kudły:

— Życie nie kończy się na tym konkursie, Smoluszk.

A ja znów beczę. I przytulam się do niego. I czuję że go bardzo, ale to bardzo Kocham.

Żeby tylko nie zapeszyć. Wszystko się nieźle układa. Z tego, co mówił Tata, mogę się domyślać, że mam szansę. Teraz muszę pracować jak szatan. Dobrze, że mieszkam z Andrzejem. Twardy, niezmordowany, ma ten swój chamski upór i to mi daje ostrogę. Może tylko niepotrzebnie się zakochałem. Co robić — serce zna, co to pany. Ale Ewa okazała się mądrą dziewczyną i rozumiem, że nie możemy się teraz ciągle spotykać.

A jednak wkurzył mnie z tą piosenką. Tyle było dziewczuch, dlaczego zmienił imię na „Ewa”? Nie jest zazdrosny, to śmieszne, ale nie lubię takich szpasów.

I jeszcze ona prawie mdleje! Kiedy Zośka zabrała ją do łazienki, spytałem prosto z mostu:

- Podoba ci się?

Zmieszał się, szczeniak.

- Nie może się nie podobać.

I stoi jak kto głupi.

- Mówisz coś?

— Nie...

— No to okay!

Odwróciłem się na obcasie i zacząłem gadać o Richtercie. Kątem oka widzę, jak się zmywa. W środku zabawy! O takie głupstwo! Dziwadło...

Szkoda Zośki. Wydawałoby się, że córka profesora to ma największe szanse, a tu taki pech. Pewnie zabrakło jej kilku punktów, może nawet jednego. Głupia sprawa. A gorsi od niej — przeszli.

Ach, jak ja będę teraz pracował! I wiem, że nie wystarczy grać. Trzeba główkować. Znaleźć do każdego utworu inny klucz, „rozszyfrować strukturę”, „mieć pełną świadomość formy” i temu podobne mądrości.

Wczoraj ostatni raz zgodziłem się zostać u niej na całą noc. A swoją drogą fajnie, że ma chatę. Chociaż podobno właścicielowi nie przedłużyli kontraktu i za rok wraca z Algierii. Ale kto by się

przejmował, co będzie za rok! Teraz jest fantastycznie. Kawalerka na Starówce, przebudowana ze strychu. Mini-przedpokój, mini-łazienka z wszelkimi szykanami, mini-kuchnia — wszystko mini — za to tapczan — maxi! W ogóle — pokój na medal! Tylko rysownica Ewy sterczy w nim jak grzmot. Okno na całą ścianę, widok bomba: Wisła, zielony brzeg Pragi, kościół — lipny gotyk, ale z daleka fajny, a na lewo klasztor Dominikanów w ogrodzie — barokowe wieże i wieżyczki Św. Jacka. Obkułem się tej historii kultury. Rok po egzaminie i jednak coś tam zostało. Pod oknem, „Algierczyk” skubany, zbudował podest, na nim postawił ten tapczan-maxi, przykryty biało-rudymi futrzakami. Wchodzisz na to łóżko po stopniach, jak król, kładziesz się — i masz cały widok za oknem jak na dłoni. Zimą podobno trochę więcej, ale co tam się jeszcze do zimy może przytrafić! A w nocy, jak miesięczek świeci — to nic, tylko słuchać „Księżycowej”! Cholernie romantycznie. Ledwie wejdiesz do tego pokoju i zobaczysz to łóżko pod oknem i jego odbicie w ogromnym lustrze w rzeźbionych złotych ramach — a już chce ci się robić te rzeczy. Dobrze, że Ewa jest porządną dziewczyną. Miała przede mną tylko jednego, chyba nie kłamie. W każdym razie zapowiedziałem, żeby kolegów nie zapraszała. Sicher jest sicher.

Nigdy się tak dotąd nie kochałem. Jesteśmy sami. Możemy być sami. Swobodni. Żadnej cici, babci, mamy, która by wściubiła nos! Nie ma to jak dziewczyna sierota.

Tak ją kocham, że się zdecydowałem. Obudziliśmy się w środku nocy z krótkiego snu:

— Chcę, żebyś była moja.

— Przecież jestem.

Przytuliła się do mnie.

— Ale tak naprawdę. Na wcięż. Żebyśmy wzięli ślub. Jak mi się „jako-tako”, po japońsku, powiedzie gramy Mendelssohna.

Przywarła jeszcze mocniej, ale zaraz się odsunęła.

— Muszę skończyć studia. I gdzie byśmy mieszkali? Wiesz, że ta chata niedługo mi się kończy — powiedziała trzeźwo.

— Zapijemy się do spółdzielni.

— I poczekamy parę lat... A w ogóle, czy ja dostanę pracę w Warszawie? Milion problemów.

Swoją drogą, jestem trochę rozczarowany. Pierwszy raz w życiu mówię dziewczynie o ślubie, a ona reaguje tak mało romantycznie... Ale to może i lepiej. Małżeństwo to firma, którą trzeba budować na rzetelnych podstawach. Ja też nie poszedłem na żywioł. Spontaniczny był tylko wybór momentu, w którym powiedziałem, że chcę, aby została moją żoną.

Miałem parę dziewczyn, niektóre nawet próbowały ciągnąć mnie do ołtarza, ale mnie się to wydawało śmieszne po prostu. A gdy zjawiała się Ewa, zaczęło mi się jakoś samo o tym myśleć. Przeleciałem Fromma „O sztuce miłości”; nie we wszystkim się z nim zgadzam, ale wiele sformułowań trafia do przekonania. Na tej podstawie i na podstawie własnych doświadczeń poddałem Ewę, choć nic o tym nie wiedziała, różnym testom — wynik wypadł pomyślnie. Nad wyraz. Ma kwalifikacje na żonę. Na moją żonę. Spełnia wszystkie i warunki: miłość, dobór seksualny, prawdziwa przyjaźń, to znaczy pragnienie dobra ukochanej osoby, pełna akceptacja osobowości partnera wraz z jego wadami i słabościami, pozytywny stosunek do jego pracy, zdolność do porozumiewania się, do rozładowywania napięć, akceptacja autonomii partnera, jego wolności. Bredzę: jest śliczna, mądra i ma poczucie humoru...

I dalej bredzę: kocham ją.

No, z poczuciem humoru może nie jest najlepiej. W ogóle wolałbym, żeby w niej było więcej radości. Ale to pewnie dlatego, że często czuje się źle.

I teraz też — siadła na tapczanie, skurczyła się.

— Co ci jest?

— Nic, nic... trochę niedobrze.

— Mdlí?

— Tak. Wezmę proszek.

Patrzę na kępkę gęstych, mocno skręconych włosów, na smukłe uda — śliczna jest na golasa! Patrzę, jak narzuca szlafrok, schodzi z tapczanu — i nagle trwoga:

— Ewo, a może...

Że mi też to wcześniej do głowy nie przyszło! Ale ona zdecydowanie zaprzecza:

— Nie, nie, to nie to.

— Na pewno?

— Tak bardzo się boisz?

Łyknęła proszek, popiła wodą i zaczęła przyglądać się swojej twarzy w lustrze. W rzeźbionej ramie, w światłocieniach porannego słońca subtelny owal jej twarzy, cieniutkie, niemal niewidoczne brwi — słowo daję, renesansowy portret, jakiś van Dyck czy coś z tej branży. A Jędrzek powiedział: „Bizantyjska ikona”.

— Jesteśmy za młodzi na dziecko — mówię twardo. — I jeszcze teraz przed konkursem.

— A ja bym chciała...

— Nie bądź egoistką — mówię. A ona:

— Nie bój się. Na pewno nie to.

— Więc co?

— Nie wiem.

— Ewa...

— Nie męcz mnie. Wielka rzecz, że czasem mnie głowa boli.:

Już na nią nie patrzę. Już jej nie słucham. Polonez As-dur. Ćwiczę palce. Bębnię po parapecie okna szesnastki w lewej ręce. Stuknęła furta klasztoru, przywieźli mleko zakonnikom. Czas do roboty.

Wirtuoz też musi żyć jak mnich. Przestrzegać ścisłej reguły: módl się i pracuj! I do tego jeszcze musi tyrać con amore, jak to kiedyś wyłożył nam Tata.

Staram się o tym nie myśleć, ale jest we mnie nieustanny niepokój, niby uporczywe chrobotanie, jakby kornik chrupał nocą stary, wyleniały szeszlonek. Taki kornik, co to się nazywa fachowo „kołatek”. Wiem powinnam pójść do lekarza, do porządnego lekarza, zrobić wszystkie badania... Ale boję się. Po prostu się boję. Może jakoś przejdzie. Przecież właściwie to nic mi nie jest. Tyle jest na świecie prawdziwego cierpienia. Głupio robić problemy z tego, że mi się czasem w głowie kręci. Najgorzej, jak to się dzieje przy ludziach; na wykładzie, na zajęciach albo tak jak ostatnio — u Zosi. Grześ chciał mnie poznać ze swoimi kolegami — a ja mu zrobiłam taki wstyd. Wszyscy na pewno pomyśleli, że jestem w ciąży.

Śliczna była ta piosenka z moim imieniem. To dobrze, że się przyjaźnią Grześ z Andrzejem. Myślę, że i ja się z nim zaprzyjaźnię, bo zwierzał mi bardzo osobiste sprawy. A wydaje się, że jest nieśmiały... Sam na świecie, tak jak ja. Jak ja? Ja już nie jestem sama. Odkąd mam Grzesia.

Oczywiście, pragnę największych sukcesów dla mojego chłopaka, ale... nie wiem dlaczego — gra Andrzeja bardziej mnie poruszyła.

Często teraz płaczę. Rozczulam się nad sobą obrzydliwie. Nienawidzę tego, a jednak poddaję się tej ckliwości.

Dotykam brzegu wanny. Chłód. Zośka karmi mnie proszkami. I już wanna jest trumną — leżę w niej cała w bieli, w kwiatach, w blasku świec, w kadzidłach, grzmia organy... nie! wiolonczela, jakieś rzewne adagio... Jak na ślubie. Grześ klęczy przy trumnie, trzyma mnie za martwą rękę, szlocha, „Ewo — Ewo —”. Śmiać mi się chce i płakać. Bo nie da się odegnać myśli, że umrę, że miłość nasza skończy się na cmentarzu.

Wczoraj był u mnie. Dobrze nam jest ze sobą! Tego nie sposób wyrazić. Nie znajduję na to słów. Dlaczego jedno wytarte słowo określa zarówno to, co jest między mną i Grzesiem, jak i na przykład „zabawy” na Prywatkach, gdzie każdy z każdym, jak popadnie, w wannie, na chodniku i pod stołem. Żal mi tych dziewczyn i chłopców. Zwłaszcza dziewczyn. Okrutnie się okradają. Po takim starciu nie sposób chyba już przeżyć wielką prawdziwą miłość. Twierdzą, że ona nie istnieje, i dlatego to robią. Głupcy! Żałośni głupcy!

Obudziłam się pierwsza. Wysunęłam się z objęć Grzesia. Śpi. Patrzę na jego twarz, na mocno zarysowany podbródek z dołeczkiem, ładnie wykrojone usta, kształtny, duży nos, gładkie, brązowe włosy, których nawet sen nie zmierzwił... Zarzucił ramię nad głowę. Mam ochotę pocałować kępkę ciemnych włosów pod pachą... Mój mężczyzna!

Boję się tylko jednego: że w naszej miłości nie żadnej „walki klasowej”, mezaliansu, skłóconych rodzin „Romea i Julii”, „Trędowatej”, niezgodności charakterów, poglądów — nic, żadnych konfliktów,, możemy żyć tak po prostu szczęśliwi? Czy to się stanie z czasem nudne?

Przysuwam się do okna. Wyplukany deszczem poranek. Słońce lśni na szybach, liże czerwone dachy. Z gałęzi sfrunął szpak — znika za wieżą kościoła. Drzewa w pąkach, niektóre już zielone. Przez ogród idzie zakonnik w białym habicie. Dzwoni sygnaturka.

Grześ się obudził. Przytulił mnie do siebie i mówi żebyśmy wzięli ślub.

Wielkie wzruszenie i — zrobiło mi się niedobrze, mdło, głowa — koszmar! Nie umiem mu nawet powiedzieć, jak się cieszę, jak bardzo tego pragnę... Mówię o kłopotach ze studiami, z pracą, z mieszkaniem, a przecież chcę powiedzieć zupełnie co innego: krzyczeć z radości, że my to mamy, i że tylko to jest ważne.

Wstaję, biorę proszek, patrzę na fotografię mamusi. Ale ona nic pomóc nie może. Widzę w lustrze swoją twarz dziwnie zmienioną.

Później już do tego nie wracamy. Zajęłam się śniadaniem. Grześ mówi coś o swoim graniu, ale to niezupełnie do mnie dociera, narasta niepokój, uporczywe chrobotanie, gorąca fala strachu.



Muszę to sobie wybić z głowy wielkim młotkiem. Jak to zrobić? Jej twarz na klawiaturze, twarz Madonny Teofana Greka. Nie el Greca, a takiego ruskiego Greka. Od ikon.

Tłukę koncert f-moll. Nieskończoną ilość razy, ciągle tę samą frazę. I nie mogę się skupić. Widzę jej twarz. Dlaczego? Dlaczego tak się stało? Nigdy o tym nie myślałem. I właśnie teraz. I właśnie tak...

Grzegorz... Muszę to w sobie zdusić. Muszę. Już się za dużo odkryłem. Po co zaśpiewałem tę piosenkę? Dlaczego mówiłem jej rzeczy, których nigdy nikomu... o mojej mamie...

— ...mama postanowiła, że będę grać, jeszcze zanim się urodziłem, ale ojciec nie miał pieniędzy, żeby mnie kształcić na artystę. „Wszystko sprzedaj, a mnie ucz” — tak mu podobno powiedziałem.

Przerwała taniec. Czy dlatego, że rozmawiamy, czy że tańczę okropnie? Stoimy przy oknie. Ona w czerwonej sukience — duży dekolt, złoty cieniutki łańcuszek a szyi, wąskie długie rękawy, perełki migocą na palcu... Ikona! Ukląkłbym, gdybym się ludzi nie wstydził.

— „Wszystko sprzedaj, a mnie ucz” — powtarza. — To ładne...

Uśmiecha się jak tam, w Filharmonii. Te same błyski oczach. Ironii czy sympatii?

— Ile miałaś wtedy lat?

— Pięć, może sześć. Mój ojciec jest ze wsi. Chłop. W czasie wojny w stalagu — to był taki obóz dla szeregowców — zdobył wykształcenie i został po wojnie nauczycielem w podstawówce. Ale dobrze pamięta biedę w której wyrósł. Muzyka dla niego to nie praca. Zresztą chyba po nim właśnie odziedziczyłem zacięcie do muzyki. Ma absolutny słuch. Grywał na skrzypcach po zabawach, ślubach, pogrzebach. „A bo to można z tego mieć chleb?” — kłócił się z mamą. Ale mimo to uczył mnie. Chociaż mu ciężko było. Zawsze mamie ustępował. Jednej tylko mamie. Może dlatego, że mama nie była ze wsi. Bo tak to jest bardzo uparty.

— Wszystko sprzedał?

— Tak, ale nie wtedy. W dwa lata później, jak mama zachorowała.

Oczy ma szare? Zielone? Rzęsy na metr! Dobrze, że nie kapie z nich tusz, że nie ma tych kresek okropnych... chyba się wcale nie maluje.

— To musi być wielka radość dla nich... teraz.

— Został mi tylko ojciec.

— A gdzie mieszka?

— Daleko. Wieś Wygoda, poczta Pszczonów, powiat Końskie. Tam się urodziłem i tam umarła mi mama

— Ja też jestem sama...

„Ja też jestem sama” — tak powiedziała. Sama?

A Grzegorz? Kim dla niej jest Grzegorz? Mój najlepszy przyjaciel. Mieszkam z nim. Korzystam z jego fortepianu. A może u niego za tydzień, za dwa będzie inna? I znów powie: „Jędreku, poznaj moją dziewczynę”...

Nie... Czuję, że nie. Wiem, że nie. Że tak się nie stanie.

Więc dlaczego tak zaśpiewałem? Dlaczego zmieniłem imię? Nie miałem prawa tego zrobić. A jednak zrobiłem. Nie mogłem się powstrzymać. Odczułem nagle, kiedy zabrzmiały pierwsze akordy, że dla niej napisałem tę piosenkę. Że nie ma, nie było i nie będzie żadnej Olgi. Jest tylko Ewa. Ewa. Ewa.

„— Ewo — Ewo...”

Po niebie obłoków powoje...”

Serce nie może być silniejsze od łba. Tylko skąd wziąć wielki młotek?

Ewa odprowadza mnie na Okólnik. Mieliśmy jeszcze trochę czasu, więc zaciągnąłem ją do Saloniku Chopinów na Krakowskim. Trochę głupio, że dotąd tam nie byłem, że nie byłem w pokoju, gdzie on koncertował, nie stanąłem przy oknie, z którego na bruk runął jego fortepian, aż „jękły głuche kamienie”. Tylko czy to mi pomoże w zrozumieniu, dlaczego ta muzyka jest tak cholernie polska? Nie wierzę! Ćmoje-boje. Tylko granie, tylko mrówki na pięciolinii. I chorągiewki.

Trzy stare fortepiany, sztychy, portrety, meble stylu biedermeier. Okno w tiulach. Staję przy jednym z nich. To pewnie z tego... runął. — Podchodzę do fortepianu... Śmieszny, salonowy instrument! Czy mam sobie wyobrazić, że on tu siedzi i gra? Mam o nim myśleć per „Frycek”? Po to tu przyszedłem? Nienawidzę tej czulej, egzaltowanej poufałości, z jaką się zwykło o nim mówić. Ewa długo wpatruje się w portret. Ulega nastrojowi. A ja zupełnie nie potrafię się wzruszyć. Tak na zawołanie.

Wychodzimy. Spacerujemy po dziedzińcu Akademii, jątrzy na nas zła, brutalna twarz kondotiera. I nagle ogarnia mnie mój strach. Dobry znajomy. Najchętniej nie poszedłbym na lekcję, w ogóle, uciekłbym gdzieś na koniec świata.

— Żeby z piekła nie wyszedł!  
— Kto? Tata? — pyta Ewa, bo właśnie o Tacie była mowa.  
- Ten, kto wymyślił konkursy. Żeby to się w ogóle nie odbyło!  
- Byłbyś nieszczęśliwy, gdyby się nie odbyło.  
- Każde wyjście na estradę to dla mnie koszmar. A co dopiero konkurs.  
- Jesteś bardzo opanowany. W ogóle tego nie widać.  
— No to co, że nie widać? Miesiąc przed koncertem już mam w sobie ten strach.  
— Póki nie zaczniesz grać.  
— Nie, dopiero po pierwszej sypce: jak się sypnę, wiem, że mam już to z głowy. Dopiero wtedy zaczynam grać spokojnie.  
Spoglądam na zegarek.  
— O rany! Spóźnię się. Cześć!  
Jeden cmok i już dają dyla w Traugutta.

Uwielbiam naszego woźnego, pana Jana. Za to, że jest taki ważny, że tak się zna, tak się przejmuje, że wydaje sądy z absolutnym przekonaniem i że, o dziwo! prawie zawsze ma rację.

Lubi podsłuchiwać, jak gramy, choć niewiele można skapować przez podwójne drzwi. Często widzę, jak dyskretnie uchyla zewnętrzne. Teraz też stoi pod klasą skrzypiec i słucha czyjegoś piłowania. Po chwili macha ręką, jakby się od muchy opędział.

— Jak Boga kocham, nic z tego nie będzie, nic nie będzie!

— Panie Janie, niech pan teraz posłucha mnie - mówię pół żartem, pół serio. I wchodzę do klasy.

Gram balladę f-moll. Czuję, że Tata niezadowolony. Ale on ma ucho! Gdy tylko usiłowałem przeforsować coś, co wydało mi się interesujące, zaraz przerywał!

— Nie graj przeciwko sobie.

A potem ciągle mnie gasił:

To jeszcze nie to. Linie melodyczne tu się głęboko skryły. Ale ty musisz je wydobyć. Musisz usłyszeć, że to brzmi polifonicznie.

Wiem, że ma rację, i wiem, że nie potrafię tego zagrać. Aż się spociłem ze złości na siebie. Na szczęście etudy poszły mi lepiej. Tata powiedział nawet, że „nieźle”, co jest u niego najwyższym komplementem. ;

- Nieźle. Całkiem nieźle.

Wyszliśmy z klasy razem z Tata. Pan Jan daje mi znaki, że jest „git”, że mam w tej szkole co robić. Naprawdę słuchał, skubany! Głupio, ale sprawiło mi to frajdę. Nawet większą niż pochwały samego Pana Profesora.

Pojechaliśmy z Grzesiem nad Wisłę. Miał wolny dzień, a ja urwałam się z zajęć. Po prostu poszłam na węgry. Nieczęsto się teraz widujemy, więc radość była tym większa.

Na skraju lasu, na wielkiej polanie okolonej dębami, zaczęliśmy się bawić w Gałczyńskiego:

— I wiosną też?

— Też.

— I kiedy świeci słońce?

— I kiedy pada deszcz!

Wybuchamy śmiechem i mówimy razem:

— I kiedy gubisz parasolki!

Pomyślałam sobie wtedy o wszystkich naszych głupich kłótniach, gniewach — gdyż po bezchmurnym początku poczęły nie wiadomo skąd gromadzić się kłębiaste cumulusy...

- Już nigdy nie będziemy się kłócić, dobrze?

- Dobrze. Nigdy. Aż do następnego razu.

Chciałam koniecznie zobaczyć kwitnące jabłonie. Przecież jest maj! Więc zaczęliśmy szukać sadu. Idziemy jakimiś opłotkami, wyboistą drogą, między polami młodziutkiego żyta, mijamy podmokłe łąki, usiane kaczeńcami, w rowach niezapominajki — i nagle, na pagórku, rozłożyste, osypane białym kwieciem drzewo! Pewnie grusza. Pod biało-zielono-błękitnym namiotem zjemy śniadanie!

Wyciągnęłam kanapki z bryndzą posypaną czerwoną papryką — a tu zaczęły na nas spadać zielone, puszyste kłębuszki. Liszki! Więc i my musimy spadać. Pogapiliśmy się jeszcze na kwitnące cudzie i wróciliśmy nad Wisłę.

Wysoki brzeg. Zbiegamy ze skarpy w dół, na plażę. Wiatr! Furkoczą czerwone spodnie, czarna bluzka rozpięta się i fruwa wysoko nad głową. Zdyszani biegiem przewracamy się na piasek. Bije serce. Czyje? Moje? Twoje?

Rozmigotana w słońcu woda. Rzucamy patyki, przyglądamy się, jak płyną.

Nagle zagarnia nas smutek. Panta rhei. Czyli, jak mówi mój asystent: „Pantarejew”. Wszystko mija. Już nigdy nie powtórzy się ta chwila, gdy padaliśmy zdyszani na piasek. Smutek opuścił nas równie nagle, jak przyszedł.!

— Ewa-Ewa-Ewa-

— Tak...

— Żałuję, że nie umiem się modlić.

— O co chcesz się modlić?

— Żebyś nie chorowała. Żebyś mi była zdrowa.

— A ja się modłę, żebyśmy zawsze byli razem.

Jaki świat jest inny — gdy zamiast po nim chodzić, dotykać go stopami — wtulamy się w ziemię.

Jaki inny jest świat — gdy zamiast brodzić wśród traw deptać po nich i patrzeć na nie z góry — zanurzamy w nich głowy, a one łaskoczą policzki, muskają wargi, wplątują się w nasze pocałunki.

Trawy ogromnieją w tej bliskości, wyrastają ponad nas jak dobrze jest wtedy chłonać nieskończone bogactwo kształtów, barw, lśnień, szelestów, bzykań, brzęczeń —

Ukryci wśród wysokich pni sosnowych pod dachem kołyszących się koron z prześwitem nieba pośrodku jesteśmy jednością

i jedność tworzymy

wszystko pulsuje

gwar owadów

szelest traw

kołysanie drzew

słońca migotanie

ziemia przyjmuje nasz uścisk

i niebo — niebo — niebo —

ptak krzyczy razem z nami!

A potem wszystko ucisza się uspokaja nasycia kolebie płyniemy na obłoku w stanie nieważkości motyl siada ci na dłoni poruszasz nią lekko motyl odfruwa twoja ręka przyptywa do mojej splatają się nasze palce jesteśmy szczęśliwi bezgranicznie szczęśliwi.

Żyję. Wiem, po co.

Czułbym się bardzo nieszczęśliwy, gdybym zgodnie z życzeniem ojca wylądował kiedyś jako nauczyciel muzyki. Nie mogę w sobie odkryć talentów pedagogicznych. Muszę wprawdzie dorabiać do stypendium, ale korepetycje nudzą mnie śmiertelnie. Czekam na Rysia w swojej klasie, spóźnia się jak zwykle.

Mógłbym na niedzielę pojechać do ojca, ale to jednak prawie dwieście złotych. Na jeden dzień... Może po egzaminach uda mi się wykroić chociaż ze trzy dni. Przrzekam sobie, że tym razem nie będę mu się sprzeciwiał. Po co się kłócić. Ale zawsze sobie to obiecuję, a potem mówię swoje. Na każdy temat mamy inne zdanie. Nie umiem się powstrzymać od wyrażania swojego, choć wiem, że niepotrzebnie go drażnię, że tu już nie chodzi o poglądy, a o to, że ja, jego syn, krew z jego krwi, kość z kości, też jestem przeciwko niemu. Ojciec jest bardzo samotny na wsi. Jak ja tu, w mieście. Więc dlaczego tak trudno się porozumieć?

Rysio przybiegł zdyszany, a mnie się nawet nie chce go ochrzaniać. Usiadłem na parapecie okna, fachowo, jak Tata, i gapię się na fronton Ostrogskich. Deszcz. Drzewa w jasnej zieleni. Dziewczyna prowadzi ostrożnie kulawego starca. Osłania go żółtym parasolem.

— Graj — mówię.

Zabrzmiała „Etiuda rewolucyjna” w jakiejś okropnej pseudojazzowej manierze. Patrzę na Rysia.

Dziesięcioletni Richter wali w fortepian z wypiekami na pyzatej twarzy barokowego aniołka.

Najwidoczniej chcą mnie „zastrzelić”. Roberto Benzi — sukinkot!

Przerywam mu:

— Co ty wyprawiasz? Jak ty to grasz? A w ogóle nie to miałeś na dziś przygotować. Miałeś grać Czernego. Przygotowałeś, co ci zadałem?

— Tak... — bąka wyraźnie rozczarowany i zaczyna potwornie tego Czernego knocić.

— Grasz niechlujnie, puszczasz, grasz „mniej więcej”.

— Bo ja to zagrałem z pamięci.

— Czy ty się przypadkiem nie robisz beczelny? Nogi ci powyrywam, jak nie będziesz grał dokładnie wszystkiego, co jest w nutach! I wiesz, skąd ci te nogi wyrwę?

Zrobiło to na nim wrażenie. Korzystam więc z okazji, żeby wprowadzić mu w duszę cienką, głęboką sondę.

— A może ty w ogóle nie chcesz grać? Nie chce ci się, co?

— Chce mi się. Tylko nienawidzę ćwiczyć. To jest takie nudne, takie nudne.

Deszcz przestał padać. Spojrzałem na bawiące się na pagórkach dzieci.

— Wolałbyś grać w piłkę?

- Nie. Wolałbym czytać książki.

- A o czym?

- O tym, jak będzie na świecie za sto lat. Albo za tysiąc.

- Tak cię to ciekawi?

- Bardzo. To rodzice chcą, żebyś się uczył grać?

- Tak. Mama i tata.

- A ty się buntujesz, ty nie chcesz.

- Ja chcę. Ale prawdziwą muzykę.

— No to graj gamy.

— Uff! — sapie Rysio i gra. Skrywam ziewanie.

— A pan lubił grać Czernego?

— Nie, ale grałem. I jeszcze gram.

— To i ja będę.

Przechodzę na ton „profesorski”:

- Nie wygrasz prawdziwej muzyki, jak nie będziesz ćwiczył. Palce nie będą ci posłuszne.

- Chcę tak grać, jak pan.

- To dobrze.

- A czy mógłbym już brać udział w następnym konkursie?

- Mógłbyś, jeślibyś się więcej przykładał. Albo jeszcze następnym.

- Jak będę miał dwadzieścia lat?!

- No, nie będziesz jeszcze taki stary.

Lekcja dłuży mi się niemiłosiernie. Stanowczo nie jest to moje powołanie. A jeszcze gdybym musiał uczyć w szkole, gdzie miałbym takich Rysiów ze trzydziestu? Muszę wygrać ten konkurs. Konkurs to okno na świat.

Patrzę za zamek Ostrogskich. Umówiłem się tam z bibliotekarką.

Siwa, starsza pani, o ładnej, rumianej cerze wita mnie jak dobrego znajomego.

— Słyszałam pana na eliminacjach — mówi miękkim, przyjemnym głosem i uśmiecha się do mnie.

Wstaje zza biurka, odsuwa parawan, otwiera kasę pancerną. Serce zaczyna mi walić jak głupie. A ona wyjmuje tekę z własnoręcznie przez Niego pisanymi nutami.

— Nokturn H-dur op. 62?

— Tak. Numer jeden.

Siadam przy stole, otwieram teczkę, ręce mi się trzęsą, do diabła! Pochylam się nad wyblakłymi nutami. No tak...

Przerwaliśmy pracę nad etiudą i Tata kazał mi wrócić do mazurków. Dawno ich nie grałem, a strasznie lubię. Więc gra mi się lekko, fajnie. Tata jest zadowolony.

— Tylko cis-moll zupełnie mi się nie podoba. Romantyczna swoboda — pięknie! Ale nie wolno ci zapominać, że pod tą romantyczną chmurką skryta jest jasna, klasyczna forma. A ty wszystko zamazałeś. I przez to wcale nie zyskałeś na romantyzmie, a tylko zgubiłeś konstrukcję. Spróbuj wydobyć kontrasty smutku i ekstazy w części pierwszej i w reprzyzie, a w środkowej części czystą lirykę. W kodzie daj dopiero syntezę wszystkich tych barw — a wtedy zobaczysz co to za utwór!

— Tak od razu spróbować?

— Nie, nie. Nie miej mnie za durnia. Przemyśl sobie i popracuj w domu. A teraz wracamy do etiudy.

Zagrałem od początku do końca, ani razu mi nie przerwał.

— Nieźle, technicznie nieźle. A interpretacja też jakby, owszem, niczego. Liryka, poezja, tkliwa śpiewność — to wszystko masz. Mógłbyś tylko starać się zagrać jeszcze wyraziściej, żeby to było niemal bliskie ludzkiej mowie — i w zadumie, i we wzburzeniu.

Cudowny jest Tata! Choćby nie wiem jak długo siedziało się nad utworem, on zawsze jeszcze potrafi znaleźć coś, nad czym warto pracować. Po lekcji rozmowa na temat fortepianu. Jego możliwości. Rozwoju. I jak to jest z Chopinem i z tym fortepianem Chopina. Starać się, aby nasz brzmiał tak jak jego? Inna była skala możliwości instrumentu wtedy, a inna jest dziś. Na przykład tamto forte i nasze... Czy grając Chopina mamy prawo do naszego forte, choć wiemy, że u niego nigdy tak ono nie brzmiało? Tata twierdzi, że mamy prawo, bo Chopin odkrył duszę fortepianu. Jego kolorystykę, dynamikę, instrumentalizm — a więc, jakby przeczuwał fortepian przyszłości. Wykraczał poza salon, krynoliny, fraki, kandelabry. Ale rozszyfrowanie, jak on grał, jest ogromnie ważne. Tata twierdzi, że nam dziś jest łatwiej wrócić do źródła niż pięćdziesiąt lat temu. Umiemy analizować zapis, instrument, na którym grał, warunki akustyczne.

Po dzisiejszej lekcji wydaje mi się, że uchwyciłem nieco, jak to jest z tym Chopinem: forma klasyczna, bardzo jasna, precyzyjna — i niepowtarzalna, jemu tylko właściwe nasycenie uczuciem, poezją, czymś bardzo osobistym, liryzmem, polskością. Łatwo powiedzieć. Tylko jak to zagrać? Jak przełożyć na palce i na stopy. Na pedały i na klawisze?

Bardzo chciałoby mi się właśnie teraz pojechać do ojca. Zobaczyć wierzby rosochate, bujne o tej porze, we wszystkie strony świata strzelające młodymi gałązkami. Zobaczyć łąki ciągnące się w stronę Świstawki. W zieleni traw żółte jaskry, białe mleczce, liliowe ostróżki...

Widzę ją: czerwona sukienka, ciemne włosy. Bizancjum wśród polskich traw. Teofan Grek na koneckiej łące. A ja — mały kajtek — gęsi nad ruczajem pasę.

Jędrus Muzykant — psiakrew!

Lubię się włóczyć po Warszawie. Fajnie, kiedy na naszych oczach wyrasta coś nowego. Czy stanie tu kiedyś zaprojektowany przeze mnie dom? Czy stanie „moja” szkoła? „mój” teatr? Buława w tornistrze.

Jak to się mogło zdarzyć? Stoję na chodniku i cała drzę. Przecież rozejrzałam się. Przecież popatrzyłam w tamtą stronę. Jak mogłam nie widzieć tej taksówki?

Pisk hamulców. Tuż przy mnie. Otworzył drzwiczki, wychylił się i wrzasnął wściekle:

— Ej! Lala! Ślepa komenda! Żeby cię Mojżesz...

- i leci za mną to uniwersalne słowo-klucz. Zatrzasnął drzwiczki, pojechał. Czuję na sobie zgorszone, a może współczujące... a może pogardliwe spojrzenia ludzi. Nie mogę się uspokoić. Nie rozumiem, jak mogłam patrzeć w tym kierunku i nie widzieć nadjeżdżającego wozu... Co to było? Utrata świadomości... na moment?

Ktoś mówi:

— Musi pani bardzo uważać. Nie powinna pani chodzić sama.

Tak. Będę chodzić z niańką. Albo z białą laską i psem.

Nie mogę się dłużej oszukiwać. Od dawna wiem, że powinnam pójść do neurologa. Strach każe mi mówić: jutro. Jutro pójdę. Nie! Pojutrze, bo na jutro muszę oddać „Przedszkole w osiedlu miejskim”.

Szkic koncepcyjny mam gotowy, projekt w ołówku też, teraz jeszcze tylko zrobić na sztywno i opisać. Stoję przy desce, przesuwam przykładnicę, biorę ekierkę, grafion, kreślę — i wszystko mi się maże. Zbliżam się, nosem trącam kalkę — oddalam się — trę oczy. Podchodzę do lustra. Rzeźba złoczonej ramy zlewa się w jedną formę — widzę odbicie mojej twarzy, rozmazane, mętne, zamglone. Przecieram lustro. Daremnie. Ta mgła nie osiadła na lustrze. Jest na mych oczach. Wracam do deski. Ręka z grafionem zawisła w powietrzu.

Nie oddam jutro projektu. Pewnie już nigdy żadnego projektu nie oddam. Jutro pójdę do neurologa. Po wyrok. Znam go od dawna. Odkąd słyszę w sobie to chrobotanie. Ale wyrok musi być obiektywny. I ostateczny. A więc — pod sąd!

Dziś czuję się dobrze. Widzę normalnie. Ale nie zmieniam decyzji. Jak długo można uciekać? Przed losem.

Adres lekarza zdobyłam już dawno. I protekcję. Nie łatwo jest dostać się do profesora z nazwiskiem. A żeby wyrok był prawomocny, profesor musi być znakomity. Tak. Żadnych złudzeń. Po co?

Zgodził się przyjąć mnie w domu. Rzadko bywałam w pobliżu placu Narutowicza. Zrzuńnowałam się na taksówkę. Mochnackiego... Ładna, cicha uliczka. *Jak trup błądy siadł przy klawikordzie...*

Jakaś starsza pani otworzyła mi drzwi i kazała poczekać w hallu. Po chwili znów się zjawiała i wąskim korytarzem prowadzi mnie do gabinetu.

Profesor uniósł się znad biurka i wskazał mi krzesło naprzeciwko. Patrzę na twarz... mego kata? Sędziego? - Twarz szczupła, bez wieku. W półmroku w ogóle nie widać oczu. Tylko duże okulary, w ciemnej rogowej oprawie. Za plecami profesora szafa biblioteczna: książki, kartoteki... zaraz i mnie tam umieści. Może będę nawet dla niego ciekawym klinicznym przypadkiem...

Wziął do ręki długopis, ale nic nie pisze, tylko pyta co mi dolega. Więc opowiedziałam o tym, co się stało wczoraj, i że źle widzę, że nie mogę pracować...

— Była pani u okulisty?

— Tak. Już dawno. Leczył mnie, a potem kazał pójść do neurologa.

— Kiedy?

— Może pół roku temu...

— To czemu przychodzi pani dopiero dziś?

Milczę. Po co pyta? Przecież wie, czemu. Tak. Wie, bo nie ponawia pytania.

— Jakie jeszcze objawy?

— Bóle głowy.

— Wymioty?

— Mdłości, czasem wymioty.

— Czy zaobserwowała pani jakieś zaburzenia pamięci? Trudności kojarzenia?

— Nie... chyba nie.

Zajrzał mi w oczy. Potem kazał je zamknąć i trafić palcem w czubek nosa. Jedną ręką, drugą.

— Tak... skoro leczenie wzroku nie odniosło skutku Dam pani skierowanie do kliniki na Oczki.

Słyszę nie swój głos:

— Operacja?

— Nie, tylko badania. Ale muszą być robione w warunkach szpitalnych. Rodzaj zabiegu...

— Prześwietlenie?

— Nie jest to takie prześwietlenie, jak pani sobie wyobraża... Jak się prześwietla ząb czy płuca. Musi być przeprowadzone badanie arteriograficzne. To znaczy wstrzyknięcie kontrastu do naczyń w tętnicy szyi i wtedy dopiero zdjęcie.

Zdjął okulary. Zobaczyłam jego oczy. Zatroskane? Zmęczone?

— To jest konieczne. Zgadza się pani?

— Tak. Na długo?

- Dziesięć dni wystarczy. Najlepiej nie odkładać. Najlepiej zaraz. Jutro?

- Może... pojutrze...

- Dobrze.

Włożył okulary i pisze skierowanie.

- Panie profesorze... — głos ciągle nie mój.

- Teraz nie mogę nic powiedzieć. Porozmawiamy po badaniach.

A więc ogłoszenie wyroku odroczone. Na dziesięć dni.

Jak ładnie brzmi ten walc cis-moll w Łazienkach. Pięknie Jędrrek gra. Ukradkiem szminkuję wargi, bo zaraz po nim idę ja, a po mnie Elka. Denerwuje mnie tylko Jurek. Sterczy tu z bukietem w ręce jak kto głupi.

— Ty pierwszy raz „pod figurą”? — pyta mnie szeptem Elka.

— Aha. Żeby się tylko wiatr nie zerwał. Bo świszczę podobno w mikrofony. I robi mi z włosów pekińczyka w tapirze.

— Kto to jest ten figus z bukietem? Bez przerwy się gapi na ciebie.

- Aa... taki jeden. Jurek. Z medycyny. Tak się przyplątał...

Jeszcze sobie Jędrrek Bóg wie co pomyśli! A może to dobrze, że sobie pomyśli? Może zauważy wreszcie, że jestem kobietą!

Ale on gra! Jakby tu nie było tej figury, ludzi, drzew, kwiatów, słońca. Tylko fortepian. I on. I ta muzyka.

Lubię obserwować, jak się różni pianiści zachowują na estradzie. Na przykład: on i Grzesiek. Jak inaczej każdy z nich!

Grzegorz nosi wizytowe ubranie, jakby się w nim urodził. Jędrrek — traktuje swój uniform koncertowy jak dopust boży. Grzegorz — widzi publiczność, umie się kłaniać, umie słać jej uśmiechy, okazywać wdzięczność. Jędrrek — w ogóle jej nie widzi; dla niego wszystko, co nie jest muzyką, jest złem koniecznym, udręką. Grzegorz siada do fortepianu ceremonialnie, poprawia krzesło, przypasowuje się, wyciera ręce, pociera chusteczką klawiaturę, wyczekuje na uspokojenie się sali... Jędrrek rzuca się na

stołek i wali z kopyta. Ma się wrażenie, że jeszcze nie usiadł, a już gra... Grzegorz — opanowany, elegancki. Jędrak — żywiol nieświadomy swojej siły. Człowiek-fortepian. Sama muzyka. I tylko czasem w jego twarzy jest tyle męki, aż patrzeć na niego nie mogę.

A jak ja się zachowuję na estradzie? Czy mam tremę? Nie, tremy nie czuję, dopiero potem, po wszystkim, rozklejam się zupełnie, nawet beczę. Lubię być wtedy z ludźmi, ale żeby mówili o koncercie, a o dupie Maryni. Żeby żyli jeszcze tą atmosferą.

Zresztą... cóż ja? Ile razy koncertowałam publicznie? Zawsze jestem na szarym końcu. Tata mnie wręcz tępi, tak się boi, by nikt nie powiedział, że mnie faworyzuje. A inni? Nie chcą się tacie podlizywać. Szlag może trafić! A może po prostu jestem beztalencie? Że mi ktoś raz prawdę powiedział!

W TiFC-u to nie dostałam koncertu. Tylko jak z łaski — „pod figurą”. Chociaż i tak lepiej już grać „pod figurą” niż w „Wólce”. Bo tam jak się trafi na wycieczkę, co tylko pstryka aparatami, aha i oha, byle szybciej zaliczyć pielgrzymkę do „miejsca świętego”- to zgroza. Koszmar. To już lepsi ci z jajkami na twardo. Chociaż ja tam jestem przeciw strzechom. To znaczy, myślę, że nie powinno się sztuki zaganiać po strzechę, tylko tak robić, żeby ci spod strzechy sami chcieli szukać prawdziwej sztuki.

Pięknie zagrał tego walca! Brawo! Brawo! Widać, jak się podoba. Jakies dwie panusie przechodzą koło nas jedna mówi: „Pierwsze miejsce z naszych. Tylko nie trzeba mówić, żeby nie zapeszyć...”

To po co mówi, idiotka!

- Zochna, teraz ty? — pyta Jurek i miętosi ten bukiet.

— Nie gap się na mnie, bo się posypię — i ruszam estradę. Mijam się z Jędrkiem. Uśmiecha się do mnie ciepło. Kochany! Będzie mi raźniej grać. W imię Boże! Nokturn h-moll!

Czy naprawdę źle grałem, czy też Tata był wściekły z całkiem innego powodu? Może go coś ugryzło, a na mnie się wszystko skrupiło? Może ma z Zośką kłopoty? Ostatnio łązi za nią taki jeden... z prosektorium. Okropny dzień! No, a już gdy mi zaczął mówić „panie Grzegorzu”, to tak mnie speszył, że posypałem się na mazurkach jak ostatni patałach. A jeżeli naprawdę jest ze mnie niezadowolony? Czuję, że prze fajnowałem. Muszę pograć Bacha, a nie tylko Chopin, i w kółko Chopin!

Ewa wyjechała na dziesięć dni do ciotki, do Krakowa. Jak mi jej teraz brak!

Dlaczego ogarnia mnie nagle niepokój? I skąd się bierze to głupie przeświadczenie, że Andrzej jest lepszy? Zawsze był w moim cieniu — ten... bożygrajek.

A teraz?...

Boże, jak te dni koszmarnie się wlokły! Wymęczyli mnie na wszystkie możliwe sposoby. Poza normalną morfologią, opadem etc. zrobili mi najpierw tak zwane nakłucie łądźwiowe, czyli pobranie płynu mózgowo-rdzeniowego. Siostra mi wytłumaczyła, że to badanie mogło wykazać, że dzieje się coś niegroźnego, jakiś stan zapalny, na przykład zapalenie nerwu wzrokowego poza gałką oczną... Niestety! Nic takiego nie wykazało. Więc zaczęły się inne badania. Arteriografia, pneumo- cefalografia — od samych nazw robi się w nogach słabo. Dodatkowa przykreść to studenci w asyście profesora. Usiłuję na nich nie patrzeć.

Póżywa ze strachu i z bólu, skłuta, zmaltretowana, przerażona zwierzeniami o potwornych cierpieniach — czekam na rozmowę z profesorem.

— ...wstrzyknięcie kontrastu do naczyń mózgowych ujawniło pewne nieprawidłowości w czaszce...

Słowo „czaszka” wywołuje szum w uszach. Przecież wiedziałam, przecież nie spodziewałam się, że powie: „wszystko jest cacy”, a jednak — szum... I robi się ciemno przed oczami.

— Nowotwór?

— Nie trzeba wpadać w panikę. Guz nie musi być złośliwy. Ale zabieg operacyjny jest konieczny. Potrzebna jest pani zgoda na piśmie. Ma pani rodziców?

— Nie.

Twarz matki. Pochyla się nade mną, rozbudzoną nocnym krzykiem z ulicy lub nagłym blaskiem bijącym w okno: „Nie bój się. Mamusia jest przy tobie. Śpij, śpij”.

— Panie profesorze... ja się muszę zastanowić...

— Oczywiście.

— Chcę wrócić do domu.

— Dobrze. Ale niech pani nie zwleka zanadto. Z zabiegiem nie należy czekać. To zabieg życiowy...

I proszę zrozumieć: nasze rozpoznanie jest pozytywne. Guz mógłby się przecież okazać nieoperacyjny...

Pytam, aby pytać, już bez żadnej nadziei:

- Panie profesorze... a... bez operacji tego leczyć nie można?

Daremnie usiłuję przebić się przez szkła jego okularów, dotrzeć do oczu. Usłyszałam to, na co czekałam.

Wyrok:

— Nie. Nie można. Chciałbym się widzieć z kimś z rodziny. Z kimś bliskim

— Dobrze. Ktoś bliski przyjdzie. Mój... mąż.

Po drodze ze szpitala zrobiłam zakupy, potem posprzątałam chatę, wykapałam się, wysuszyłam włosy i wyszłam znowu na miasto. Wsiadłam w 144, wyskoczyłam na Nowym Świecie i pobiegłam do Grzesia, do szkoły. Na Ordynackiej jak gdyby nigdy nic pogapiłam się na wystawę „Mody Polskiej”. Ładna czerwona szmizjerka...

Skręcam w Okólnik. Ten zakątek Warszawy jest mi szczególnie bliski, bo tu mieszkałam, gdy byłam dzieckiem. W podwórzu kamienicy nr 9, tej przylegającej do Biblioteki Krasińskich. Duża, secesyjna landara, dom mojego dzieciństwa i dzieciństwa mej matki; tu przeżyła wojnę, okupację, powstanie, i tu po wojnie wróciła z obozu. Dom był tylko lekko drażnięty, więc go szybko wyremontowali. Jeden z nielicznych w Warszawie, zachował autentyczny wygląd. I tynki, i gipsy przedwojenne. Tutaj przyszłam na świat w pewien deszczowy, listopadowy wieczór.

Stoję na schodkach Biblioteki Krasińskich i nie przechodzę na drugą stronę. Biegłam do Grzesia, a teraz boję się go zobaczyć. Kręcę się bez sensu po ulicy. Gdy tu mieszkałam, nie było jeszcze gmachu szkoły. Pamiętam ruiny, okaleczone drzewa... Teraz jest ładnie, elegancko, gładko. Wtedy było — pięknie.

Moja matka też umarła młodo. „Też”. Skurcz strachu. Spazm aż do brzucha, do dna. Zamykam oczy. Mamusi!... — „Czy można bez operacji?... — Nie, nie można”. Nie chcę operacji. I nie będę czekać, aż...

Usnąć, po prostu usnąć i nie obudzić się więcej.

Idę brzegiem skarpy na kamienne schody. Moje schody, prawdziwie stare wśród tych gładkich nowości. Szerokie, rozdeptane, zdarte, porośnięte trawą — ulubione miejsce zabaw dzieciństwa. Teraz też jest tu pełno bachorów. I teraz, i wtedy, kiedy się tu bawiłam. I jeszcze wtedy, kiedy mamusia była dzieckiem. Moje schody i przez nią były deptane. I deptać je będą, gdy mnie już nie będzie na świecie. Myślę sobie: po iluż to ludziach tylko takie schody zdeptane zostały?

Jak ona umierała? Byłam za mała, żeby cokolwiek rozumieć. Powiedzieli, że wyjechała daleko, i ja gniewałam się, że mnie zostawiła, że nie zabrała mnie z sobą. Nie mogłam pojąć, że mamusia, moja mamusia mogła być taka niedobra! Dopiero w trzy lata po śmierci zaprowadzili mnie na jej grób.

Teraz pójść do niej. Żeby chociaż mogła w to wierzyć, że gdzieś tam jest jej częśćka. Ale — nie. Pustka. Wielkie nic. Ziemia i robaki. Nawóz. Ona istnieje tylko w mojej pamięci.

Mamusia — dziecko, mała dziewczynka z warkoczykami — trudno to sobie wyobrazić! Potem dziewczyna jak ja — to już łatwiej. Potem — moja mamusia. A potem — nic.

Jak może człowiek tak zniknąć?

Patyk rzucony na wodę. Gdzie on teraz jest? Płynie Wisłą do Gdańska. Do morza. Gdzie jest mamusia? Gdzie jestem ja tamta, szczęśliwa, w trawach, w słońcu, w lesie?

Wracam. Znow patrzę na Bibliotekę Krasińskich, tak dobrze mi znaną, tak zrosniętą ze wspomnieniami, bibliotekę przemienioną na jakiś „zakład graficzny”, i przypominam sobie —

...Stoimy z Grzesiem, gapimy się na ciężkie kolumny dźwigające tympanon, czytamy napis AMOR PATRIAE — NOSTRA LEX i oglądamy orły w medalionach. Opowiadam Grzesiowi, jak w czasie powstania moja matka, ot, taka dziewczyna jak ja teraz, ratowała z płomieni jakieś bezcenne zbiory, jakieś unikalne rękopisy. Pod kulami wyrzucała, wraz z innymi, co się dało na podwórze, a potem do piwnic. Że niby „Amor patriae — nostra lex”.

„Głupio jest im zazdrościć, ale świństwem byłoby zmarnować to, co oni dla nas zrobili...” Kto to powiedział? Ja? Czy Grześ?

Teraz to nie ma dla mnie znaczenia. Żadnego znaczenia. Ani „amor patriae”, ani już żaden inny „amor”...

Znow wracam na stare schody. Przystaję u stóp pagórka. Piłka leci w moją stronę. Podnoszę ją. Odrzucam maluchom.. Teraz specjalnie rzucają do mnie. Śmieją się. Każde chce złapać piłkę, żeby móc podać ją mnie. I nagle poczułam to. Zachwiałam się, chwytam za gałąź drzewa, opieram się o



pień, zamykam oczy, z trudem oddycham. Piłka bezpiecznie toczy się w dół. Dzieci patrzą speszzone. Mały tłścioch aż ładuje palec do buzi, tak mi się intensywnie przygląda. Jest mi trochę lepiej. Pochylam się nad nim, głaszczę po głowie...

Z wysiłkiem przekraczam jezdnię i wchodzę do szkoły. Idę korytarzem, siadam na ławce pod rzeźbą dziewczyny z lutnią, czyli „pod luteńką”, jak mówią tutejsi ludzie. Tu zawsze czekam na Grzesia. Lecz tym razem pierwszy wychodzi Andrzej. Coś do mnie mówi, a ja nagle:

— Czy myślałeś kiedy, że masz czaszkę?

— Czaszkę?

— Myśli się „głowa”, prawda? Moja głowa. A czaszka... Jak się nazywa ten błazen?

— Jaki błazen?

— Z „Hamleta”. Ten, którego czaszkę wykopał grabarz.

— Nie wiem. Nie pamiętam. Jorik?

— Jorik. Tak. Czaszka Jorika. Trupia czaszka.

Jak on uważnie na mnie patrzy, jakby wiedział, o czym mówię. I wtedy zjawia się Grześ. Coś tam opowiada o lekcji, o profesorze, szum wokoło, studenci przechodzą z różnymi instrumentami, zapatrzyłam się na tę kamienną dziewczynę z luteńką, Andrzej mówi „do widzenia, Ewa, i — i głowa do góry”. Podkreślił słowo „głowa”, jakby rozumiał, a przecież nie mógł rozumieć.

— Grzesiu...

— Fajnie, że już wróciłaś. Jutro koncert.

— Wiem.

— Mam dla ciebie bilet.

— Dziękuję.

— Cóżes tak zmizerniała? Ciotka cię głodziła?

— Grzesiu... możesz teraz wpaść do mnie?

Wtulić głowę w jego ramię i trwać w ciszy.

— Teraz?

— Tak, teraz.

— Teraz są moje godziny grania! Przecież wiesz o tym. A co?

— Chciałam... być z tobą.

— Jutro mam koncert! Czy ty nic nie rozumiesz? Muszę grać! Odprowadź mnie do domu, to pogadamy.

A jutro, po koncercie, pójdziemy do ciebie.

Coś tam jeszcze mówi, mówi, mówi, o Chopinie, o Bachu, o profesorze... ale już nic nie słyszę. Sypie się piasek słów. A ja czuję, jak kamienieję od środka. Jak rośnie w sercu gład. Cementarny.

Już drugi raz mam koncert w TiFC-u. Dobrze się tu gra. Jest nastrój. Wszystko wokół piękne i pełne kultu Chopina. Przychodzą ludzie, którzy naprawdę chcą słuchać. A nie, żeby się tylko pokazać.

Już wejście na szerokie schody usposabia uroczyście. Sala nieduża, stwarza intymny klimat. Ściany zdobione freskami. Kryształowy żyrandol. Elektryczny. Ale na estradzie palą się świece. Prawdziwe.

Migocą i kapią kroplami stearyny.

Gram fantazję f-moll.

Po paru taktach dociskam klawisze do dna. Znika lęk, że się mogę wysypać. Wraca spokój, swoboda. Czuję, że dobrze gram.

A potem w bibliotece, która służy za pokój solistów, wycieram spocone czoło. Chyba było dobrze. Dwa razy wychodziłem na oklaski.

— No jak? — pytam Zośkę.

— Paganini.

— Nie żartuj.

— Serio.

— Ewa nie przyszła — mówię, nie bardzo wiedząc po co.

— Urywa ci się?

— Coś ty?... Tylko tak głupio świeci to puste krzesło w trzecim rzędzie.

Teraz gra Andrzej. Skończył mazurka. Większe ma oklaski niż ja. Jakieś gorętsze. A może mi się tylko tak zdaje? Niby oglądam złocone grzbiety książek w oszklonych szafach z mahoni, ale myślę tylko o tym.

Zośka zerka przez szparę w drzwiach, na estradę.

— Męczy się jak potępieniec, że mu nie dają grać. Wbił oczy w podłogę... dziwadło.

— Pekińczyk, powiedz mi prawdę — zdobyłem się na odwagę — Czy ja gram gorzej od Andrzeja?

— Technicznie jesteś lepszy.

— Technicznie!

— Nie tylko. Masz subtelne uderzenie, wyciągasz na wierzch barwę...

— Ale jego słuchają inaczej niż mnie. Inaczej go przyjmują. Dlaczego?

— Bo ja wiem?... Może masz za mało... jakby to powiedzieć... tego czegoś.

Nie da się ukryć, on wzbudza większy entuzjazm. Krzyczą „brawo!”, „brawo!” A po moim występie nie krzyczeli. Ale co tam publiczność, najważniejsze, że Tata zadowolony.

Wszedł do biblioteki po koncercie:

— No, łajdusy, nieźle, nieźle. Tylko żebyście w zarozumiałość nie wpadli. Wchodzisz na estradę — to przytyk do mnie — i krzyczysz: „Patrzcie, jak ja gram!” A trzeba, żebyś mówił: „Jak piękna jest muzyka, którą gram...” A ty, Jędrak, na odwrót: przestań drzeć przed publiką! Zachowujesz się jak stara panna, przy której się mówi o miłości.

— Nie męcz ich, tato — wtrąca Zośka. — Genialnie grali.

— Męczyć to ja ich będę jutro, na lekcji, Smoluszku. — I pociągnął Pekińczyka za spadające na czoło włosy. Już miał wychodzić, ale zatrzymał się w drzwiach i popatrzył na Jędrka:

— Przyjdź do mnie. Pożyczę ci frak. Najwyższy czas, żebyś się nauczył nosić frak. Grzesiowi to niepotrzebne — puścił do mnie szelmowskie oko — on się we fraku urodził. Adolf Menjou!

Jędrak zaczerwienił się jak burak i z przerażeniem patrzy na profesora. A ja pytam:

— Adolf Menjou? Nie słyszałem o takim.

— No i widzisz — Tata mi na to — a przed wojną wszyscy słyszeli. Aktor filmowy był taki... Co pięknie nosił frak!

Zbiegłem tarasami w dół, na Tamkę. A potem schodkami przez Dynasy i znów ścieżką pod górę na Krakowskie. Ale żadnej frajdy ze spaceru. Cały czas świdruje mi w mózgu: dlaczego jego lepiej słuchają niż mnie? Dlaczego ma większe oklaski? Zapytać Taty? Nie wypada... Pomyśli, że zazdrość.

A ten frak... Niby zasunął mi komplement, zresztą moi starzy mogą mi frak kupić, a Andrzej jest goły, wszystko prawda. Ale każdy głupi wie, że profesor pożycza frak tylko swoim najlepszym uczniom. Już kilku laureatów w nim grało...

Sam nie wiem, kiedy znalazłem się przed jej domem.

Pierwszy raz nie poszłam na twój koncert, Grzesiu. Grzesiu... Puściłam płytę: preludia... Nie... jeszcze gorzej. Zmieniłam Chopina na piosenki. Wojtek Młynarski. Bardzo go lubię.

Kiedy przyjdiesz, muszę być spokojna. Muszę się wziąć w garść. Głupie łyzy płyną... a ciotunia w każde danie wciąż sypie ser, tarty ser — bo pasuje do wszystkiego tarty ser... Tarty ser... Ale i ta płyta jest nie do zniesienia. Czekam w ciszy. Wiem, że przyjdzie po koncercie. Na pewno przyjdzie.

Powtarzam w kółko: muszę... muszę to zrobić... muszę... Nie mam prawa obarczać go takim ciężarem. Mnie i tak już nic nie pomoże. Muszę... Lekarz powiedział, że może nie być złośliwy. Może nie być. Ale pewnie jest. Nie chcę, żeby mnie oskalpowali.

Leżę na stole. Ogolona głowa. Jak z Oświęcimia. Ciało przykryte białym prześcieradłem. Nie ma mnie. Nie istnieję. Tylko głowa. Czaszka. Chirurg, w czarnej czapce z trupa główką, przepasany fartuchem, poplamiony krwią, z ogromnym nożem w łapie, pochyla się nad czaszką, która jest moją głową! Czuję zimne ostrze na czole. Krew zalewa mi oczy. Nie! Nie!

Zrobię to sama. Nie będę czekać końca.

Zamykam szczelnie drzwi i okna. Otwieram gaz, to najprostsze. Wkładam czerwoną sukienkę, którą Grześ tak lubi... Bzdura! Żadnych inscenizacji. Umrę w tym co będę miała na sobie, kiedy przyjdzie ten moment. „Proszę nikogo nie winić...” „Grzesiu ukochany...” - nie, tego ciężaru mu nie zostawię. On musi żyć. Swoim życiem. Beze mnie.

Potem luminal, żeby zasnąć, żeby nie mieć pokusy otwarcia okna. Zasnąć, sen — brat śmierci, nie obudzić się nigdy.

Znajdą mnie siną, nabrzmiąłą, spuchniętą — kiedy? Gdy poczują gaz na klatce schodowej. Wyważą drzwi obcy ludzie... Na pogrzeb przyjedzie z Krakowa ciotka, stryj pewnie nie przyjedzie, szkoda mu będzie pieniędzy na pociąg. Żeby tylko nie zawiadomili tego pana, który podobno jest moim ojcem. Po co?

Chcę mieć w trumnie fotografię mojej matki. Na nic już ona nikomu. Jakie wątle nici.

Skoro Grzesia już nie będzie... mogą mnie znaleźć nie tak prędko. Rozkład, smród odrażający w tym wymuskany wnętrzu. To już by nie było banalne. Chociaż taki kontrast to także banał. Tylko że na odwrtkę.

Chodzę od deski do tapczanu, od tapczanu do lustra, od lustra do deski — w kółko, w kółko... objam się o te obce sprzęty. Gdzie jest moje miejsce? Już nigdzie. Gdzie mój dom? Już nigdzie. Odwracam fotografię mamusi na komodzie. Nie mogę dziś na nią patrzeć.

Jego szybkie kroki na schodach — słyszę. Każdy krok stuka tęnym młotkiem w skroni. Już. Za chwilę już się stanie. To jest gorsze, niż mogłam sobie wyobrazić. Trudniejsze.

Na początku jakoś idzie. Brnę ciężko, ale udaje mi się powiedzieć, że go nie rozumiem, że nie kocham, że wszystko się kończy.

Ale on krzyczy „nie wierzę!”, „nieprawda!”, chwyta w ramiona, ściska do bólu, całuje. — Kamień przemienia się w wosk. Jeszcze chwila... Więc muszę znaleźć siłę i wyrwać się.

Oddycham ciężko, jak po walce. I wtedy lzy się skończyły. Sucho, chrapliwie, powiedziałam to okropne zdanie. Poszedł.

Podbiegam do drzwi — wróci?!... Chcę krzyczeć, wołać — otwieram usta —

Słyszę — wraca! Rzucam się w kąć tapczanu. Przytulam twarz do szyby. Wiem, że jeżeli teraz podejdziesz, dotknie mnie, powie jedno słowo — to wszystko przepadnie. Wyznam prawdę i będę z nim. Będę z nim. Serce o mało nie rozwała mi piersi.

Nie poszedł. Usłyszałam tylko brzęk kluczy ciśniętych na stolik — i znów zamknęły się drzwi.

Teraz nie czuję już nic. Ogromne znużenie. Szyba przestała chłodzić. Z ulicy dobiega pijacki ryk: *...do zakopania jeden krok...*

Może wracają z pogrzebu?

Po prostu trudno uwierzyć, że to się stało, że stać się mogło. A jednak to jest fakt: Ewa ze mną zerwała. Nie kocha mnie. Ona mnie nie kocha. Jestem sam.

Co za potworna egoistka! Teraz, kiedy powinienem mieć spokój do pracy! Czy będę umiał się skupić? Czy potrafię opanować nienawiść do całego świata?! Tyle z siebie dałem... I o cóż właściwie poszło? Ze nie chciałem wczoraj wpaść do niej?... Przed koncertem! Obrząła się i nie przyszła na mój występ. No tak... Nie jestem na każde zawołanie. Nie leżą od rana do nocy u jej nóg. Żadnego zrozumienia. Po prostu idiotka, baba, typowa baba, a ja myślałem, że — człowiek.

— Dlaczego nie przyszłaś? — spytałem.

— Tak... jakoś...

— Bilet się zmarnował. Ludzie odchodzili od kas

— No to przepraszam...

— Dziwna jesteś...

— Zdaje ci się.

— Dawniej zawsze miałaś czas dla mnie.

— Zdarza się, że i ja mam swoje sprawy.

— Złośliwość?

— Nie.

I nagle zaczęła beczeć.

Nie cierpię, kiedy dziewczyna płacze, bo nawet najładniejsza robi się wtedy brzydka: wykrzywione usta, nos czerwony... Czego ona ryczy? O co jej chodzi? Trudno się porozumieć.

— Odejdź. Nie chcę nikogo. Chcę być sama.

Sto razy z anielską cierpliwością pytam, co się stało Wreszcie oświadcza, że nic się nie stało, że po prostu „skończyło się”.

— Co się skończyło?

— Wszystko.

— Oszalałaś?

— Wszystko.

— Nie wierzę!

Kłamie, że mnie już nie kocha, mówi, że ja muszę grać i że niby ona mnie denerwuje. Pewnie, że denerwuje. Ale to jeszcze nie powód!

— Sam mówiłeś, że cię nie rozumiem. Skończyło się... Wszystko się przecież kiedyś kończy...

I płacze, płacze. Jestem zupełnie bezradny. Wygląda jak skrzywdzone dziecko. I już kocham jej opuchnięte oczy, kocham jej nos czerwony, wykrzywione z bólu usta... — Nie mogę uwierzyć... Sam jestem bliski płaczu. Mówię, że ją kocham. Całuję. Przytulam.

Ale ona szamoce się, wrywa. Powtarza: — Koniec, koniec — i nagle krzyczy:

Czy muszę się przespać z innym, żebyś w to wreszcie uwierzył?!

Co?! Nigdy nie była tak ordynarna!

- Nie będziesz żałować? — pytam wściekły.

- Nie — histeryzuje. — Idź już. Idź.

- Nie musisz tego drugi raz powtarzać. Cześć!

Chwyliłem płaszcz i wybiegłem. Zadźwięczały w kieszeni klucze. Więc zawróciłem z klatki schodowej i bez słowa cisnąłem je na stół.

To znaczy, że ta afera, że całe to uczucie to było nic... a ja myślałem... Głupi! Chciałem się z nią ożenić! Dostałem lekcję na całe życie.

Koniec z babami! Koniec z miłością! To wszystko wymyślili zwariowani poeci, żeby jakoś uczłowieczyć ten głupi zwierzęcy akt! To majaki, o których wszyscy gadają, ale których nikt nie widział! Nie będę już wierzył nigdy żadnej! Żadnej!

Jak ja będę jutro grał? Jestem zupełnie roztrzęsiony, jakże ja będę grał?!

Ale tłok dzisiaj na Legii. Nic dziwnego — taki upał. Gdyby nie Jurek, to bym nawet nie miała gdzie ręcznika rozłożyć.

Co on mnie tak prześladowuje? Założył się z kim, że mnie poderwie, czy co?

- Zochna, no to jak...? Jutro, dobrze? Proszę cię...

- Możesz nie prosić.

- Przyjdiesz?

— Przyjdę...

— Kochana jesteś!

— Nie dałeś mi skończyć. Przyjdę, ale nie jutro i nie do ciebie.

— Przysięgam, że cię nawet nie dotknę. Chcę pogadać w ciszy, bez ludzi.

— Niby o czym?

— Słyszysz? *Bądźcie dla nas dobre, dziewczyny.*

Wykorzystuje Młynarskiego, który właśnie leci z głośnika. Myśli, że mu to co pomoże.

— Pomyśl — truje dalej — czymże jest życie?

— Cytujesz poetę? Ach!... koszulką dziecka!

— Daj spokój... Nie kpj sobie. Widziałem w piątek na obchodzie dziewczynę... nie mogę jej zapomnieć Śliczna, młoda... subtelna, rasowa można powiedzieć... i rak ją zżera. Myślę, że na pewno żałuje każdej straconej chwili.

— Skąd wiesz? Mówiła ci?...

— Musi się zdecydować na koszmarną operację, której skuteczność jest bardzo wątpliwa.

— Dobrze, dobrze, nie wymyślaj takich dramatycznych opowieści.

— Daję ci słowo, że to prawda.

Nie wiem, co mnie tknęło, że zaczęłam go o tę dziewczynę wypytywać.

Pobiegłam natychmiast do szkoły. Takie nieszczęście! Aż mi wstyd, że rozrabiałam, kiedy nie weszłam do kadry. Czym jest mój niefart życiowy, wobec takiej okropnej tragedii? A wszystko jej się nieźle układało: wyróżnienie na uczelni, za rok dyplom... Miłość. Z wzajemnością...

Nie rozumiem Grzegorza. Zachowuje się, jakby się nic nie stało. Chyba niemożliwe, żeby nie wiedział.

Weszłam do klasy. Jędrzek właśnie skończył lekcję, a Grzesiek już przyszedł na swoją. Nowy beż golfik — za sześć stów, brązowe rifle — za tysiąc dwieście; picuś-glanuś, czyli chłopak wyjściowy na sto dwa!

Jędrzek stoi przy oknie i gapi się na dzieci grające w „piłkę do dołka”. Srajdek w czerwonych portkach ciągle wykopuje piłkę daleko, biegnie i zziębnięty jak pies przynosi ją z powrotem. Wesoły wrzask.

Przypomniało mi się, jak rok temu byliśmy z Jędrkiem na zimowisku w górach. Nie wiem czemu, może dlatego, że nosił czerwoną wiatrówkę... A może dlatego, że wtedy było wszystkim wesoło, a teraz...

Grzesiek spokojnie rozkłada nuty na pierwszym fortepianie, a ja zasuwam o Ewie to, śmo... Ale on nie puszcza farby. No to ja: ! — Grzegorz, ty naprawdę nic nie wiesz?

— Nie interesuje mnie, z kim sypia.

— Naprawdę... Nie wiesz?

— Zawsze byłem słaby z rachunków.

Nic nie kojarzę. A tu Jędrzek nagle odwraca się od okna:

— Powiedz, co jest?

— Coś taki ciekawy? — mruknął Grzegorz.

- Przestań! — wrzasnęłam. — Ona jest chora...

— Na „bachora”!

- Poważnie... nowotwór...

Grzegorza zatkało.

— Co?!

Naprawdę nic nie wiedział.

— Tak.

— Boże...

Gdzieś w czaszce. Najgorsze, co może być.

- W czaszce... — powtórzył Jędrzek bez sensu.

- Koniec z dziewczyną. Potworne.

— Nie, nie... — bełkocze Grześ.

Jędrzek zastygł przy oknie, jakby dostał zastrzyk z cementu.

— Gdzie ona jest? W szpitalu? — wymamrotał, j

— Nie. W domu.

A Grzegorz gorączkowo zgarnia nuty i ładuje do teczki.

— Gdzie pędzisz? Nic jej tak nagle nie pomożesz, pójdziesz po lekcji — usiłuję go zatrzymać.

Ale on jest już w drzwiach.

— Wyłumacz mnie przed Tata, Pekińczyk. Cześć! —i poleciał.

Podeszłam do Jędrka. Ciągle stoi przy oknie. Patrzy przed siebie, ale tak jakby nic nie widział i niczego nie słyszał. Zdaje mi się, że drży. Więc aż tak bardzo się przejął?!

— Jędrzek... Ona się tobie też podobała... co?... Ja wiem...

Nie zaprzeczył. Wciąż patrzy w okno.

— Mnie możesz powiedzieć... wszystko... jestem twój kumpel, no nie? — brnę dalej.

— Jesteś kumpel — przytaknął.

Nie tylko! Nie tylko! — wszystko aż krzyczy we i mnie: Jestem także kobietą! Kocham ciebie, baranie!

Ale chcę być najlepszym z przyjaciół, takim prawdziwym kumplem, więc brnę dalej, choć serce mi bije, jak nasi w tarabany:

— To była fajna dziewczyna. Rozumiem, że mogła się podobać.

I wtedy odwrócił się od okna. Spojrzał na mnie ślepiami pełnymi rozpacz. I szepnął:

— Nie mów o niej... że... „była”...

On ją kocha! Boże! Naprawdę kocha! Zdrową, chorą, żywą, umarłą — wszystko jedno! — a ja nie mam żadnych szans! Żadnych.

Spadło to potworne na mnie — nie mogę rozmawiać z Zośką, chcę być sam, chcę być w domu.

Czekam na Grzegorza. Od okna do drzwi. Od drzwi do okna. Tapczan; kładę się. Wstaję.

I znów — na wyrko.

Zmuszam się do grania. Ćwiczę etiudę F-dur. Po chwili udaje mi się skupić.

Ale wkrótce wtargnęła do pokoju pani Roma.

— Panie Andrzeju...

Przestałem grać i musiałem chyba spojrzeć na nią niezbyt przytomnie, bo zaczęła mi tłumaczyć z polskiego na nasze, powoli cedząc słowa:

— Panie Andrzeju, mieliście grać w najgorszym razie do dziewiątej, a jest już pół do dziesiątej...

Spojrzałem na zegarek:

— Dwadzieścia po dziewiątej...

— To nie fair, tak się nie robi.

„Feer” — przeciąga to „e” jak z Kołomyi. Musiała przed chwilą nałożyć na nos puder, bo aż na biuście nim obsypana. A na głowie kolorowa chusteczka skrywa zakręcone już na noc włosy. Kokieteryjnie przytrzymuje pod szyją nylonowy szlafrok w błękitne róże. Fogg mi śpiewał kiedyś z radia, nad kołyską: *nie ma niebieskich róż*.

Zacząłem bąkać, że przed konkursem musimy więcej grać.

- Dziękuję bardzo! Bardzo dziękuję. Konkurs w październiku, a teraz czerwiec! Wy zostaniecie laureatami, a ja wyląduję w Tworkach! Umowa jest umową Proszę jej przestrzegać — mówi niby surowo, a wargi rozchyła w słodkim wilgotnym uśmiechu — panie Andrzeju...

Zamknęła drzwi. Lepiej by umyła porządnie wannę po sobie, zamiast tak się gibać pod szlafrokiem.

Wstaję od fortepianu. Kładę się na tapczanie i już się nie zmuszam do myślenia o niczym innym.

Czekam. Na Grzegorza.

Patrzę na nasz pokój — jakbym go pierwszy raz zobaczył. Pośrodku — mahoniowy Steinway — duma Grzegorza, prezent od jego starych za maturę, kupiony okazji. A wokół — pozał się Boże, jak obskurnie. Brud, smród, ubóstwo i nędza. Dwa wyrka, szumnie przez panią Romę zwane tapczanami, przykrywają spłowiałe kilimy, które może kiedyś były nawet ładne. Wieszak biurowy zawieszony ciuchami... „szafy, niestety, do tego pokoju nie ma...”, na podłodze książki, płyty, adapter, na stole resztki jedzenia, butelki po mleku, maszynka elektryczna... „...a z kuchni panowie nie będą korzystać, prawda? Dlatego nie wynajmuję kobietom, bo one zaraz gotują, piorą...” — i przewracaj oczami. Zjrzałem raz do tej kuchni... Brudy nieziemskie. Piramidy brudnych garów i mrówki faraona.

Oczy błędzą po wysokim suficie, zdobionym niegdyś; stiukami, po brudnych ścianach, po zaciekach... Grzegorz nad swoim łóżkiem przypinał szalowe dziewczyny. Nad moim rysuje się wielka, kwadratowa plama czystości — ślad po obrazie „Obóz cygański nocą”, ręcznie olejnymi farbami zmalowanym. Pani Roma, ilekroć spojrzy na tę ścianę, wzrusza ramionami i prycha zgorszona, że nie umieliśmy docenić takiego arcydzieła.

Dzień po dniu mijał i w ogóle nie widziałem tego wnętrza. Spałem w nim, jadłem, grałem, czytałem — dlaczego nagle teraz odczułem jego potworną brzydotę, obcość, obmierzłość?

Zapach sosnowych desek. Ciepły blask. Ogień huczy, trzaska, strzela iskrami.

Nie mam domu, odkąd mama umarła. Nigdy nie będę miał domu, jeżeli teraz ona umrze. A jeśli nawet nie umrze... Przecież to jest nieosiągalne... Tego nigdy nie będzie!...

Chrobot klucza w zamku. Przyszedł! Już jest w przedpokoju. Skrzyp drzwi. Zrywam się z tapczanu.

— Widziałeś ją?

— Nie.

Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie tego. A wygląda, jak z krzyża zdjęty.

— Dlaczego? Nie było jej w domu?

— Nie było. Więc wróciłem do szkoły. Tata już poszedł. Próbowiałem sam grać. Nie mogłem. Koszmar, co ja przeżyłem... Potem znów do niej...

— I co?

— Nic. Nie wiem... Nie świeciło się światło. Chodziłem pod domem. Chciałem wejść... ale... Nie wiem...

— Baran!

Odwróciłem się, szarpnąłem okno. Powiało chłodne powietrze. A on jęczy teraz za moimi plecami:

— Czuję, że w ogóle nie będę mógł grać... Opuściłem lekcję. Tata mówi, że nic, ale to nic nie ma prawa wytrącać nas z rytmu pracy... Łatwo to mówić... Patrz, jak mi się ręce trzęsą. W ogóle nie mogłem grać. A jej i tak nic nie pomogę... Powiedz, czy ja jej mogę pomóc?

Mam ochotę przysunąć mu w pysk. Ale nie odwracam się nawet. A on dalej jęczy:

— ...a sam się wykończę. Nie będę mógł grać. Nie ma mowy o koncentracji. Taka dziewczyna... Taka dziewczyna... Chciałem się z nią ożenić... po konkursie.

Głos mu nabrzmiwa łzami. Płacze. Płacze nad sobą!

Widzę twarz ruskiej ikony w obramowaniu ciemnych włosów, szarozielone oczy. Słyszę jej głos: „czaszka... czy myślałeś kiedy, że masz czaszkę?”

Uczepił się mego ramienia:

- Jędreku, powiedz, co mam robić?

Wyrwałem mu się bez słowa. Wyszedłem z pokoju. Wybiegłem z domu. Ulica Wilcza prawie pusta. Spojrzałem na światła, neony, na ruch bijący od Marszałkowskiej — potem odwróciłem się, poszedłem w stronę Alej. Czekał, żebym mu przyznał rację: „Tak, nic dla niej zrobić nie możesz, zostaw ją jej losowi. Graj.. graj... To twój obowiązek. Tata ma słuszność...” Tego ode mnie oczekiwał. Tych słów. Wiem. Dziś się skończyła nasza przyjaźń. Na zawsze. Czy to w ogóle była przyjaźń? Czy przyjaźń może się skończyć?

Myślałam, że do konkursu dam mu spokój i dopiero potem wszystko powiem. I że musi mnie pokochać albo nie ma sprawiedliwości na świecie! Ale to na nic. On kocha Ewę. Więc nie mam po co żyć.

Co z tego, że kocha? Nie będzie jej kochał wiecznie. Ewa pewnie umrze — to raz. I należy do Grzegorza — to dwa. Muszę się uzbroić w cierpliwość. Piekielną. Ja i cierpliwość! Wszystko dla mnie łatwiejsze niż to! A jeżeli nawet... czy taki... nieślubny wdowiec — będzie mógł kiedyś znów pokochać? Czekać i czekać. Na wszystko czekać. Na chłopaka czekać. Na następny konkurs czekać. Nie mam ja szczęścia w życiu.

Tato mówi, że robię postępy, chwali mnie, ale pewnie chce pocieszać, bo widzi, jak jestem zwiędnięta. Jak kisnę w wecku.

Dostałam od matki paczkę. Bardzo fajny kostium kąpielowy, cały na paseczki i klamerki, nowe lewisy i absolutnie wystrzałowy płaszcz. Ale nawet to mnie nie cieszy.

Dlaczego tato, kiedy go przycisnę do muru, mówi zawsze: „To moja wina, że mamy nie ma z nami...” Co on jej zrobił? Kiedy się dowiem prawdy?

Gram, chodzę na basen, Jurek ciągle się za mną snuje, mówi, że jestem śliczna. Zwariował! De gustibus... Zresztą... gdzie mnie teraz takie rzeczy w głowie!

Głównie to jestem u Andrzeja za Czechowicza. Nie za aktora, tylko za tego asa wywiadu:

— Zośka...

- Tak?

— Słuchaj... chciałbym, żebyś się wywiedziała...

— O co?

— Przede wszystkim, jak się nazywa ten lekarz. I żeby mnie przyjął.

Czy on zwariował? Albo czy ja zwariowałam?!

— I czy mogłabyś się dowiedzieć na uczelni, jakie ona ma stypendium? I o rodzinę. Czy ma rodzinę i gdzie.

Mam mu pomagać, żeby się zajmował tamtą?!

— Zośka, możesz się dowiedzieć?

— Mogę.

Dlaczego „mogę”? Dlaczego kopię dla swej miłości grób? Łączę się z moim serwisem informacyjnym: „Halo, Jurek...”

Dlaczego? Czy ja wiem, może dlatego, że nie potrafię Jędrkowi niczego odmówić, kiedy patrzy na mnie tymi ślepiami. A może dlatego, że liczę na jego wdzięczność — i że ta wdzięczność kiedyś przerodzi się w całkiem inne uczucie? Czy też dlatego, że dotknęło ją nieszczęście, więc jeżeli mogę coś pomóc... Ej, ty, nie bądź taka szlachetna! Więc dlaczego?

Nie wiem... Nie wiem...

Lekarz przyjął mnie w swoim gabinecie. W klinice na Oczki. Facet ociężały, spokojny, opanowany, skryty za okularami w czarnej, grubej oprawie. Obojętny? Nie wiem. Chyba nie... Czyż zajmując się tak potwornymi chorobami można mieć „serce na dłoni”?

— Nie będę przed panem ukrywał, że sprawa jest poważna — powiedział nie patrząc na mnie. — Wszystkie objawy wskazują na to, że coś się dzieje u podstawy czaszki. Nie musi to być nowotwór złośliwy, może być łagodny, może być ropień. Ale stwierdzić, co to jest, można tylko przez badanie histopatologiczne. Czyli przez badanie wycinka pod mikroskopem.

— To znaczy operacja?

— Tak.

Zdjął okulary. Spojrzał na mnie. Oczy ma wyblakłe! zmęczone.

— I właśnie na to... — zawahał się — pańska żona musi wyrazić zgodę na piśmie.

Czuję, że robię się purpurowy. Przeczyć? Wyjaśnić?

— Nie ma innego wyjścia?... — bełkoczę.

Założył okulary i znów mówi spokojnie, rzeczowo obojętnie.

— Nie ukrywam... skutki mogą być poważne. Ślepotą, utratą pamięci, utratą mowy, paraliż... a nawet śmierć. To jest mózg. Wszystkie ośrodki dyspozycyjne.

Zdrętwiałem od tych perspektyw — ale silniejsze niż lęk było wzruszenie: „żona... pańska żona...”

— A operacja...?

Pytam, choć wiem, że tego, co pragnę usłyszeć, usłyszeć nie mogę. Profesor znów zdjął okulary, popatrz na mnie jakoś tak uważniej i powiedział ze smutkiem ale nie bez nadziei:

— Operacja nie daje żadnej gwarancji. Daje tylko szansę.

Idę Alejami. Coś dławi w gardle, obręczą ściska serce — trwoga miesza się ni to z radością, ni to zdumieniem: „żona”...

Zerkam w szyby wystawowe. Patrzę na swoje odbicie i myślę: „Więc ja mógłbym mieć żonę... więc ja mógłbym być mężem... więc wyglądam jak ktoś, kto może być mężem...” Widzę patykowatą sylwetkę, kosmyk sterczących włosów, „koguta”, z którym Zośka nigdy nie może sobie dać rady, gdy wypycha mnie na estradę — i wprost uwierzyć nie mogę, że lekarz mógł mnie wziąć za męża takiej niezwykłej dziewczyny. Doszedłem do Nowego Świata. Lunał deszcz. Wskoczyłem w 144. Zapomniałem, że nie mam biletu. Kupiłem ulgowy od staruszka rencisty.

Pod kolumną Zygmunta — rojno jak zwykle. Przypominam sobie radosny nastrój, gdy się włóczyłem tu w czasie eliminacji. Trzy miesiące temu — jak dawno! Ile się zdarzyło od tamtych dni.

Skręciłem w Świętojańską, „...żona — żona — żona...” — Cantabile. Nigdy nie myślałem, że mogę mieć żonę. To tak dalekie... jak lot na Wenus.

Obrazy — jak z filmów:

Słońce przedziera się przez firanki, a Ewa śpi wtulona w moje ramię. Moja żona.

Mam próbę z orkiestrą, a ona siedzi w pustej sali. „Któż to jest ta pani?” — pyta dyrygent. — „To moja żona”.

A potem idę drogą między moimi rosochatymi — kiczowatymi w stronę szkoły. Ojciec wychodzi na próg, rozbiegają się rozwrzeszczane dzieciaki, a ja mówię: „Tatusiu, to jest Ewa, moja żona”.

Deszcz znów zaczął padać. Ciepły, letni. Podniosłem głowę — krople mieszają się ze łzami. Jestem szczęśliwy.

Stoję przed bramą jej domu. Tak, to chyba tu.

Idioto — mówię sobie — idioto! — Ale uczucie szczęścia nie daje się zdusić.

Wycieram twarz i wchodzę na podwóreczko.

Tydzień... już tydzień, skąd mi się bierze to głupie „już”? Czas wlecze się, każda sekunda kapie na móż niby w chińskiej torturze...

Ileż to razy chciałam biec do Grzesia, ile razy chciałam krzyczeć: „Nieprawda! nieprawda! to — nieprawi da!”

Jak zatrzymana klatka filmowa... („Zeszłego roku w Marienbadzie”) i znów, i znów, i jeszcze raz, od początku do końca, od końca do początku, i znów, i znów, i jeszcze raz: brzęk kluczy, chłód szyby i tamten mój krzyk: „Czy mam się przespać z innym!...”

Ciągle czekam, że przyjdzie, choć wiem, że nie przyjdzie, a gdyby przyszedł, wiem, że zacznę wszystko od nowa, powtórzę dokładnie, nic nie zmienię, ten wysiłek, ten wyczyn, ten ból nie może pójść na marne, to wszystko wiem, ale pragnienie, aby przyszedł, jest silniejsze; powstrzymać krzyk! Wbijam zęby w rękę.

Jest dumny, uraziłam jego dumę, nienawidzi mnie, we śnie widzę obok niego inną dziewczynę, wołam: „Grzesiu!”, a on się nawet nie odwraca, odchodzi z tamtą inną. Coś dusi za gardło. Budzi mnie własny płacz.

Nawyki tylu lat, kiedy wszystko nastawione było na życie. Jak trudno się przestawić. Po co załatwiłam urlop dziekański? A kiedy dziekan zapytał, dlaczego ja, taka wzorowa studentka, proszę o urlop, pozwoliłam wyciągnąć z siebie prawdę. A w każdym razie część prawdy. Po co urlop, skoro kończę ze sobą?

Na co czekam? Podświadomie... nie, już świadomie — czekam na niego. Muszę go jeszcze zobaczyć. Grzesiu...

Bo na cóż innego czekam? Przecież nie na cud. Żyć bez żadnej nadziei — piekielnie trudno. Najmniejsza szczelinka wystarczy — i nadzieja przeciska się, wraca i znów ludzi, mami, a potem jeszcze gorzej!

Zawsze byłam pedantycznie porządna, a teraz w domu bałagan. Żadnej myśli, żadnego zamiaru nie potrafię doprowadzić do końca. Biorę coś do ręki: książkę, papier, ciuch. I za chwilę odrzucam w ką. Potem próbuję porządkować, przekładam z miejsca na miejsce bałagan rośnie. W Golgotę.

Czasem automatycznie podchodzę do deski i coś próbuję kreślić. Po chwili zrywam kalkę, drę ją i ciskam na ziemię. Potem przypinam następną i znów ją drę na strzępy. A może by napisać list do ciotki? Niby powinnam. Ale po co? Skarżyć się? Napisać „Adieu!”? Co mam pisać? — „Ciociu kochana...” — piszę, potem mażę jakieś zygzaki, koła, kwiatki, wreszcie jedno słowo, jedyne słowo, które coś znaczy... „Grzesiu!” Wyrwam papier z bloku. Stos zmiętych kartek leży już na podłodze. I znów zaczynam: „Ciociu kochana...” zygzaki, koła, kwiatki. Grzesiu!

Moje konszachty ze śmiercią zaczęły się już dawno. Długo dręczyła mnie myśl, że nie wiem, jak mamusia umierała, że nie widziałam, jak ją grzebali w ziemi. Dzień, w którym wreszcie, zmęczeni moją tęsknotą, powiedzieli, że umarła. Zrozumiałam z tego wtedy tylko tyle, aż tyle, że już jej więcej nie zobaczę. Wszystko zatrzymało się, zamarło. Serce przestało bić. Krew przestała krążyć. Nie chcę! Nie chcę!



- Co to znaczy... umarła? Gdzie teraz jest?

Noc w koszmarach majaków. Aż zobaczyłam ją cichutką, uśpioną. Pragnęłam żywej, błagałam o sen. Ale nic nie chciała do mnie mówić.

Nazajutrz zaprowadzili mnie na Powązki. Od bramy cmentarnej droga długa – a jeszcze za krótka. Może to nieprawda?

Wreszcie jej grób. Nie mogłam uwierzyć, że jest tu, w głębi ziemi. Stałam z bukietem niezapominajek i wlepiłam oczy w niebo między drzewami. Tam jej szukałam. „Mamusiu, Mamusieńko na obłoku, gdzie jesteś, daj mi znak, odezwij się, co się z tobą stało?” Czytam obojętne litery: „Zmarła...” „Żyła...”

„Żyła”... Więc nie żyje? A gdzie jest? Gdzie jest? Czy mnie widzi?

I nagle... Sto razy już może byłam przy tym grobie! I nagle wśród tych kamieni i posągów, aniołów, krzyży, nagich drzew — spłynął spokój: tak było, będzie, tak być musi. Ty umrzesz także.

Nigdy nie było tyle myśli o niej, co wtedy. Fotografia, sukienka, jakaś szpilka... Widziałam ją ciągle. Nosila w sobie, jak ona niegdyś mnie nosila. Wszędzie jej pełno, choć jej nie ma.

Potem czas-lekarz przesłonił wszystko mgłą. Mateńko na obłoku — śpij.

Kiedy dorosłam i zaczęłam myśleć, nie wystarczyło mi już to wyobrażenie poetyczne, nie wystarczył obłok. Zapragnęłam zobaczyć śmierć. Naprawdę zobaczyć.

I zobaczyłam. Przeżyłam koszmar. Babcia... Dotknęłam wtedy śmierci, jak tylko można jej dotknąć, a mimo to dalej nie mogłam uwierzyć, że mamusia umarła, że umierała, że była potem trupem, że została pogrzebana, że chodzę na jej grób. Gdyby to było w mojej mocy, tobym ten grób rozkopała, żeby szukać jej śladów.

Wczoraj nie umiałam się powstrzymać, poszłam wieczorem pod szkołę, stanęłam w bramie mego dawnego domu i czekałam, jak będzie wychodził, wreszcie się zjawił, nie znam tych brązowych riflów, nie widać nim żadnej żałoby, jest cały z życia, idzie z Zośką, zagadani, roześmiani, spłynęło jak woda po psie, przecież tego chciałaś — nie tego, nie tego! Sama mówiła, że się całowali, pewnie teraz znów... jak mógł tak łatwo, przecież tak chciałaś, nie tak, nie tak! przecież nic nie wie, gdyby wiedział, to co? Co? Co?

Kilka kroków szłam za nimi, do Kopernika, potem wróciłam do domu, ogłuszona, zmartwiła, chciałam to zrobić zaraz, ale zasnęłam nie wiadomo kiedy, zasypiając pomyślałam: jutro. Jutro.

Przysuwam się do okna. Pada deszcz. Już wieczór, właściwie zmierzch, „szara godzina”, pora, którą uwielbiam. Uwielbiałam. Patrzę, jak w deszczowej mgiele już świecą latarnie uliczne, zapalają się pierwsze światła w oknach, coraz więcej, coraz mleczniej, a na zachodzie niebo się czerwieni. Na szybę padają pojedyncze krople. Patrzę, jak powoli spływają. Jedna po drugiej. Potem ulewa. Dudni.

I nagle — słyszę kroki na schodach. To nie kroki sąsiadki, która powłóczy nogami. Serce łomocze, podchodzi aż pod gardło. Ale dlaczego on nie biegnie? Dlaczego idzie powoli? Zawsze biegł do mnie, a teraz... Dzwonek. Odrywam się od okna. Schodzę z tapczanu. Jeden stopień, drugi — stoję wmurowana na środku pokoju. Znów dzwonek. Nieśmiały, ledwie muśnięty, otwieram: w drzwiach — Andrzej. Jakby mnie ktoś w serce pięścią uderzył. A on uśmiecha się leciutko, krople spływają mu po twarzy, włosy mokre opadają na czoło. Żałosny. Cały z deszczu. Milczę. I on milczy. I tak milczymy oboje, długo, nie do zniesienia. Wreszcie pytam z nikłą nadzieją:

— Grzegorz cię przysłał?

— Nie.

Staram się opanować.

— Zdejmij płaszcz. Taki deszcz.

Zdjął kurtkę, przejechał włosy palcami. Wchodzimy do pokoju. Usiłuję bezskutecznie zrobić porządek.

— On nie wie, że tu jesteś?

— Nie.

- Czy Wszystko z nim... okay?

— Pracuje. Dużo pracuje.

- To... dobrze.

I znów milczenie.

— Ewa, ja wiem wszystko.

Wiedziałam, po co przyszedł. Od razu wiedziałam. Łudziłam się, a jednocześnie wiedziałam. Patrzę mu prosto w oczy. Rozczarowanie. Rozpacz. Potem — gniew.

— Nic mi nie potrzeba. Proszę to zrozumieć i... cześć!

Nie spieszył się. Wytrzymał moje spojrzenie.

— Nie. Nie pozbędziesz się mnie. Słuchaj!

Jestem niewdzięczna. Nie chcę słuchać. Ale dlaczego mam być wdzięczna? Wiem, co mi powie. Więc mówię:

— Po co się w to mieszasz?

— Ja nie ustąpię. Musisz zrozumieć. I... wysłuchać mnie.

— Nie chcę żadnej operacji.

— Jeżeli nie poddasz się...

— Mam prawo zrobić z sobą, co zechcę.

— Nie. Nie jesteś sama na świecie.

— Ooo?... proszę...? Nie jestem sama?! Zostaw mnie! Ja naprawdę nic nie potrzebuję i nie chcę, żeby ktokolwiek...

— Ewa, ta operacja musi się udać. Czy ja bym... gdybym sam nie wierzył... Posłuchaj!

— Niepotrzebnie tracisz czas — mówię, ale jego żar, jego upór rozbrajają mnie.

— Byłem u twojego lekarza. Profesor jest przekonany...

Czuję, jak krew znów mi pulsuje w żyłach.

— Ty byłeś u lekarza? Ty?...

Przecież Grześ nic nie wie. Gdyby wiedział...

Patrzę długo, uważnie w oczy Andrzeja. Jest w nich spokój. Wiara. I już wiem, że nie będzie tak, jak myślałam. Łzy spływają mi po twarzy. Więc mam walczyć o życie, bo on tak chce?

— Ja nie chcę! Nie chcę... — szepczę, ale to są już tylko słowa. Dlaczego ulegam? Dlaczego oddaję się w jego ręce? W obce ręce? Czy dlatego, że zawsze wierzyłam w przeznaczenie? Skoro tu przyszedł... Skoro mnie odnalazł... Nadzieja drgnęła jak karp, co nawet pokrojony w kawałki jeszcze na desce skacze. Żyje każdą cząstką z osobna. Żyje?...

Już jest po wszystkim. Niezłोśliwy. Łagodny. Dobry. Niezłोśliwy.

Jak minął cały ten tydzień? Ostatnie godziny... jak one miały? Zdusić w sobie wyobraźnię. Ścieli cudowne jej włosy. Zniszczyli Teofana.

Lekarz pozwolił mi do niej wejść. Za ostatnie grosze kupiłem czerwoną różę. Jeszcze się nie obudziła po narkozie. Leży bledziutka, wschodnia Madonna z głową w białym turbanie. Śpi.

Pielęgniarka się do mnie uśmiecha:

— Serce świetnie pracuje. Silny, młody organizm, Anestezjolog był bardzo zadowolony.

— Panie profesorze... czy można mieć nadzieję, że będzie zupełnie zdrowa?

Widzi, że jestem półprzytomny. Mówi, jak zwykle, ostrożnie, ale czuję, że dobrej jest myśli:

— Tak, można mieć nadzieję. Wydaje się, że nowotwór był łagodny, ale całkowitą pewnością będziemy mieli za kilka dni, gdy już otrzymamy wynik badań histopatologicznych. Ale i to nie daje gwarancji pełnego powrotu do zdrowia. Szczęśliwie, guz był w otoczkce, nie naciskał tkanki mózgowej, chociaż dawał objawy uciskowe. Te objawy powinny się teraz zacząć cofać. Powinno być coraz lepiej.

Jak na niego, to powiedział dużo.

— Czy mogę poczekać, aż się obudzi?

- Lepiej nie. Zdarzają się przykre objawy. Niech pan przyjdzie jutro. A my powiemy, że pan tu dzisiaj był. Różę położyłem na kołdrze. Zobacz ją gdy się obudzi.

Wyniki badań histopatologicznych — dobre!

Przez kilka miesięcy będzie potrzebowała stałej opieki i oczywiście nie może pracować. Mój kapitan Czechowicz vel Pekińczyk spenetrował, że zarabiała zleconymi pracami kreślarskimi. Teraz musi jej pomóc rodzina. Rodzina... Ojciec gdzieś w świecie, raz o nim wspomniałem, to tak się zdenerwowała, że chyba nił można go brać pod uwagę. Ciotka i stryj w Krakowie Przyjaciółki od serca żadnej. Całe życie wypełniał jej Grzegorz; to znaczy, całe życie od połowy lutego.

Dziś miałem ostatni egzamin, dobrze mi poszło. Pożyczyłem od Zośki forszę, oddam jej ze stypendium i tłukę się w zatłoczonym wagonie do Krakowa.

Tuk, tuk, tuk, tu-tu-tuk.

Tu-tuk, tu-tuk-. Honeger zrobił z tego świetny kawałek. — Tuk-tu-tuk-tu-tuk!

Idę najpierw do stryja. Ulica Gołębia nr 8. Wchodzę do sieni, na klatkę schodową. Kamienica stara, zaniedbana. Wytarte, kamienne schody, na półpiętrach nisze, w których zapewne kiedyś stały gipsowe

posągi Na drzwiach kilka biletów wizytowych z informacjami, ile razy do kogo dzwonić. Mam dzwonić cztery razy. Dzwonię. Krótko, urywanie.

Otwiera mi wysoki, chudy mężczyzna. Nie ogolony w brudnym, fioletowym szlafroku. Uderza odór stęchlizny. Typ wpuszcza mnie do środka, ale przykładą palec do ust, żebym nic nie mówił. Stoję w korytarzu, a on robi jakieś dziwne miny wskazując na zamknięć drzwi do pokoiów. Wreszcie wciąga mnie do siebie. Zamyka pośpiesznie drzwi i mówi szeptem:

— Pan do mnie? — ściska mi dłoń odrażająco wilgotną ręką i mruczy swoje nazwisko. Zaduch. Staraj się wstrzymać oddech. Chcę uciekać. Niepotrzebnie tutaj przyszedłem. A on mówi zduszonym szeptem:

— Nie chciałem, żeby pana zobaczyli, to wszystko wrogowie Doniosa i każą mi płacić podatki. A z czego będę płacić? Z czego? Powiedz pan, z czego?

Pyta tak natarczywie, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi. Ogarniam wzrokiem nieopisanie brudny pokój. Pani Roma to sterylizowany inkubator! Na środku piękna recamiera z rzeźbionym wezglowiem, zarzucona zmiętą, sto lat nie praną pościelą. Na ścianach gęsto od obrazów, zegarów, kinkietów. Pod oknem fotel: z podartego gobelinu wylażą sprężyny. Na podłodze też mnóstwo staroci: samowary, patery, moździerz, lichtarze, zegary. Parapet i duży stół ciasno zastawione gratami. Wśród rupieci i dzieł sztuki płaczą się tu i ówdzie części garderoby i resztki jedzenia w garnkach, garnuszkach, słojach, słoikach na talerzach, na papierach...

A on mi się przygląda, przygląda i nagle zaczyna się z lekka krygować:

— Och, gdzież ja pana posadzę... — mówi i odgarnia pościel odsłaniając bebechy rekamiery.

— Czego pan szuka? Zegara? Teraz wszyscy szukają zegarów.

Nie siadam. Chcę jak najszybciej odejść. Mówię jednak:

— Jestem kolegą Ewy. ~ Ewy? Jakiej Ewy?

- Pańskiej... bratanicy.

- A... No, jakże się miewa? To ładnie, że mi przysyła takich miłych klientów. Zegarów mam parę...

- Nie szukam zegara. Ewa jest bardzo chora.

Nastroszył się okropnie i mruczy: Bardzo chora. Bardzo chora. Ja też jestem bardzo chory. A nikt się nade mną nie użala.

Spojrzał na mnie jakby chciał, żebym to ja się nad nim użalał i zapytał:

- Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję.

Z przerażeniem patrzę na brudne naczynia. Ale , nie zważa na moje protesty.

— Napije się pan... — mówi z przekonaniem i zaczyna się krzątać niby alchemik w swej pracowni: wyciąga jakieś torebki, coś dosypuje, przesypuje, miesza, bierze jeden garnek, popłukuje go wodą z drugiego bierze zupełnie inny, stawia go na płytce elektrycznej wyciera połą szlafroka stare, piękne filiżanki...

— Ewa miała operację... — „Po co ja to mówię?” przebiega mi przez myśl, ale brnę dalej: — poważną operację. Nowotwór mózgu. Nieprędko będzie mogła normalnie żyć, pracować... trzeba się nią zająć, przynajmniej finansowo... — recytuję jak wyuczoną lekcję, z poczuciem absolutnego bezsensu tego, co robię.

Przerwał swoje dziwne celebacje i przygląda mi się w milczeniu. Po czym wybucha histerycznym śmiechem:

— Finansowo?!... Ja?! Przecież ja jestem nędzarz! Nie wiem już teraz, czy się jeszcze śmieje, czy też szlocha:

— Nędzarz! Żebrak! Gnoj! Proch! Niech pan idzie do mojej siostry! Ona jest bogaczka. A ja nędzarz! Nędzarz! I kiedy umrę, nikt mnie nie będzie żałował. Nikt po mnie płakać nie będzie!

Nagle przestaje szlochać, wyciera nos rękawem i mówi spokojnie:

— Chyba że ci, co ich greki kiedyś uczyłem: Menin aeide Tea... Albo łaciny: Odi profanum vulgus...

Ale gdzie oni teraz są?

Zdecydowałem się wyjść.

— Przepraszam, że pana niepokoiłem.

Chwyta mnie za rękę.

— Nie puszczę pana! Przecież robię kawę! I mam likier własnej roboty. Delicje!

Robi mi się niedobrze. Wilgotne, lepkie palce wpiły się w moją dłoń.

- A może interesują pana lampy naftowe? Secesja teraz jest w modzie. Wallisa czytał pan? Zrobię specjalną cenę. Pół darmo. Z trudem uwalniam rękę. Wlepia we mnie oczy i mówi szeptem:

- Jesteś piękny jak anioł, syneczku. Czy mówił ci ktoś to, że masz oczy archaniola? Pełne miłości i gniewu. Na pewno nikt ci tego nie mówił. Ludzie są ślepi. Co za szczęście, że czasem los pozwala nam spotkać kogoś, kto nas zobaczy. Prawda?

Zbliża się do mnie, wyciąga rękę, jakby chciał dotknąć mojej twarzy. Cofam się gwałtownie, aż brzęknął jakiś samowar, i otwieram drzwi do przedpokoju.

— Muszę już iść. Do widzenia.

— Niedobry. Niedobry chłopiec. Ale wrócisz, syneczku, prawda? Ja będę czekał. Będę czekał.

Pamiętaj, że ktoś na ciebie czeka, Gabrielu! Wybiega za mną na klatkę schodową. Chwyta za poręcz i frunęły poły szlafroka — jednym susem jest tuż przede mną.

— Więc Ewa chora? Biedne dziecko. Ale przecież ma ojca. Wyrodny brat! Nic mi nie przyśle. Nic! Za Grosz. Najmarniejszej paczuszki! Napisz do niego. On ma pieniądze. Idź do mojej siostry. I ona ma pieniądze. Mają pieniądze. Ja wiem.

Próbuję go odsunąć, wyminąć.

Ja czekam. Człowiek sam niczego nie wie o sobie. Dopiero gdy medium znajdzie. Nie wiesz, nie przeczuwasz nawet, co ja w tobie widzę. Bo ja cię zobaczyłem, syneczku! Czekałem, czekam i czekać będę! Gabrielu!

Gonia za mną te słowa, a ja zbiegam po schodach po Kilka stopni naraz.

— Nie uciekaj — woła — nie uciekaj!... Operam et oleum perdidi!

Otwierają się jakieś drzwi, ktoś wyjrzał na klatkę schodową. Już jestem na ulicy.

Strach. Litość. Obrzydzenie.

A siostra zupełnie do niego niepodobna. Dom lśni czystością. Wytwornie ubrana, delikatna, drobna pani: Mówi łagodnie, miękkim głosem:

— Mój Boże, mój Boże... Biedne dziecko, kto by się tego spodziewał...

W dużych oczach — przypominają mi Ewę — czai się lęk. Ale strach nie dotyczy Ewy. Jest to jej własny lęk. Przed samotnością? Przed śmiercią? A może przed nieuchronną starością?

Zadziwia mnie, ile w Krakowie „przedwojennych” domów. Pokój ciotki Ewy wysoki, duży, sufit zdobiony bogatą sztukaterią. I choć przeładowany meblami to jednak jest piękny, czysty, urządzone ze smakiem. Obrazy, porcelana, dywany...

Pani domu nerwowo szarpie brzeg grubej, haftowanej serwety:

— Dlaczego mi nic nie napisała?

— Była zupełnie załamana.

— A pan jest... Grzegorz, tak?

Pokręciłem przecząco głową.

— Już nie? Jak to u was szybko biegnie. Nie mogę: się przyzwyczaić...

— Proszę pani... — chcę wyjaśnić sytuację, ale rezygnuję, milknę.

— Napije się pan herbaty? Właśnie upiekłam migdałowe ciasteczka. Ewa je uwielbia. Jakbym przeczuwała... Zapakuję trochę dla niej. Weźmie pan, dobrze? I krząta się wokół herbaty.

— Ewa nie ma innej rodziny poza panią i stryjem?

- Ma ojca.

- To chyba nie może wchodzić w grę.

- Tak Właściwie nie ma ojca. Mój brat zapomniał o nas wszystkich. Ale w takim wypadku... Sama nie wiem... Biedne dziecko. Nie mogę przyjść do siebie. Taka straszna operacja i ja nic o tym nie wiedziałam...

- Najgorsze już ma za sobą. Ale teraz trzeba jej pomóc.

- Cóż ja mogę poradzić?

Ach tak?! „Biedne dziecko, biedne dziecko”, a potem: „Cóż ja mogę poradzić?”

- Proszę pani... Ewa przez wiele miesięcy nie będzie mogła pracować. Jej stan wymaga opieki. Stałej, troskliwej opieki.

— To znaczy, że potrzebne są pieniądze. Rozumiem.

Nic nie rozumiesz, babo!

— Proszę pana, ja naprawdę nie mam żadnych oszczędności. Przeciwnie, raz po raz muszę coś wynieść do Desy, bo to, co mąż zarabia, nie wystarcza. Załatwiłam Ewie to cudowne mieszkanie. I płacę za nie. Więcej naprawdę nie mogę. Czasem pošlę jej jakieś fatałaszki. Traktuję ją jak córkę. Bardzo lubiłam jej matkę...

Przenoszę wzrok z obrazu w ciężkich złożonych ramach na empirową sekretkę, zdobioną przepiękną intarsją. Pani zauważyła moje spojrzenie i robi się purpurowa. A ja mówię powoli, choć wiem, że na darmo:

- U nas w domu... jak mama była chora, to ojciec sprzedał wszystko. Nawet łóżka. Spaliśmy na siennikach, na podłodze.

Na jej twarzy skurcz bólu i zgorzenia.

- I cóż, mama wyzdrowiała?

- Nie- umarła.

Przykre milczenie. I monolog:

- Tylko młodość potrafi być tak okrutna. Pan jest bardzo młody. Panu to trudno zrozumieć. Ja się nie dziwię. Tych trochę staroci... To jest wszystko, co mam. Z każdym rokiem nie jestem, niestety, młodsza. Nie mam żadnego zawodu. Na męża liczyć nie mogę...no nie mogę. Mój brat... sam pan widział. Na nikogo liczyć nie można. Pan jest za młody, żeby zrozumieć co czuje człowiek, który wie, że może przyjdzie dzień kiedy nie będzie miał co do garnka włożyć. I że jest na świecie sam. Zupełnie sam. Ewa jest młoda. Przed wami jest życie. A ja... Ja już na nic nie czekam, i wszystko przegrałam. Chciałabym tylko mieć spokój i nie bać się... głodu...

I nagle histeryczny szloch:

— Pan wie, co to głód? Pan nawet nie wie, jak smakuje brukiew. I że można gotować zupę z lebiody...

— Przepraszam... — bąkam.

Pani opanowała się.

— To ja przepraszam. Nie powinnam tego mówić!

Przestaję w nieskończoność mieszać herbatę. Mimo tych wynurzeń nie rozumiem, dlaczego nie zaproponuje, by wziąć ją tu, do siebie. Nie chciałabym, żeby to się stało, ale nie wolno mi kierować się chceniami. Więc mówię:

— Ewa musi mieć opiekę. Nie może być sama. Stałą opiekę.

Pani bezradnie rozkłada ręce:

— Niestety. Ja wyjechać nie mogę. Nie mogę zostawić domu. Mam męża... Mój mąż...

Gniew. I ulga, że nie weźmie jej do Krakowa. Ale dlaczego? Tajemnica rodzinna?

Pani jakby wyczuła pytanie:

— Tu jej nie mogę zaprosić. Trudno mi to panu wytłumaczyć... Proszę mi wierzyć, nie mogę. Można będzie chyba umieścić ją w sanatorium. Po takiej operacji. A potem zobaczymy. Zrobię, co tylko będę mogła. Postaram się przyjechać do Warszawy na dzień, dwa... może kilka dni. Ale do niczego zobowiązywać się nie mogę. Niech pan postara się to zrozumieć.

- Do widzenia pani.

Wyciąga do mnie rękę.

- Pan ją kocha... — mówi to z takim smutkiem, jak by to było największe w świecie nieszczęście.

Wychodzę. Otwiera za mną drzwi.

- Ciasteczka! Zapomniał pan ciasteczek...

Wracam i biorę z jej rąk te cholerne ciasteczka. Jest zażenowana, speszona, jej oczy błagają o litość.

Schodzę powoli po schodach. Czy my, moje pokolenie, też będziemy tacy potworni, gdy przyjdzie nasza starość? A może to nie sprawa wieku, tylko tych, co to *patrzą na prawo, patrzą na lewo, a patrząc widzą wszystko oddzielnie: że koń, że Stach, że płot, że drzewo?...*

Mam jeszcze godzinę do pociągu. Włóczę się po Krakowie. Po dużym Rynku, po małym Rynku, pod Sukiennicami, w kółko. Ale nawet kościół Mariacki nie robi dziś na mnie wrażenia. Patrę i nic nie widzę. Niepotrzebnie przyjechałem. Szkoda było forsy na pociąg. No, ale teraz jest już jasne, że ona nie ma nikogo na świecie. Zostałem tylko — ja.

Oblatuje mnie strach przed odpowiedzialnością. I radość, że ją mam. Dobrze. Bardzo dobrze.

Pierwsze kroki w Warszawie do Ewy, do szpitala.

Uśmiechnęła się do mnie! Bardzo słabiutka i dziwnie nieobecna, ale lekarz jest z niej zadowolony.

Dobrze, że leży razem z miłą, kulturalną pacjentką. Cała rodzina tamtej ujmująca: mąż i dwoje dzieci.

Widać, że się bardzo kochają. Ta chora wymienia z Ewą uśmiechy i jakieś miłe słowa. To ważne, żeby w takiej sytuacji mieć koło siebie kogoś sympatycznego.

Wypiła przy mnie szklankę soku pomarańczowego!

Przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych w takim mniej więcej stylu:

— Cześć, stary. Muszę się z tobą zobaczyć. Potrzebuję forsy. Co? Wezmę wszystko, co popadnie. No knajpy raczej nie. Nie wyglupiaj się. Znacznie więcej niż na skrobankę. Dobrze. Jutro. Cześć. Przypomniał mi się taki jeden kumpel, Krzysiek, który kiedyś męczył mnie, żebym pograł w jazzowym zespole: „Bądź człowiek, to jest trudna muzyka, a d ciębie jak spluć. Zagrepsujesz i cześć! Przestań się certolić! Wykotłujesz pół patyka za wieczór!” Muszę go odszukać.

Dobrze, że już wszystko zdałem, mam czas, mogę swobodnie motać na jeden kłębek różne chałtury. Jeszcze żeby Grzegorz zgodził się oddać mi swoje ranne godziny. Ewa będzie musiała długo spać, więc rano będę grać, po graniu pobiegnę do niej, załatwię wszystko, co trzeba, po południu i wieczorem — chałturę, a w nocy? Czy może być sama? Zupełnie nie wyobrażam sobie, jak to się wszystko ułoży. Przypuszczam szturm do Grzegorza, choć widzę, że jest zły. Ćwiczy mazurka fis-moll. Coś mu nie idzie, powtarza w kółko jedną frazę.

— Stary, jest taka sprawa... czy mógłbyś się zamienić ze mną, dać mi twoje dwie godziny ranne, a ja ci za to oddam wszystkie moje popołudniowe?

— Przecież wiesz, że najlepiej mi się ćwiczy rano

— Jeżeli nie możesz...

— Nie bądź taki narwany! O, już się obraża!

— Nie, wcale nie.

— Poczekaj. Chcesz ćwiczyć dwie godziny? Tylko dwie?

— Dwie. Potem mam... takie różne...

- Chałturki? Teraz? Przed październikiem? Stary, na głowę upadłeś? A Tata o tym wie?

- Nie. Ale będzie wiedział. Powiem mu.

- Chciałbym to słyszeć!

- Potrzebny mi duży pieniądz.

- Twoja sprawa. Dobrze. Zgadza się. Od kiedy?

- Jeżeli możesz, od zaraz.

- No nie, ja też mam namotane takie różne... Od poniedziałku.

- Dobrze.

Wyraźnie wraca do zdrowia. Pielęgniarki zauważyły, że mówi mi „pan”. Okropnie były zaskoczone. Kiedy jesteśmy sami, zwraca się per „ty”, a przy obcych zaraz zamienia „ty” na „pan”. Może broni się w ten sposób przede mną? Chce podkreślić, że nic nas ze sobą nie łączy. Że nie mam żadnych praw. I żadnych szans.

Nie wolno mi jej niczym zrazić. Musi uwierzyć, że nie ma obowiązku spłacać mi długów. W żadnej walucie.

Dzisiaj są „Wianki”. Już gram w zespole Krzyśka. Na estradzie, na Powiślu. Głupio mi jakoś tak zupełnie się przestawić. Grać pod piwko i kiełbasę. A jutro? ..Kongresowej”, Pod strip-tease i strzelające korki radzieckiego szampana.

Ogarnia mnie lekki niepokój. Czy oni nie kłamią? Patrzą na panią Grażynę. Kiedyś musiała być bardzo ładna. Teraz długi nos, wystające kości policzkowe ostro rysują się pod obciągniętą skórą. Ale oczy ma wciąż jeszcze pełne blasku i miły uśmiech. Dzieci śmieją się, opowiadają coś mamie jedno przez drugie a ja czuję, jak wali ze strachu jej serce. Bo mąż rozmawia teraz z profesorem. O jej losie.

Wrócił z uśmiechem na twarzy, ale mnie się wydaje że to jest maska:

— Kochanie, jest bardzo dobrze, za kilka dni zabieramy cię do domu.

Pani Grażyna promienieje, dzieciaki niemal skaczą z radości, a on zaczął się mocować z zakrętką od kompotu.

Smutno mi będzie bez pani Grażyny.

— Jak to jest — powiedziała po wyjściu swoich oni mówią, że jest dobrze, a ja czuję się coraz gorzej.

Obudził mnie w nocy ryk. Zarzynane tępym nożem zwierzę. Zerwałam się, podeszłam do łóżka pani Grażyny. Zobaczyłam mokrą od potu, wykrzywioną bólem twarz.

— Zabijcie mnie... zabijcie... — rzeźni chrapliwie i jęczy.

Dzwonię po siostrę. Usiłuję wziąć chorą za rękę, ale jej ręka pręży się w spazmie bólu. Nie wiem, co robić. Na szczęście siostra zaraz przyszła. Zrobiła zastrzyk. Wkrótce usłyszałam ciężki, świszczący oddech śpiącej.

Ja nie usnęłam do rana.

Wpatruję się w puste łóżko pani Grażyny. Za kilka godzin będzie tu leżał ktoś inny. Myślałam, że zostawią ją jeszcze po tym ataku, ale wypisali. Twierdzili, że będzie zdrowa.

Udałam, że śpię, kiedy salowe zmieniały pościel, jest mój sposób, żeby unikać rozmów. Zostałam ukarana za udawanie. Usłyszałam ich szept: „Miła kobietka była... szkoda jej... miesiąc najwyżej i do ziemi”. „Myślisz?” „Profesor by jej inaczej nie wypuścił... to jasne” Biedne te dzieciaczyny...”

Wyszły. Długo leżałam z szeroko otwartymi oczami. Więc kłamia. Kłamia! Już nigdy nie zobaczę pani Grażyny.

Jutro zabieram Ewę ze szpitala. Dała mi klucze od swojej chaty, żebym posprzątał.

Nie bardzo wiem, jak się poruszać w tym jednopokojowym pałacu. Kupiłem kwiaty, owoce, jajka, mleko, kawę... Z „Estrady” mi jeszcze nie zapłacili ani z radia, ciągle wiszę u Pekińczyka. Pieniądze?... Jeśli zapyta... to co? Zbując, że dostałem od stryja lub ciotki?

Od ciotki nie, bo ciotka może przyjechać. Od stryja? Tak... Tak powiem, jeżeli koniecznie będzie chciała wiedzieć.

Nie wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy jutro ze szpitala wróci do domu. Ale wiem, że jakoś będzie. Musi być.

Powinienem pojechać do ojca. Wiem, że codziennie na mnie czeka. Napiszę, że profesor nie wyjechał na urlop specjalnie, aby mieć lekcje z kadrą. Nie lubię łąć. Ale nie potrafię mu wytłumaczyć prawdy tak, żeby go nie zranić. „Ojciec zawsze u ciebie na szarym końcu” - powie. I będzie miał rację.

Jeszcze kwiaty dla lekarzy i pielęgniarek. Dziś już będzie w domu. Strach i radość. Jak sobie dam radę? Radość i strach. I tak na przemian.

Więc jak to będzie: rano gram, potem biegnę do niej, próba w radio, znów u niej, koncert w szkole, znów u niej, zakupy itede, nagranie, zespół jazzowy, znów u niej... Noc? Nie wiem... Życie najlepszy reżyser. Jakoś się wszystko ułoży. Zośka mogłaby mi pomóc. Ale na pewno zaraz wyjedzie, gdzieśby w lipcu siedziała w Warszawie.

Jedno jest naprawdę ważne: nie wolno mi się zdradzić, że ją kocham. Kocham ją. Kocham. Kocham.

Wracam do domu. Jestem po operacji. Ale co naprawdę dzieje się w mojej głowie? W mojej „czaszce”? Andrzej załatwił wszystko jak trzeba: kwiaty dla lekarzy, czekoladki dla pielęgniarek, wszyscy zegnali mnie serdecznie — i nagle — to samo — to samo - piekielny ból w głowie, mgła przed oczami - pocieszają mnie, że to nic, że to minie, że to reakcja, że nerwy... a ja przecież wiem, że oni kłamia. Kłamia.

Dzień po dniu mija, a mnie wcale nie jest lepiej. Po co, po co to było? Dlaczego on mnie w to wpędził? Najgorsi są ci dobrzy! Po co się mieszał w nie swoje sprawy?

A co mnie obchodzi, że się dla mnie poświęca? Czy ja go o to prosiłam? Czy prosiłam go, żeby się na mnie rujnował? Żeby mnie karmił grejpfrutami? I skąd on wie, że ja tak lubię chałwę?

— Za co to wszystko kupujesz? — zagadałam | wczoraj.

— Za twoje pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Dał je dla ciebie twój stryj.

— Stryj? Nie wierzę!

Prosił, żebyś o tym nie wiedziała. Żeby nikt nie wiedział. Boi się o podatki.

- Znajdź wersję mniej księżycową.

- Bardzo się przejął twoją chorobą. Naprawdę. Ludzie są lepsi, niż myślimy.

- Albo gorsi. W każdym razie, nie są nigdy w sam raz.

Torturę każdego dnia przerzucam na jego barki. Niech dźwiga! Skoro się tak wpraszał! A on dźwiga, dźwiga i patrzy pokornie tymi nieprawdopodobnie jasnymi oczami. Święty Franciszek! Potrafi pół godziny stać nade mną ze szklanką mleka i powtarzać co chwila niezmaconym spokojem:

- Wypij to, Ewo.

Gdyby się mną nie opiekował, tobym zdechła z głodu i byłby spokój. Jego troska przedłuża tylko moją mękę. Nienawidzę go!

Nie mogę patrzeć na deskę. Prosiłam, żeby ją odstawił w kącie. Odstawia i truje:

- Niedługo zaczniesz rysować.

- Przestań! Nie cierpię fałszywych pocieszeń! Wiem, był złośliwy!

- Ewa, przysięgam ci, że nie! Tobie by może lekarz nie powiedział prawdy, ale mnie... tak.

- Nie „złośliwy”? Więc dlaczego jest mi gorzej, coraz gorzej... Gorzej niż przed operacją!

- Nie wiem... Ale...

- Dostyc się napatrzyłam. Nie chcę! Po co mnie tak męczyci? Nic nie pamiętam, nic nie rozumiem.

- Ewa posłuchaj, to na pewno minie...

- Nie chciałam tego wszystkiego. Chciałam umrzeć! Umrzeć! Uśpijcie mnie. Jak psa!

Rozszlochałam się, a on jeszcze:

- Musisz być cierpliwa...

Więc wrzeszczę w tym szlochu:

- Wynos się! To ty! Tyś mnie zmusił! Wiedziałam, że to na nic! Chcę być sama! Wynos się!

— Ewa!

— Wynos się! Coś się do mnie przyczepił! Kto ty dla mnie jesteś? Nie potrzebuję litości! Wynos się!

I wtedy ryknął takim głosem, że aż się przestraszyłam:

— Nie! Nigdzie się nie wyniosę! Rozumiesz?

A potem powiedział spokojnie, jak zwykle:

— Musisz przestać się bać, Ewa. Cokolwiek się stanie. Nie trzeba się bać. Nie jesteś sama.

Nie jestem sama!...

Nie mogę się pogodzić z faktem, że ja, właśnie ja nic nie wiedziałem! Ta Zośka głupia mówi dopiero jak już jest od dawna po wszystkim. Złośliwy Pekińczyk, żeby ją cis-molle zeżarły! A może ona nie głupia? Może nie chciała mnie denerwować? Przecież cholernie bym się przejmował, a i tak nic bym tu nie mógł pomóc. Jednak łyso mi, okropnie mi łyso, że nie wiedziałem, że nie byłem w szpitalu... Ale co stało, to się nie odstanie. Za to teraz...

Co za radość! Moja Ewunia! Moja mądra, kochana dziewczyna! Kupiłem olbrzymi pęk czerwonych róż i pędzę do niej. Biegnę skrótem, przez zadrzewione podwóreczko, tarasami spadające w dół, ku Wiśle. Ten sam ciemny masyw kościoła i klasztoru za murem, te same wesole staromiejskie kamienice. Ile czasu tu nie byłem! Od owego fatalnego zerwania. Jasne, kłamała, że mnie już nie kocha! Zrobiła to, żeby nie przeszkadzać mi w pracy. To jest człowiek. Prawdziwy człowiek. Boże, jak ją kocham! Już jestem na klatce schodowej. Jak dawniej skaczę po kilka stopni naraz. Psiakrew, nie mam kluczy... Czy ona już wychodzi z domu? Czy będzie sama? Ktoś musi się nią opiekować. Chciałbym żeby była sama. Dzwonię delikatnie, poruszam klamką... Drzwi są otwarte. Wchodzę.

Jest w pokoju. Leży pod oknem, na tapczanie, na naszym tapczanie wysoko oparta o poduszki.

Głowa zawiązana chusteczką... Błada, ale śliczna jak zawsze

- Ewa...

Kłękam na stopniu, kładę kwiaty, z jej oczu płyną łzy. To znaczy, że mnie kocha, wzruszyła się na mój widok, coś innego to może znaczyć?

Spojrzała na kwiaty.

- Dziękuję ci...

Chcę powiedzieć coś niekonwencjonalnego, a wychodzi najbanalniej w świecie:

- Tak się cieszę, Ewuniu, tak się cieszę, że operacja się udała.

Uśmiecha się ironicznie. Nie lubię tego uśmiechu!

- Och, znasz taki kawał: operacja się znakomicie udała, tylko, niestety, pacjent umarł.

Jest coś sztywnego między nami. Dawniej, gdy dostała byle bukietek, cieszyła się nim jak dziecko.

Śmiała się, zachwycała, wtulała w niego twarz. Teraz takie piękne róże — i nawet ich nie dotknęła.



Jednak tyle czasu nie widywaliśmy się... Nie byłem z nią wtedy, kiedy powinienem być. Ale tłumaczyć? Usprawiedliwiać się? Teraz? Chyba nie ma sensu, ona nie powinna się denerwować... Ja też...

Więc patrzę na nią najczulej, jak potrafię, i mówię:

- Chciałbym, żeby było jak dawniej...

- Co ty? Grzegorz... to niemożliwe...

- Dlaczego?

- Dlaczego?!... Och, Grzesiu... nie męcz mnie.

- Dobrze. Więc nie mów teraz ani „tak”, ani „nie”. Ja wiem, że możesz o mnie źle myśleć. Ale ja cię bardzo kocham. Bardzo!

Błyska decyzja. Chciałbym ją widywać co dzień, stale, ale rozsądek musi wziąć górę. Więc mówię:

— Rozstańmy się jeszcze... do konkursu. Ty przez ten czas wrócisz w pełni do zdrowia, a ja będę pracował jak szatan.

Milczy. Więc chyba jednak się zgadza.

— Kto się tobą opiekuje? Masz jakąś przyjaciółkę? Masz wszystko, co ci potrzeba?

— Tak.

— Ewuniu... sama tak zdecydowałaś i za to cię podziwiam. Dowiodłaś, że rozumiesz mnie. Ja mam grać... muszę teraz cały skoncentrować się na jednym. Wyobrażasz sobie, jaka będzie konkurencja?! Jeszcze tylko trzy miesiące. To zleci jak... w pysk strzeli!

Jakoś niezręcznie wyszło. I ona wciąż milczy. Zasuwał więc coś z poezji:

— Ktoś tak ładnie powiedział: „Rozstanie jest dla miłości jak wiatr dla ognia, mały ogień gasi, ale wielki — rozpala”.

Nie wiem, czy podziałało. Ciągle milczy.

— Ale jeżeli chcesz, to czasem wpadnę na chwilę.

— Nie, lepiej nie.

— Chyba masz rację... Więc, Ewuniu... do jesieni! Wtedy pogadamy. Zaczniemy wszystko od nowa.

— Nie... — wykrztusiła.

Babskie droczenie się. Nie może od razu powiedzieć „tak”. Trudno się jednak porozumieć.

Schopenhauer miał rację. Kobieta nie myśli mózgiem, ale... Muszę być cierpliwy. Grunt, że się kochamy.

— Teraz nic nie mów. Myśl o zdrowiu. Tylko o zdrowiu.

Ktoś wszedł do mieszkania. Obejrzałem się. Drzwiach stoi — Andrzej! Z siatką pełną zakupów.

Zatkało mnie. Czuję, że się czerwienię. Więc to tak! Więc to jest ta „przyjaciółka”, co się nią opiekuje!

Więc on dlatego tylko rano chce grać! Więc dlatego chałturzy! A ona przymknęła oczy, w ogóle na nas nie patrzy.

Wyrzucić go stąd na zbity pysk!

Nie ... nie wolno mi robić przy niej awantury. Ona jest chora. Muszę się opanować. A on jeszcze pyta mnie jakby tu był gospodarzem:

- Napijesz się herbaty?

Życie jest jednym pasmem rozczarowań. Walę wprost:

- O jednego z nas jest tu za dużo.

Zabrzmiało to jakoś teatralnie. Głos mi drży.

- Cześć Ewuniu! Pamiętaj o naszej rozmowie.

I zamykam za sobą drzwi. Chciałem zamknąć, jak gdyby nigdy nic, ale, cholera, trzasnęły.

Wszystkiego bym się spodziewał! On?! Mój najlepszy przyjaciel! On chce mnie zastąpić przy Ewie? Ten chłopiec-roztropek?! Bożygrajek!? A ona też dobra! Cóż to nie ma żadnej przyjaciółki? A ciotka? A stryj? Przecież ma ciotunię w Krakowie.

Świństwo! Ordynarne świństwo! Skorzystał z okazji, żeby się do niej przykleić! Niańczy ją! Myśli, że sobie coś wyniańczy! A gównu! Ona mnie kocha. Mnie! Takiej miłości, jak nasza, nie zapomina się dla byle kogo. Dlaczego nie zwróciła się do mnie? Coś bym wymyślił, jeżeli nie chciała jechać do Krakowa. Poprosiłbym starych... Niby jest dumna! A od pierwszego lepszego przyjmuje takie świadczenia! Ale musiało mu na nią zaskoczyć. Nawet konkurs poświęca. Idiota! Co ja mam zrobić? Jak powinienem postąpić? Wyrzucić go i sam się nią zająć? To niemożliwe. To by znaczyło koniec z graniem.

Pamiętam, co się działo przez te dni, kiedy dowiedziałem się, że jest chora. Nie mogłem się zupełnie skoncentrować. Myślałem tylko o niej. Nie wolno mi tego zrobić. Jeżeli już nie ze względu na siebie, to na starych. Nie mogę im sprawić takiego zawodu to by ich zabiło. Napiszę do niej list. Wy tłumaczę wszystko lepiej niż w rozmowie. Napiszę, że choć ufam jej absolutnie, wolałbym, żeby nie korzystała z opieki Andrzeja. Że jeżeli nie ma tu nikogo, a nie chce pojechać do ciotki do Krakowa, załatwię jej chatę u moich starych w Gdańsku. Po prostu wcześniej pozna przyszłych teściów. Starzy nie odmówią, jak

postawię sprawę na ostrzu noża. Tak, to jest wyjście. Z każdej sytuacji musi być jakieś wyjście. I nikt nie może żądać ode mnie, żebym przekreślał całą swoją przyszłość!

Kiedy po południu wróciłem do domu, zastałem go przy fortepianie, jak gdyby nigdy nic. Gra sobie balladę As-dur i nawet na mnie nie spojrzy. Więc walę wprost:

— Szukam innego pokoju.

A on nie przestaje grać.

— Szukam innego pokoju, słyszysz?

Zakończył frazę i wreszcie przerwał.

— Tak?

— Co? Dziwisz się?

— Może byś jednak najpierw zechciał posłuchać...

— Najpierw to powinienem ci dać w pysk. I to ma być mój... najlepszy przyjaciel?!

— Grzegorz, stary, daj mi powiedzieć.

— Odczep się!

— Ale niech ci wytłumaczę...

— Tu nie ma nic do tłumaczenia. Nic. Muszę mieć spokój. Nie mogę patrzeć na ciebie. Zabieram fortepian. Chyba jasne? I po co ci się zwierzałem? Pytałem co robić... A ty skorzystałeś z okazji... Świnia!

— Ktoś musiał jej pomóc.

— Bezinteresownie?! Tak? Nie łyj! Dawno wiem, że ci do niej aż furczy!

Byłem wściekły, że wdaję się w te dialogi z magła, ale nie mogłem się powstrzymać.

— I radzę ci, zostaw ją w spokoju. Nie przeszkadzaj jej... Ona musi wrócić do zdrowia!

— Co ty nie powiesz? — mruknął z ironią.

Bałwan! Wykorzystuje, że o niczym nie wiedziałem. A czy to moja wina? Moja? Aż mną trzęsie z wściekłości!

- Po konkursie będzie jak było, rozumiesz?

- To zależy tylko od niej.

- A może to twoja taktyka? Denerwować zawodnika przed meczem? Znamy takie numery.

- Zamknij się! Bo dam w ryja!

On mi da w zęby?! Koniec świata! Bić się? Nie, to poniżej mojej godności. Bić się o dziewczynę?!

Zresztą, nie wolno mi! Ręce! Moje ręce są do klawiatury, a nie do mordobicia. Więc zaciskam pięści i rzucam przez te zęby, w które miałem niby od niego dostać:

- Pogadamy na jesieni!

Siadam do fortepianu i zaczynam grać. „Rewolucyjną”, żeby to jasna cholera! A on obrócił się na pięcie i poleciał.

Pewnie do niej! Skurwiel w dziąsło szarpany!

Oczekiwała cudu po operacji, cud się nie zdarzył i to ją zupełnie załamało. Straszny jest brak wiary. A ja? Wierzę, czy tylko chcę wierzyć, że będzie zdrowa? Udziela mi się jej zły nastrój. Czuję się winny, odpowiedzialny za wszystko, co się stało. A ona patrzy na mnie z nienawiścią. To jak sobie z tym poradzić? Jak?

Akurat musiałem być w domu, kiedy Węgielek przyjechał po fortepian! Wyprowadzenie zwłok, koszmar. Jeszcze pani Roma w drzwiach. I tych czterech facetów z parcianymi pasami. Właśnie grałem, a oni niemal wyciągnęli stołek spode mnie.

- Szanowanie. Fortepianik leci.

Zabrali się do roboty. Staję w oknie, usiłuję nie patrzeć, co robią, ale widzę, chociaż nie patrzę. Pani Roma coś tam szemrze. Nie odpowiadam. Przypomniało mi się, jak wynosili trumnę mamy. To szuranie. To szarpanie, westchnienia. Lepiej już patrzeć. To tylko fortepian. Chwieją się otwarte drzwi. Długo go znoszą, choć to zaledwie pierwsze piętro. Patrzę potem przez okno, jak ładują fortepian na platformę. Nie jest już instrumentem. Jest pudłem.

Odjechali. Na szczęście pani Roma wyszła zniechęcona moim milczeniem. Siadam na kręconym stołku w pustym, ogromnym teraz pokoju. Stołek jest mój. Kupiłem go za korepetycje.

Poszedłem do lekarza, opowiedziałem, w jakim stanie jest Ewa, a on jak zawsze spokojny czy obojętny:

— Traumatyzacja mózgu przy operacji może spowodować nasilenie objawów klinicznych. To się powinno cofnąć po pewnym czasie. Niewykluczone jest jednak i gorsze rozpoznanie: guz może odrastać. Wtedy spróbowałibyśmy naświetlania rentgenem. To jest trochę przykre; trzeba by znów ogolić głowę. Jeśli guz okaże się promienioczuły, objawy cofną się. Jeśli nie...konieczna będzie powtórna operacja. Nie wcześniej jednak niż za rok.

Zdecydowałem się na pytanie, które dręczyło mnie od dawna:

— A czy możliwe jest, żeby z łagodnego przemienił się w złośliwy?

— Nie można wykluczyć i takiej możliwości. Ale to raczej rzadki przypadek. Będziemy obserwować pacjentkę. Przeprowadzimy badania okulistyczne. Neurologiczne. Kontrola okresowa wyznaczy dalszą terapię.

Znowu badania. Po co? Wmawiają, że jest lepiej, a ja czuję się gorzej. Z każdym dniem gorzej. Gorzej niż przed operacją. Nie ma mowy o żadnej pracy, o kreśleniu, o czytaniu, kinie, teatrze. Nic. Tylko ból głowy. Potworny. Przed oczami zamglenia, mroczki. Nieustanne uczucie mdłości.

Całymi godzinami siedzę w kucki na tapczanie, nie patrzę nawet w okno, łapię się na tym, że twarz zakrywam rękami albo skubię rekruci łeb, albo leżąc opuszkami palców dotykam świeżej blizny. I dostaję melancholijnego kręćka.

Kiedy jest Andrzej, staram się zachowywać normalnie, ostatecznie to obcy człowiek, ale nie bardzo mi to wychodzi. Przestaję panować nad sobą. Nie obchodzi mnie już nic prócz mojego nieszczęścia. Zasklepiam się egoizmie. Mój Boże! — w histerii. I nawet o to, że staję się taka nędzna, tak mało warta, mam do niego pretensję. Jak i o wszystko inne. Po co się wtrącił? ? Dlaczego przywrócił mnie do życia? Czemu uwiódł chytrze nadzieją? A wtedy, zanim przyszedł, byłam coraz spokojniejsza, coraz bardziej pogodzona z losem, dojrzywałam do tego, żeby z sobą skończyć. Już mi się nawet zdawało, że ma to jakiś tam sens... A teraz na nic mnie nie stać. Potrafię tylko histeryzować. Nie można dwa razy siedzieć w celi śmierci.

Któregoś dnia przyszedł Grześ. Przyniósł czerwone róże, mówił, że kocha. Nie zrobiło to na mnie wrażenia. Gdy pomyślę jak szalałam przed operacją... czyżbym stała się zupełnie martwa? Niezdolna do żadnych uczuć?

Czuję niemal namacalnie, jak t o odradza się pod czaszką i szuka nowych miejsc. Koszmarna świadomość obcego, które jest we mnie. Skąd się wzięło? Dlaczego we mnie? Przedtem nie myślałam o tym. To też jego wina, Andrzeja.

Śmieszne, obiektywnie powinnam być mu wdzięczna. Jedyne człowiek, który zachował się jak ktoś bliski. Jak zachowałaby się mamusia, gdyby żyła. Walczył o mnie. Tylko, że wszystko okazało się daremne i bez sensu. Że okazało się daremne i bez sensu to nie jego wina. Więc powinnam być mu wdzięczna. A nie jestem. Stałam się złym człowiekiem. Nienawistnym. nie potrafię się przejąć tym, że on zaniedbuje swoje sprawy. Zresztą mówi, że nie zaniedbuje. Zaniedbuje, nie zaniedbuje, gra, nie gra, co mnie to wszystko obchodzi? Zresztą, zanim dojdzie do konkursu, zgniję żywcem. Tego, co się we mnie panoszy, będzie coraz więcej, a mnie coraz mniej.

Jestem mu potrzebna. Jestem polem dla jego dobroci. Zawsze są trędowaci i zawsze znajdzie się jakiś Albert Schweitzer.

Dostałem przykry list od ojca. Bardzo przykry:” Nie prosiłbym cię, żebyś, przyjechał, skoro cię nic do domu nie ciągnie, gdyby nie to, że jesteś mi potrzebny. Budujemy w czynie społecznym drogę i zabrakło pieniędzy na sprowadzenie walca do ubijania. Organizujemy 24 lipca koncert w Domu Kultury w Końskich. Mamy już recytatora i śpiewaczkę, chodzi o to, żebyś! akompaniował i żebyś zagrał coś od siebie z muzyki poważnej. Najlepiej Chopina. Bardzo mi na tym zależy.” To ostatnie zdanie podkreślił dwa razy.

Głupia sprawa. Muszę mu odmówić. Nie mogę zostawić Ewy, a Zośka wyjechała już na Mazury. I właśnie mam dwudziestego czwartego bardzo dobrze płatne zastępstwo w „Kamieniolomach”. Może

znajdę kogoś, kto się zgodzi pojechać do Końskich. Ale kogo? Kto siedzi po 23 lipca w Warszawie? I przecież wiem, że ojciec chce żebym to właśnie ja wystąpił...

Piszę do ciotki Ewy. Może będzie mogła przyjechać na kilka dni.

Ciotka Ewy nie przyjechała. I nie znalazłem nikogo, kto by mógł pojechać za mnie na ten koncert.

Sprawiłem swojemu staremu okropny zawód. Już widzę, jak się z niego naśmiewają, że się chwalił synalkiem, a synalek ma go gdzieś. Całe życie ciężko pracował, żebym ja mógł się uczyć, i cóż ma ze mnie? Nic. Jak mu wytłumaczyć, że nie mogłem przyjechać? „Nawet na jeden dzień?” Tak. Nawet na jeden dzień.

Tata przerwał urlop i wrócił do Warszawy. Może i Zośka? Bardzo mi jej brak. Jutro mam lekcję. Przedtem nagranie w radio. Żebym tylko zdążył na czas.

Spóźniłem się. Tata nic nie powiedział i to jest najgorsze. Przysiadł jak zwykle na parapecie okna i słucha. Gram poloneza-fantazję As-dur. Nie patrzę na niego, nie widzę jego twarzy, ale wiem, że jest niezadowolony. Czuję to i gram coraz gorzej. Wreszcie przerywa i, o zgrozo! mówi mi „pan”!

— Nie, nie! Pan się spóźnił, pan przyszedł zdyszany, pan się nie może skupić, pan marnuje lekcję!

- Panie profesorze, ja...

- Słuchałem spokojnie, ale wszystko się we mnie przewraca. Cóż to za przebieranie palcami! Żadnego wyrazu.

- Jeszcze raz?...

- Graj!

Gram ale wciąż jestem rozproszony. Wiem, że czeka mnie za chwile rozmowa, i mam pietra.

- Spokojnie nie spieszyć — Tata mówi teraz bezosobowo. — Śpiewać, śpiewać. — Stop! Stop!

—przerywa kłaśnięciem i siada do drugiego fortepianu. Gra.

— Tu ręka ciężej. A crescendo od razu za duże.

Słucham uważnie, wpatruję się w jego palce i po chwili myślę już tylko o muzyce. Powtarzam fragment jeszcze raz i gram dalej. Tata zatrzymuje się przy moim fortepianie, zagląda w nuty.

— To monotonne. Zagraj różnie ten sam motyw. Lewą ręką arpeggia za powoli. E-cis nie ma do ciebie szczęścia.

Skończyłem.

— No, powiedzmy, poprawnie. Ale jakoś bezmyślnie dziś grasz. Bez wyrazu. Musisz głębiej w to wniknąć. Cofasz się. Grałeś to lepiej.

Wyszedłem z lekcji mokry. I nic mu nie powiedziałem. Strach mnie obleciał. Zbyt lekkomyślnie wierzyłem, że wszystko da się pogodzić. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo zaniedbuję granie. Pójdę znów do lekarza. Może uda się umieścić Ewę w sanatorium. Przynajmniej na jeden miesiąc.

Lekarz zdjął okulary i popatrzył na mnie zmęczonymi, wyblakłymi oczami:

— Jeżeli nie ma innego wyjścia... Ale sanatorium nie jest wskazane. Kontakt z chorymi może mieć wpływ na psychikę.

— W takim razie — nie... Bo ona i tak jest bardzo załamana, panie profesorze. Nie wierzy, że będzie kiedyś zdrowa.

— Badania kontrolne wskazują, że wszystko wraca do normy.

— Ona naprawdę bardzo źle się czuje...

— Wiem. Mogła nastąpić po operacji reakcja depresyjna. To się rzadko zdarza, bo chorzy na ogół chcą być zdrowi, czepiają się najwładniejszych nadziei. Zastosowałem leki uspokajające, ale to niewiele daje. Reakcja nerwowa jest rodzajem urojenia, ale może być tak silna, że wywołuje objawy nadciśnieniowe, stany podgorączkowe... To oczywiście tylko hipoteza. Bo w medycynie pewności nie ma. Za miesiąc zrobimy znów EEG, elektroencefalografię, żeby zbadać, czy nic się pod czaszką nie dzieje.

Musiałem mieć dość głupią minę, bo profesor wyjaśnia:

Można zbadać prawidłowość czynności bioelektrycznych mózgu. Możemy zarejestrować prądy wysyłany przez aktywną korę mózgową. To jest właśnie elektroencefalografia. W każdym razie, stan psychiczny jest bardzo istotny przy mózgowych sprawach. Oddziaływanie otoczenia ma ogromną wagę. Dlatego nie zalecam sanatorium. Więcej może dać stała opieka kogoś z najbliższych.

Atmosfera... Klimat wielkiej serdeczności, wyrozumiałości... Optymizm. Niech się pan się stara, aby uwierzyła, że będzie zdrowa.

Usiłuję drzemać w fotelu.

...Serdeczność. Wrozumiałość. Optymizm. Stała opieka kogoś najbliższego. Ja jestem dla niej kimś najdalszym. Kimś, kogo się nienawidzi. Ale jestem także kimś najbliższym. Po prostu ona nie ma nikogo bardziej bliskiego. Grzegorz? Dla niej byłoby to najlepsze. Gdyby było możliwe. Ale nie jest możliwe. A może ja po prostu chcę, żeby to było niemożliwe i dlatego tak sobie wmawiam? Nie. To naprawdę jest niemożliwe. Przecież gdyby Grzegorz tylko chciał, to dzisiaj w tym fotelu nie ja bym siedział, lecz on.

Ewa też nie śpi.

- Dlaczego nie idziesz? Już późno.

- Profesor powiedział, że nie powinnaś być sama.

- To znaczy, że jest źle.

— Nie, to znaczy tylko to, co powiedziałem. Sprawa czysto psychiczna.

— Aha, więc jestem psychicznie chora.

— Ewa!

— To co? Będziesz tak siedział w tym fotelu.

— Grzegorz zabrał fortepian... Nie mam co robić u pani Romy.

— Więc rozstaw sobie polowe łóżko i śpij tu. I tak tu właściwie mieszkasz.

— Tak? Dobrze. Dziękuję.

— To ja powinnam dziękować.

Wyciągam łóżko. Widzę, że patrzy z niepokojem gdzie je będę rozkładał. No, od biedy zmieści się w kuchni. Oszczędzę na mieszkaniu. Jedna chałtura mniej. Więcej czasu na granie. Tak. Gdzie ja będę grał? Coś się musi wymyślić.

Jutro powiem o wszystkim Tacie.

Pracujemy nad nokturnem fis-moll. Rozkręcam się. Uwagi Taty są trochę cieplejsze:

— Niezłe te tryle!

Uśmiecham się. Przez chwilę zapominam, co mnie czeka.

— A tu jesteś zbyt przesubtelny.

Powtarzam frazę:

— Ładne zejście do piana. Ale ta ćwierć bez wypełnienia. Pusta. Bez treści.

Powtarzam.

— Czy tak, panie profesorze?

— Dobrze. A tu masz prawo do pewnej swobody.

Gram.

— Rubato robi się niespokojne, bez szkieletu.

Powtarzam jeszcze raz. Skończyłem.

— To musi się stać twoim własnym. Zawsze cieszyło mnie, że grasz, jakby to wszystko było... twoje.

Teraz. Teraz muszę mu powiedzieć. Ale Tato jest szybszy.

- No spowiadaj się. Czemu jesteś tak piekielnie rozproszony? Dziewczyna, co? Dziewczyny cię zgubią.

Za ładne masz oczy. Wykrztuś wreszcie, co się stało?

Uciec? Niemożliwe. Muszę mu stawić czoło. Wbijam oczy w klawiaturę.

- Ja... ostatnio prawie wcale nie grałem.

- Uderzyło ci do głowy, że tak świetnie zdałeś na piąty rok? Zrobiłeś sobie wakacje?

- Ja...

- Wyglądasz jak zmora. Coś ty wyprawiał?

- Ja...

- Mniejsza z tym, łajdusie. Teraz weźmiemy się ostro do roboty. Będziesz przychodził codziennie...

Przecież powinienem go za to po nogach całować! A ja mówię:

- To niemożliwe... panie profesorze...

Czuję, że tym „niemożliwe” dotknąłem go do żywego.

- Niemożliwe? — pyta z hamowaną irytacją.

- Nie mogę przychodzić codziennie...

- Cóż ty, łaskę mi robisz?!

- Muszę grać w „Stodole” i w ogóle... Chcę zarobić trochę pieniędzy.

Jakiż jestem potwornie niezręczny.

- Ach tak? To może od razu lepiej w „Krokodylu”? Właśnie teraz?

Odważyłem się spojrzeć mu w oczy:

-Tak. Muszę... muszę się... kimś zająć.

- Ten „ktoś” to dziewczyna? Dziecko zrobisz?

- To nie tak, jak pan profesor myśli.

- Ja nic nie myślę! Możesz się łajdaczyć! Co mnie to obchodzi? Ja cię tylko ostrzegam: robisz horrendalne głupstwo! To może zaważyć na całym twoim życiu!

— Ona jest chora, panie profesorze. Muszę się opiekować...

— Dlaczego ty?

— Nie ma nikogo, kto by to mógł zrobić.

— Tylko... ty?

— Tak.

— Nikt nie ma prawa obarczać cię takimi obowiązkami.

— Mnie nikt nie obarcza. To ja sam.

— I będziesz chałturzył? Teraz?

- Tak.

— A masz zezwolenie dziekana na pracę zarobkową?

— Nie, ale to tylko w czasie wakacji, mam nadzieję.

— Marnujesz swoją szansę! Nie ma takiej dziewczyny, której nie zastąpiłaby inna! A fortepian jest zazdrosny o każdą godzinę. Jak go zaniedbasz, zdradzi! I potem będziesz żałował! Ale ty oczywiście wiesz lepiej! Wy wszyscy wszystko lepiej wiecie! Wpadł w furję:

— A innych zobowiązań nie masz? Choćby wobec tych, którzy cię wybrali spośród wielu, którzy ci zaufali! Dali stypendium! Nie chcę być patetyczny i nie chcę mówić o ojczyźnie... A twój ojciec? Tyle się natężył, żeby zrobić z ciebie człowieka!

Wytoczył najcięższe armaty. Jak tu się bronić?

— Ja jeszcze spróbuję... A jak nie będę mógł stanąć do konkursu — zwrócę stypendium.

— Bzdura! Nie zwrócisz miejsca, które mógł zająć kto inny! A wobec mnie?! Nie masz obowiązków?

— Ja wiem... ja to wszystko wiem, panie profesorze. Mnie jest okropnie przykro... Ja długo o tym myślałem... I ja już... zdecydowałem.

— Ach tak! Zdecydowałeś? Wynoś się, głupcze!

Znów wybuchł wielkim gniewem:

— Nigdy nie będziesz pianistą, jeżeli t o nie jest dla ciebie najważniejsze! I niech cię kto inny uczy! Ja nie ma zdrowia patrzeć, jak pięć lat mojej ciężkiej... ciężkiej harówki idzie na marne!

- Panie profesorze... — próbuję coś z siebie wydusić.

Nie słucha, obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem i ciężko dysząc wychodzi. Długo patrzę na kołyszące się drzwi.

Zbieram nuty i wkładam do teczki. Zamykam instrument. Jestem dziwnie spokojny, pusty. Staję w oknie i bezmyślnie patrzę na rozwrzeszczane dzieciaki.

Wiec mam to już za sobą. Ale dlaczego mnie wyrzucił? Dlaczego odepchnął od siebie? Czy musiało się tak skończyć?

Widać musiało.

Na szczęście jest Zośka. Pociesza, że choć Tata dziś mnie wyklął i przepędził, złość mu przejdzie i wszystko znów będzie okay. Wiem, że byłoby dobrze, gdybym powiedział: „Panie profesorze, zrozumiałem swój błąd, przepraszam”. Ale nie powiem. Nie mogę tego powiedzieć.

Ogarnia! mnie lęk, czy dam radę dźwigać dalej ten ciężar, który dobrowolnie na siebie przyjąłem.

Jak trudno być serdecznym, wyrozumiałym, pełnym optymizmu, skoro ona tego wcale nie chce. Skoro pograża się w rozpacz i gniewie. Czy potrafię być silniejszy od jej rozpacz i gniewu? Czy będę miał w sobie dość siły?

Jedno jest pewne: już jej zostawić nie mogę, cokolwiek by się stało. Ja się już w tej grze nie liczę. Ani moje sprawy, ani moi bliscy. Sam tak chciałem i teraz nie ma już wyboru, nie ma odwrotu, nie ma ucieczki. Znalazłem się w ślepych zaułku. Strach: zginę razem z nią.

A potem znów serdeczność, wyrozumiałość, optymizm, chałtury, radio, „Stodoła”, zakupy, czasem pół godziny przy fortepianie przygodnym i tak dzień po dniu, dzień po dniu.

Nadziei żadnej.

Nie mogę dłużej na to patrzeć. Żal mi jej, ale stokroć bardziej żal mi Jędrka.

Tata znów wysyła mnie nad morze, złości się, że w upały siedzę w mieście, ale mowy nie ma, nie wyjadę. Nie mogę zostawić Jędrka.

Początkowo próbowałam łagodnej perswazji:

— Że też takie dwie sieroty musiały się spotkać. Nie masz jakiej ciotki-babci, żeby ją podrzucić?

— Nikomu nie chcę jej podrzucać.

— Uważasz, że... że tylko ty jeden jedyny na całym świecie możesz jej pomóc?

Ale nie docierają do niego żadne argumenty muszę sama załatwić, co trzeba.

Dwie godziny do pociągu, a ona jeszcze nie spakowana! Nie wiem nawet ostatecznie, czy się zgadza.

Tak trudno się z nią dogadać;

— Więc jak? Zgadzasz się?

Siedzi skulona na tapczanie.

— Zgadzasz się?

— Mnie jest wszystko jedno. Przecież ja go o nic nie prosiłam.

— Wiem. Ale czy wyczuwasz bluesa?

— Jeszcze nie jestem debilem.

Musi się zgodzić. Bylebym tylko dobrze to rozegrała.

Wygarnęłam wszystko. Oględnie, ale i dobitnie. Chyba dotarło.

- To już ostatni dzwonek. Zmarnował przeszło miesiąc, ale tata mówi, że jak będzie grał od rana do wieczora to jeszcze ma szansę.

- Niech sobie gra.

- I nie ma prawa chałturzyć.

- Niech nie chałturzy. Co mnie to wszystko obchodzi!

Myślałam, że ją zabiję!

- „Co cię obchodzi?!” On się zaharowuje, żeby zarobić dla ciebie pieniądze, a ciebie to nie obchodzi?

- Jakie pieniądze?

- A za co to wszystko? Twoje lekarstwa! Twoje żarcie? Twoja operacja?

- Przecież stryj dał pieniądze...

- Gówno prawda!

Niepotrzebnie to powiedziałam. Chodzi tylko o to, by się zgodziła wyjechać!

- To nieważne. Mniejsza o pieniądze. W szpitalu od razu dali skierowanie. I na uczelni wszyscy są ci bardzo życzliwi. Załatwili bezzwrotną pożyczkę...

- Same anioły.

- Musimy go postawić przed faktem dokonanym.

- Ty jesteś jego aniołem. Tyle się natrudziłaś. A może ty się jeszcze w nim...

- Pewnie tak. Ale to nie ma nic do rzeczy. Nie chcę ci go zabierać.

- On wcale nie jest mój.

- Daje ci go... na zawsze — zasuwam pompatycznie i robię perskie oko.

- Możesz mi dużo dawać... tam!

I pokazuje na sufit.

- Nie wygłupiaj się.

Zamknęła oczy. Milczy. I znów nic nie wiem.

— To co? Pomóc ci się spakować? Chodzi o jeden miesiąc.

— Już dobrze, dobrze, nie mów tyle. Jeden miesiąc, dwa miesiące, wszystko jedno.

— Gdzie masz walizkę? Musimy się śpieszyć, żeby nas po drodze na dworzec nie nakrył.

Z trudem udało mi się spakować jej rzeczy. Kilka razy to wkładała, to wyjmowała fotografię jakiejś kobiety. W końcu włożyła ją na sam wierzch walizki.

Nareszcie na Centralnym. W łoskocie przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów, w stukocie wózków bagażowych, przekrzykując nadawane z głośników komunikaty, usiłowałam jej jeszcze raz wszystko wytłumaczyć. Zachowywała się jak manekin. Nie wiem czy w ogóle rozumiała, co do niej mówię. Tylko skurcz bólu od czasu do czasu ożywiał martwą twarz.

Wsadziłam ją do wagonu, znalazłam miejsce w kierunku jazdy, przy oknie. Żeby już ruszył.

— Napisz do Jędrka, koniecznie. Zaraz napisz. Będzie się niepokoił! Pamiętaj, że obiecałaś.

Nic nie mówi, przymyka oczy. Widzę, jak męczy ją hałas dworca. Oby się nie rozmyśliła, nie uciekła! Stoję nad nią i jak hipnotyzer jej wmawiam, że obie postępujemy słusznie. I jeszcze raz sprawdzam wszystkie dokumenty: bilet, legitymacja studencka, skierowanie do sanatorium. Prawda! Kupiłam jej chałwę na drogę! Nareszcie zapowiadają odjazd. Jakies szury-mury i wyskakuję z wagonu.

Pociąg ruszył. Patrzę jeszcze chwilę — strach, że się zatrzyma — że ona wysiadzie, wróci. Wreszcie ostatni wagon zniknął na zakręcie, pociąg odjechał. Uff!

Sama nie wiem, jak znalazłam się znów u niej na Starówce. Chodzę w kółko po pokoju. Czekam na drakę. Zgrzyt klucza w zamku: Jędrak! Wpadł, zobaczył, że nie ma Ewy na tapczanie. Zajrzał do kuchni, do łazienki. Pyta:

- Gdzie Ewa?

- Nie powiesz nawet „dobry wieczór”? Wyjechała.

- Co?

- Do sanatorium.

- Zośka!

Myślałam, że mnie na strzępy rozerwie.

- Uzgodniłam z lekarzem. I sama chciała.

- Echżeż ty! Z jakiego dworca?

- Pociąg dawno odjechał.

- Po co się wtrącasz? Nogi ci powyrywać!

- Wyrrywaj! Musiałam to zrobić.

- Nie masz prawa!

- Mam! Takie samo jak ty!

- Nikt cię nie prosił!

- Ona cię... też nie prosiła!

Czuję, że zyskałam drobną przewagę.

- Przecież ty giniesz, Jędrak. Ona jest chora. Powinna być w sanatorium. A ty musisz grać.

- Za późno.

- Jeszcze nie jest za późno.

- Ona tam zginie.

- Ty zginiesz tu.

- Nic nie rozumiesz.

- Ale dlaczego ty... Dlaczego właśnie ty?

- Miałem się rozglądać, kto by to zrobił za mnie?

- Gdybyś jej nie kochał, też byś to zrobił?

Och! Usłyszeć potwierdzenie tego, co ona mówiła: „Ja jej nie Kocham!” Ale słyszę tylko jego zduszone:

- Nie wiem.

- Grzegorz jest mądry. Umył ręczki.

I zaraz żałuję, że to powiedziałam. I robię wszystko, żeby nie stracić swojej przewagi:

- Zrozum! Twoja ofiara jest niepotrzebna. Fachowa opieka więcej jej może pomóc.

- Nieprawda! Profesor odradzał sanatorium! Mówił, że powinna mieć kontakt z kimś bliskim!

— Ale to się nie sprawdziło. Widać nie jesteś dla niej... bliski. Cóż z tego, że dajesz jej wszystko, skoro ona nie chce brać?

— Wśród obcych będzie jej jeszcze gorzej.

I podrywa się do nowej rundy:

— Jadę najbliższym pociągiem.

Chwyta mnie za ramiona i szarpie:

— Gdzieś ją wysłała?

— Jędrak, poczekaj na list. Obiecała, że zaraz do ciebie napisze. Tyle się nabiegałam, żeby to wszystko pozłatwiać. Zrób też coś dla mnie, Jędrak.

— Postanowiłaś mnie niańczyć?

— Nie bądź świnia. Posłuchaj.

— Powiedz, gdzieś ją wysłała?

— Zaraz ci powiem. Ale posłuchaj... tata...

— Tata nie chce mnie znać.

— Ucieszy się, kiedy wrócisz, ty... durniu marnotrawny!

Czuję, że przeciwnik znów słabnie. Więc szarżuję z wielkim impetem:

- Jak mu powiedziałam, że nie mieszkasz z Grzegorzem, że nie masz fortepianu, to wiesz, co wymyślił? Bomba! Do konkursu masz chatę u nas! „Będę miał łajdusa na oku — powiedział. — Nie ma fortepianu burczał — a jak myślisz, czy mój Bechstein mu się spodoba?” Fajny tato, no nie?

— Tak...

— To znaczy, że w ciebie wierzy. Mimo wszystko. Mam cię zaraz przyprowadzić. Co? Nie cieszysz się?

— Bardzo... Naprawdę. Tylko nie umiem już skakać z radości.



— Cholernie się zestarzałeś, stary.

— Więc dobrze. Zaczekam na list. Dokąd ją wysłałaś?

— Rabka.

- Rabka?

No Rabka. Łagodny klimat i sanatorium, w którym nie ma ciężko chorych.

- Aha. To dobrze.

Zwycięstwo. Jest uratowany. Będzie grał!

- Tata mówi, że musisz się wziąć ostro do roboty.

- Mogę grać od rana do nocy. Ale czy wy to wytrzymacie?

- Nie bój się. Tata przeżył wojnę i okupację. A ja... powiedzmy, że mam anielską cierpliwość. Zresztą będę siedzieć na Legii.

- Sama? Tam okropnie rwą dziewczyny. Majtki w wodzie ściągają.

- Nie bój się. Ćwiczyłam dzudo na wuefie. Nikt mnie nie poderwie, głuptasie! Wszystko we mnie aż tańczy, śpiewa ze szczęścia. Przez sekundę uklucie: „Dlatego ją wysłałaś, żebyś mogła być taka szczęśliwa”. Może i tak, ale przecież naprawdę dla niego, dla niego! Hip, hip, hip, hip, hura!

- Lewa ręka mi wysiadła, zupełnie jakaś niemrawa. Wyciągnął dłoń. Porusza palcami. Kocham jego wąskie szczupłe ręce

- Weźmiesz się za tę lewą!

- Dam jej szkołę!

Śmiejemy się, nie wiadomo z czego. Jak fajnie!

- To idziemy.

- Okna trzeba pozamykać.

I właśnie wtedy — rozległo się łomotanie do drzwi. W jednej sekundzie zrozumiałam, że wszystko stracone. To ona!

Stoi w progu, jakby się bała wejść. Milczy. Wreszcie Jędrrek wyjmuje jej z rąk walizkę i mówi łagodnie:

- Ewa, chodź.

A ona wybucha płaczem... że wysiadła na Zachodnim, że nie mogła tam jechać, że się boi, że wie, że jest okropna, że mnie przeprasza, że chce umrzeć... że...

— Cicho, nie płacz, no cicho... To dobrze, że wróciłaś... cicho, nie płacz, cicho... — mówi jak do dziecka.

O Bierdiajew! Wielki Bierdiajew!

Uspokoila się wreszcie i, jak pies na słomiankę, wraca na tapczan. Zwinęła się w kłębek, Jędrrek przyniósł pled. Zrobił gest, jakby chciał ją pogłaskać — ale cofnął rękę. Dlaczego?

Wszystko jest okropne! I co ja powiem tacie? Jak mu wytłumaczę? Jak mu wytłumaczę, że on nie przyjdzie?! Zbiera mi się na płacz. Na nic! Wszystko na nic! Tylko, że mnie nikt nie będzie pocieszał! Biorę się więc w garść i nie ryczę. Mało tego. Rozpakowałam jej walizkę i zrobiłam dla wszystkich herbatę. Trzeba umieć przegrywać!

Ciotka Ewy zawitała z Krakowa na trzy dni, więc urywam się i jadę do ojca. Trzeba go jakoś przygotować, że chcę przyjechać do niego z Ewą. Musimy się zmyć, bo właściciel mieszkania przyjeżdża na tydzień z Algierii. Fatalnie to wypadło. Wygląda teraz, ja czegoś potrzebuję, to znam drogę do ojca. Wprawdzie tylko dzięki temu mogę dłużej, bo z Ewą, u niego pobyc, ale on zrozumie inaczej. Nie było sensu o tym wszystkim pisać, muszę sam jakoś mu wytłumaczyć.

Jak ona zniesie wiejski prymityw, Małgoškę, ojca? Jest coraz bardziej obojętna, nieobecna. Dobrze czy źle robię, że chcę ją tam zabrać? Ale cóż innego mogę zrobić? Ledwo wiązę koniec z końcem.

W Końskich, jak zawsze — dwie godziny czekania na autobus. I jak zawsze wraca tamto. Pójść tam. Zobaczyć, czy ona tam jeszcze jest. Pięć lat odpędzałem pokusę. Czasem siedziałem w parku w cieniu dębów i buków albo włóczyłem się po starym cmentarzu, czasem szedłem szosą kawałek przez koneckie lasy i łapałem autobus po drodze, czasem po prostu siedziałem na dworcu i czytałem.

- A dziś — prosto z dworca — na rynek. Gapię się przez chwilę na stare kamieniczki w słonecznym kurzu i wiem, że pójdę tam do niej. Ale dlaczego? Po co? Nie wiem. Nie mam prezentu" — przemyka myśl. Wchodzę do recepcji, rozglądam się. Widzę ciemne schody... Te same. Portier pyta, czy szukam pokoju.

- Nie, szukam restauracji.

- Wejście obok — mówi i patrzy jak na idiotę, bo wchodząc do hotelu trudno nie zauważyć szyldu „Restauracja”.

Zapytać go? O kogo? Nie wiem nawet, jak miała na imię. Nie wszedłem do restauracji. Uciekłem jak wtedy.

Ojca zastałem w dobrej formie. Aż mnie to zaskoczyło. Odmłodził, jakoś prościej się trzyma, oczy błyszczą, nawet się czasem uśmiechnie.

Pakuje książki. Ściąga je z półek do wielkiego kosza na bieliznę.

- Pomożesz mi zanieść? — pyta, jakbyśmy się wczoraj widzieli.

- Tatusiu, nie mogę dźwigać... muszę oszczędzać ręce...

- Ach prawda, zapomniałem... Pomogę ci ustawiać na półkach.

- Nie ma komu robić. Wszyscy znikają jak kałuże po lipcowym deszczu, bo wakacje. Sklep Gs-u dostał nowy lokal, a starą budę przydzielili ojcu na bibliotekę. Od lat zbierał książki dla biblioteki i trzymał je u siebie. Rozpanoszyły się te książki po całym domu, nie było się już gdzie ruszać. Teraz odmalował ten stary sklep i sam majsterkuje przy półkach sklepowych, żeby je przysposobić do nowych zadań.

Narzeka i gdera jak zwykle, ale widzę, że frajdę ma w oczach.

— Widziałeś szosę? — pyta.

— No jakże! Wspaniała.

Wyboista ongiś droga między moimi rosochatymi, na której grzęzło się w piachu lub błocie — równiutka teraz, ubita, wysypana czarnym żwirem.

— Taki kawałek drogi, niby nic, a świat nam przybliży... Sami zrobiliśmy! Kolej dała trochę żużlu.

Prezydium spychacze, chodziło się, dziadowało — i jest. Widzisz, można, jak się chce... Jakoś się obyło bez ciebie — nie może się powstrzymać od złośliwości.

— Tatusiu, naprawdę nie mogłem — jeszcze raz usiłuję mu tłumaczyć.

— Mniejsza o to. Poradziłem sobie. Już przywykłem, że nigdy cię nie ma, jak jesteś mi na coś potrzebny.

— Tatusiu...

— Daj spokój... Powiem ci coś lepiej. Będziemy mieli fontannę! Tu, na skwerku, przed szkołą. Znasz jakąś wieś z fontanną? W całej Polsce? Znasz? Widzisz, nie znasz... A u nas będzie.

Teraz powiedz mu o Ewie. Wy tłumacz wszystko. Jeśli zrozumie, przestanie mieć do mnie żal. Nie chcę, żeby patrzył z taką zapiekłą goryczą. Teraz, zaraz. Nie czekać ani chwili.

— Tatusiu — zaczynam.

Ale Małgośka woła akurat na kolację...

Małgośka — przecież właściwie to jest moja siostra. A nigdy o niej tak nie myślę... Myślę: „Małgośka” A on — czy myśli o niej „córka”?

Tak. Gdyby Małgośka była jak inne dziewczyny, gdyby wyszła za męża, urodziła mu wnuki — może byłoby mu lżej zrezygnować ze mnie.

Małgośka, urodzona zimą w 1940, nieślubne dziecko żołnierza, który gdzieś przepadł bez wieści — ma mentalność małej dziewczynki i z trudem kleci nieporadne zdania. Byłaby nawet niebrzydka, gdyby nie głupawe wykrzywienie ust. Widziała na własne oczy, jak w 44 Niemcy zamordowali jej matkę i dziadków, jak spalili całą zagrodę: stodołę, stajnię i chałupę. Wszystko. Podobno także wyrwali jej z rąk kociaka i roztrzaskali o drzewo. Chowala się jak dziczka po ludziach, aż wrócił ojciec i przyznał się do niej, i wziął i do siebie. Sąsiedzi się dziwowali, bo nie było żadnych dowodów, że to jego dziecko, tylko plotki, a już było jasne, że nie będzie normalna.

Małgośka bałwochwalczo się do ojca przywiązała i on ją kocha po swojemu, choć jest to miłość gorzka. Jak wszystko w jego życiu. Chorobliwie o ojca zazdrosna, nie lubiła ani mojej matki, ani mnie. Trudne były te lata, kiedy mieszkaliśmy razem. Gdy tylko wydawało jej się, że ojciec mniej ją kocha niż mnie albo mamę, uciekała z domu i biegła przed siebie na oślep, a potem wybuchała niepohamowanym płaczem. Nie można jej było uspokoić. Potrafiła płakać kilka godzin bez przerwy, aż do zupełnego wyczerpania.

Kiedy mama umarła, a ja wyjechałem z domu, poczuła się nie zagrożona, szczęśliwa i teraz toleruje moje rzadkie wizyty.

Stawia na stole talerz z pajdami świeżego chleba i mówi coś, czego nie potrafię zrozumieć. Ojciec tłumaczy, że przesmażyła smalec z jabłkiem, cebulą i majerankiem, taki, jak lubię.

Staram się nie patrzeć na Małgośkę. Nie słuchać jej bełkotu. Nie chcę, nie mogę o tym myśleć! A jeśli z Ewą stanie się to samo! Ledwie przyjechałem, a już dręczy mnie o nią niepokój. Czy przebywanie z ciotką dobrze jej zrobi? Podejrzewam, że Ewę musi drażnić jej egzaltowana słodycz. Może już powinienem tam być?! Czy bierze wszystkie lekarstwa? Może ciotka zechce wyjechać wcześniej? A może Ewa czuje się gorzej?

Niepokój przemienia się w strach.

Oczywiście, przywiozła migdałowe ciasteczka i blok chałwy i taka jest serdeczna, taka współczująca, a właściwie obca. I mówi, mówi, mówi, słowa ciurkają jak z popsutego kranu. Wszystkie kapią z tą samą monotonną emfazą: czy o kłopotach ze sprzątaniami, o zdradach wuja Karola. Nie traci okazji, żeby nie roztrząsać z detalami, jak to „ten potwór” usiłował mnie uwieść w czasie ostatniej wizyty w Krakowie.

— Pod moim własnym dachem! Rozumiesz, że mogłam cię zaprosić do domu?

— Rozumiem.

Potem, pewnie, żeby mnie pocieszyć, opowiada szczegółowo o wszystkich chorobach, jakie w życiu przeszła. Diagnoza, terapia, receptura...

Dlaczego jestem złośliwa, nieżyczliwa? Nie podobam się sobie. E! I to jest też bez znaczenia! Czuję, że pokręciłam z lekarstwami, ale to nieważne. Jak mi się udaje, to wcale ich nie biorę.

Dopiero teraz widzę, ile rzeczy Andrzej robił niedostrzegalnie, po prostu wszystko było jak trzeba. A teraz, gdy go nie ma, same problemy. Gdzie to, gdzie tamto, skąd to się bierze, nie wiem, nie wiem.

— Ale cię ten chłopak rozpuścił!...

Widzę, że język ją świerdzi. Wreszcie nie wytrzymała:

— I ty tak z nim mieszkasz? Bez ślubu? Pobierzecie się chociaż?

- Nie

Ona nie rozumie. Że przede mną ma życie. I że on mnie nie kocha. Ona myśli pewnie, że cała moja choroba, to wymysł histeryczki. Podejrzliwie obejrzała bliznę na głowie.

- Czy to naprawdę było konieczne? Żeby tylko szramy widać nie było...

Niech sobie już jedzie. Niech mnie zostawi.

- No dobrze, a jak finanse?

- Dopiero dwa dni, a wydaje mi się, że strasznie dawno wyjechał.

— Wiem, że pracowałaś...

— Już od kilku miesięcy nie pracuję.

— Więc z czego żyjecie? I to, jak widzę, nieźle.

Co ja jej powiem? Bajeczkę o pieniądzach od stryja? Nie uwierzy. Ja też nie wierzę. Na pewno wersja Zośki jest prawdziwa.

— On cię utrzymuje?

— Nie męcz mnie! Utrzymuje, nie utrzymuje, nie wiem.

— Skąd masz na to wszystko?

- Przestań mnie dręczyć. Co mam robić?

— Powiniście się pobrać, skoro go na to stać.

— Co ty, ciotciu?... Przecież on jeszcze nie skończył szkoły, żyje ze stypendium, a w ogóle...

— Z jakiego on jest domu?

— Spod strzechy! Ojciec chłop, ale za to matka miastowa.

— O!

Jest wyraźnie zde gustowana.

— Nie wygląda na to.

— Na co?

— No... na chłopskie pochodzenie.

— Nie martw się. Nie chcę wychodzić za męża. W ogóle nic nie chcę...

Po co ja to mówię?

— Co takiego? Nic nie chcesz?! Za łatwo wam wszystko przychodzi. Dlatego jesteście tacy nieodporni. A ludzie przeszli przez Oświęcim... i żyją.

No tak. Wiedziałam, że do tego dojdzie. Zawsze każda różnica zdań kończy się u ciotki na Oświęcimiu. Tamto było potworne, na pewno, ale czy mnie ma być przez to lżej? Niech zamilknie, niech już jedzie, niech mnie zostawi.

— Naprawdę nie wiesz, gdzie są w tym dom nożyczki?

— Naprawdę nie wiem.

Głowa pęka. Odwracam się. A przecież lubiłam ją kiedyś. Teraz sam fakt, że muszę z nią rozmawiać napawa mnie wstrętem. Najchętniej leżę zwinięta w kłębek i tak trwam. Skupiam się cała na tym, żeby wyczuwać, jak to rośnie. Jak się rozplenia, rozpełza, rozprzestrzenia.

Patrzę na fotografię mamusi. Potem zamykam oczy widzę mamusię jak przez mgłę i czasem udaje mi się do niej wrócić. Pogrążyć w niemowlęstwo, w dzieciństwo, w szczęśliwość. I jest mi dobrze.

A w Grzesia uciekać nie mogę. Przeszkadza świadomość, że dopuszczałam się jakiejś obrzydliwości dając mu siebie razem z tym obcym żyjątkiem. Że już wtedy to we mnie było. Wstyd. Odraza.

Wszystkie nerwy na wierzchu. Wtulam twarz w poduszkę. Widzę, jak otwiera się moja blizna. A ona mówi, mówi, mówi, jeździ szmerglem słów po obnażonej czaszce.

Moja droga do ojca — to nie wierzby rosochate, a za nimi łąki rozległe, rozkumkane, rozświergotane, gęste od dźwięków i barw — to wąska, najeżona kolcami, wyboista ścieżka, po której nie potrafię dojść do jego umysłu i serca.

Tatusiu, dlaczego jesteś ze mnie niezadowolony? Tatusiu, dlaczego ja ciebie zawiodłem? Dlaczego patrzysz z wyrzutem? Czy dlatego, że nie ma we mnie prawie nic z ciebie, że jestem cały z mamy, że nie ma we mnie twojej siły, szorstkości, pasji grzebania w ziemi, pasji działania takiego, żeby było widać, że coś jest zrobione, stąd — dotąd, od lasu aż po młyn? Przecież kochał mamę, przecież taką sobie wybrał, więc czy nie powinien się cieszyć, że ma ją teraz we mnie? Przecież lubi, a może raczej lubił muzykę? Dlaczego i tu nie możemy się spotkać? Wydaje mi się, jakby przeze mnie przestał ją lubić, dawniej czasem grał dla siebie, teraz przy mnie nie dotyka skrzypiec, chyba że idzie grać na ślubie, pogrzebie czy weselu. Dlaczego nie może być inaczej?

— Wyrosłeś tu, ale jesteś obcy. Nie udawaj, że cię co obchodzi, że mamy te półtora kilometra nowej, dobrej drogi, że wrychtujemy bibliotekę, że będzie tu sobie sikać fontanna.

— Obchodzi, może nie tyle same fakty, ile to, że tatuś ma z tego zadowolenie.

- Tak, mam. Kiedy była ta cała nienawiść koło mnie, postanowiłem żyć tylko dla was. Ale nie wolno żyć dla jednego człowieka, czy to kobieta... czy dziecko... Życie dla siebie samego też nie da ukontentowana. W końcu siądziesz obżarty przed lustrem i będzie ci głupio. Najlepiej żyć dla obcych. I nie liczyć na żadną wdzięczność. Wtedy można coś z życia mieć. Czasem nawet prawdziwe zadowolenie. Próbuję tak właśnie żyć na starość.

Nigdy tyle nie mówił. Czy dlatego, że znalazł jakiś swój „sens”? A może dlatego, że popija? Nie, nigdy nie widziałem go pijanym, nawet na weselach, gdy wygrywał na skrzypcach i coraz to ktoś podchodził ze szklanką wódki. Ale zauważyłem, że teraz codziennie sobie pociąga.

— Zapomnieli. Albo udają, że poszło w niepamięć. Już mi nikt nie wypomina, że byłem tym... stalinowcem. A byłem! — powiedział nagle i szczerwienił

Mój Boże, jak ja nic o nim nie wiem. Za mały byłem, żeby przeżyć z nim jego tragedię. Tragedię wyobcowania, a potem trudnego powrotu. Tyle lat minęło, a on ciągle jeszcze nie może uwierzyć, że fala, co wyniosła w górę, fala, dzięki której głodny półanalfabeta stał się człowiekiem, który myśli, decyduje, rządzi, uczy — że ta fala niosła też szumowinę po brzegach. „Upadek” po pięćdziesiątym szóstym przyjął jako krzywdę osobistą, a nie jako fakt historyczny. Nikomu nic złego nie zrobił, bronił swoich przed bandami, narażał życie — spotkała go czarna niewdzięczność. Nie mógł z dnia na dzień przestać wierzyć. I ciągle jeszcze broni straconych pozycji.

Wiem, że namawiali go, żeby wyjechał do innego powiatu, uparł się, że zostanie, chociaż zdjęli go z kierownictwa szkoły, przez jakiś czas nie pracował nawet jako nauczyciel, żył z kawałka ziemi i jeszcze mnie posyłał pieniądze. Chciałbym go teraz wypytać o wszystko, ale nie śmiem jakoś i mówię tylko, że się cieszę. Musiało to zabrzmieć idiotycznie, bo zamilkł nagle, jakby zgaszony.

Już drugi dzień mija, a ja jeszcze nie powiedziałem jeszcze nic o Ewie. Dlaczego zwlekam? Powinienem to zrobić już wczoraj. Pierwszy dzień jest zawsze najlepszy. Dlaczego nie potrafię utrzymać klimatu pierwszego dnia? Kiedy po prostu sprawia mi frajdę ten nagły przeskok w zupełnie inny świat. Aż nie do wiary, że gdzieś jest takie proste, zgrzebne, zwyczajne życie. I że to życie jest udziałem mojego ojca... Wstaje się ze słońcem i z zachodem słońca chodzi spać. Je się zsiadłe mleko, kartofle kraszone słoniną, jajecznicę, chleb ze smalcem. Czyta się jedną gazetę, „Trybunę Ludu”, lecz za to dużo książek. Ale nie nowości. Pozycje pewne, sprawdzone, Żeromskiego, Orzeszkową. I biografie wielkich ludzi. Zna się na pamięć „Trylogię”. Uczy się dzieci pracuje społecznie, uprawia ziemię, łowi ryby — na wszystko jest czas. ...

- Chciałbym założyć pasiekę, ale me wiem, czy dam radę, pszczoła wymaga wielkiego poświęcenia... Może jak dadzą na rentę, to zacznę sobie spokojnie pszczoły hodować.

- A bo to tatuś umie co robić spokojnie? Pewnie będzie tatuś i z pszczołami wojować.

Machnął ręką niecierpliwie i zmienia temat:

— Kupiłem sobie garnitur. Na twój koncert, gdybyś... Cholerny wydatek. Ale nie chcę ci zrobić wstydu.

Głupio mi okropnie, że ten „cholerny wydatek” okaże się pewnie niepotrzebny, chcę to ojcu wytłumaczyć, przygotować go na ewentualną porażkę w konkursie, właściwa chwila, żeby powiedzieć o Ewie...

Odrywa mnie od tych myśli hałas. Garnki dziwnie skaczą na kuchni. Woda z sagana na kartofle z sykiem kipi na blachę. Patrzę na Małgoškę. Trzęsie się cała, wszystko jej leci z rąk i coś do siebie mamrocze.

Ojciec nie zwraca na nią uwagi, zabiera mnie do pokoju i otwiera szafę. Wyjmuje przykryty prześcieradłem garnitur, tzw. „porządny”, ciemnoszary, z kamizelką.

— „Setka”.

Małgoška przyszła za nami z kuchni. Stoi w progu, nagle wybucha płaczem, odwraca się i ucieka.

— Co jej się stało?

— Ubzdurzyła coś sobie.

Szukaliśmy jej po wsi, po lesie, wreszcie znaleźliśmy zaszytą w stogu. Jak dziecko, myślała, że jej nie widać, skoro ona nas nie widzi. Gdy usłyszała, że podchodzimy, zaczęła wkopywać się w głąb stogu, tak że, z ledwością wyciągnęliśmy ją, na wpół uduszoną, nieboskie stworzenie pełne słomy w rozkudlonych włosach.

Wracała potulnie, trzymaliśmy ją za ręce rozmawiając o rzeczach obojętnych, żeby ją uspokoić — ale daremnie, bo ledwie przekroczyliśmy próg domu, znowu wybucha nieutulonym płaczem.

Gdy wreszcie usnęła, decyduję się powiedzieć ojcu prawdę:

— Tatusiu... przykro mi, może niepotrzebnie wydałeś pieniądze na ten garnitur... Ja pewnie w konkursie odpadnę.

— A to co znowu? Ostatnio inaczej śpiewałeś.

— Miałem duże szanse, nie kłamałem, ale...

— Ale co?

— Zaniedbałem granie...

— Nie rozumiem.

— Nie mam czasu... muszę zarabiać...

— Żenisz się? Może się już ożeniłeś?

— Nie, tatusiu, to nie tak. Musiałem się kimś zaopiekować... Ona jest bardzo chora.

I powiedziałem mu wszystko. I wykrztusiłem prośbę, żebym mógł tu na tydzień z Ewą przyjechać.

— Ale właściwie kto ona dla ciebie? Narzeczona?

— Nie, tatusiu. Po prostu człowiek... chory.

— I tak dla obcego...

— Sam mówiłeś...

— Ja to co innego. Myślisz, że jej tu będzie dobrze?

— Jej jest wszędzie źle. Ale może na wsi poczuje się trochę lepiej.

Pomyślał chwilę, czy o mamie? I powiedział:

— Rad jestem, że się borykasz z życiem. Często rozmyślałem, czy ci aby triumfy nie uderzą do głowy, czy nie stracisz gruntu pod nogami.

— Dobrze, że chociaż tatuś jest zadowolony.

— Niby z czego?

- Że mi się nie powiodło.

- Głupi jesteś!

I już wiem, że zatniemy się obaj w milczeniu — potem niezręcznie będziemy próbowali być znów dla siebie serdeczni, i znów jeden z nas to zepsuje — jakąś wymówką nie w porę, jakąś zadawnioną urazą, jakimś głupstwem, którego nie da się cofnąć — i tak będzie w kółko, aż wyjadę wściekły na siebie, żegnany jego gorzkim spojrzeniem.

Myślę czasem o świętych z mojego kościoła. Schweitzer, Saint-Exupery, Gandhi, prof. Kępiński... Ten ostatni najbliższy. Jakbym go dotykała. Żyć i umrzeć jak on. Człowiek całkowicie pochłonięty pasją niesienia pomocy. Cały oddany innym. Chciałam przeczytać wszystkie jego książki. Już nie przeczytałam. Nie mogę czytać. Wstrząsające, jak w tej potwornej chorobie, unieruchomiony gipsem — pracował, pisał. Jak bardzo musiał się śpieszyć. Prawdziwy triumf ducha nad materią.

A ja potrafię tylko rozpamiętywać swoje nieszczęścia. On nie myślał o sobie. Dlatego mógł tyle zrobić. Dławi mnie płacz, gdy o tym myślę. Żył wbrew cierpieniu, wbrew śmierci.

Czy to naprawdę ma znaczenie? Tak, dla innych. I to, co napisał. I legenda, jaką zostawił po sobie. Ta smuga światła.

Ale dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Żadnego. Został tylko dla nas. Dla innych.

A czy to ważne być — dla siebie? Nawet, jeśli żyję, a nikt mnie nie odbiera, nikt ze mnie nie czerpie, nikomu nic nie daję — to tak, jakby mnie nie było.

Cóż ja mam robić? Cóż ja mogę po sobie zostawić?

Rysować pośpiesznie, gorączkowo, po omacku projekty domów, ogrodów, szkół, szpitali? Przecież nikt tego nie zrealizuje. Jego praca była ludziom potrzebna. Czekali na nią. Na mnie nie czeka nikt.

Wystarczy sobie do końca uświadomić, wyobrazić, domyśleć, że umrzeć musisz — żeby fakt, kiedy to się stanie, przestał mieć znaczenie. Czy to ważne? Jeszcze jeden wschód słońca, jeszcze jedno śniadanie, jeszcze jedna miłość, jeszcze jeden projekt, jeszcze j na sukienka, jeszcze jedno rozczarowanie...

Więc można się z tym pogodzić. Bunt przeciwko czemuś, co jest nieuniknione, jest głupotą. Tak... Mogę jeszcze tylko wybrać... jak umrzeć. Jak zwierzę czy jak człowiek. Jak tchórz czy... Żeby ten heroizm choć na coś się komuś przydał. Ale i to nie jest ważne. Skoro wszyscy umrzemy.

Wyjechał i zostawił mnie z ciotką! Trzy dni. Tylko trzy dni. Jutro wraca. Nigdy nie przypuszczałam, że mi go będzie brak, już pierwszego wieczoru, a potem coraz bardziej, nie do wytrzymania. A przecież kiedy jest, drażni mnie swoją anielską dobrocią, denerwuje czujnością na każdy mój odruch, każdy gest, doprowadza do wściekłości swą... doskonałą obojętnością.

Co to znaczy? Boję się myśleć.

To nie jest tęsknota. Coś znacznie bardziej gwałtownego, szarpiącego.

Czyżbym jeszcze nie całkiem obumarła?

Wrócił! Na co ja czekałam? Czego się spodziewałam? Nic się nie zmieniło. Przywitał mnie, tak jak pożegnał, z tą samą samarytańską czułością.

Jeżeli to możliwe, żeby mi było jeszcze gorzej, to jest mi jeszcze gorzej. Czy mogłam przypuszczać, że samo istnienie jest taką męką?

Nie myliłem się, jest jeszcze gorzej. Skrajna rozpacz. Człowiek na samym dnie. Próbowałem rozmawiać. Skryła się pod maską tępej rezygnacji. Jakiż jestem nieudolny! Zarozumiały głupiec — wierzyłem, że potrafię ja ocalić!

Jutro badania kontrolne. Ich wynik wydaje się być przesądzony.

Nie! Ona będzie zdrowa! Ona musi być zdrowa. Boże! Jeżeli utracę wiarę — wszystko runie.

Starzy bombardują, żebym przyjechał do domu, gówniarze też dopominają się o brata, mama obiecuje nawet zorganizować fortepian, ale co będę grał na jakimś klekocie, skoro mam tutaj mego Steinwaya. Zresztą skoro Profesor jest w Warszawie i chce mieć ze mną lekcje, nie ma o czym mówić. Do października nie mam ojca, matki, dziewczyny, mam tylko fortepian. I Tatę.

Ewa... Dlaczego nie odpisała na mój list?... Koniec. Nie wolno mi teraz o tym myśleć.

Zastanawiam się, czy to słuszne, że uczeń ma jednego profesora instrumentu. Od różnych indywidualności można by więcej skorzystać. A tak — trzeba przyjmować wszystko, bez dyskusji. Zresztą może na etapie uczenia tak jest właśnie dobrze. W każdym razie, skoro już jest jeden, to wspaniale, że Tata. Poza tym, że genialnie uczy, działa mobilizująco. Jak zmarszczy brwi, jak spojrzę ostro, jak powie „panie Grzegorz!” — pocę się ze strachu. Nie sposób nie pracować.

Czasem mam już dosyć tej orki. Te monotonne ćwiczenia, ta praca od rana do nocy. Muszę się czasem urwać, spotkać z dziewczyną, pójść do kina... Uciec w coś, co mnie oderwie na chwilę od grania i o czym za chwilę nie będę pamiętał.

Ciągle jeszcze pracuję nad balladą f-moll. Przeanalizowałem dokładnie jej strukturę. Studiowanie kompozycji cholernie mi się przydaje. Intuicja intuicją, ale dobrze jest rozumieć, widzieć jasno to bogactwo linii melodycznych, o którym mówił Tata, tę wielogłosowość mimo pozornej homofonii. Jest w tej balladzie coś z Bacha, i to właśnie muszę wydobyć. Robota — gigant.

Andrzeja się już nie boję ani nikogo z naszych, ale przecież przyjdą inni. Podobno będzie około dziewięćdziesięciu. Wśród nich dwudziestu trzech laureatów innych konkursów. I aż siedmiu — zdobywców pierwszych nagród! Nie w kij dmuchał! Często ogarnia mnie panika. Że jestem zimny, drętwy. Że nic nie umiem powiedzieć od siebie. Że wszystko jest do chrzanu. To zaczyna być tak, jak z

tremą przed ważnym koncertem. Niepokój pojawia się dużo wcześniej. Robię się wtedy nieznośny dla otoczenia, nie jem, nie śpię, noszę ten koncert w sobie, a potem marzę, żeby się nie odbył. A gdyby się naprawdę nie odbył, tobym chyba zwariował. Tak samo z konkursem. Jęczę, a zdechłbym, gdyby się odbył beze mnie.

Czy ja naprawdę jestem zimny? Że nienawidzę literatury w muzyce?... Jak mi się opowiada jakieś historie... maluje tak zwane uczucia?... Dla mnie muzyka musi wyrażać to, czego nie można wyrazić w żaden inny sposób. To jest właśnie muzyka. Ale przecież mam grać Chopina! Wydobyć klasyczną formę to żadna sztuka. Ale jednocześnie wyrazić ten liryzm, tę poezję, tę „polskość”. I żeby to była poezja, a nie kłiwłość! Chopin taki, Chopin owaki. Zwariować można! Idę do kina.

Poszedłem na koncert japońskiej orkiestry smyczkowej. Bomba! Absolwenci i jeszcze uczniowie szkoły muzycznej. Co za zdyscyplinowanie, precyzja, jakie soczyste, bogate brzmienia. Grali mało znane utwory europejskiego baroku. Sama rozkosz.

Wolałem mieć lekcje w szkole. Ale w szkole remont, więc chodzę do Taty, do domu. Gabinet Taty onieśmiela mnie, czuję się w nim jak w muzeum. Jedna ściana- regały pełne książek. Niektóre, te najważniejsze dla Taty, mają karty tytułowe wyłożone na wierzch. Fortepian, nad nim olejny portret Chopina, i cała ściana pełna fotografii. Uczniowie. Najczulsze dedykacje wielkich sław. Światowych i... prowincjonalnych. Czy i moja fotografia zawędruje na tę ścianę? Paryż, Montreal, Nowy Jork... czy Kielce, Radom, Częstochowa?

Tata często podkreśla, że nie robi nic dla wdzięczności, że po prostu spełnia swój obowiązek. Tralalala! Lubi być kochanym. Kocha być kochanym. Niedawno wściekał się, że jakiś jego sławny uczeń ledwo mu się uklonił. „Co za brak kultury! Co za niewdzięczność!” — w kółko przez parę dni powtarzał.

Dziś przyszedłem z sonatą h-moll. Trema piekielna.

— Zagram trochę wolniej, dobrze?... — zaproponowałem nieśmiało. Tata skrzywił się lekko, ale nic nie powiedział. Gram. A on daje mi szkołę:

— Lewą ręką piąty palec, nie czwarty! Akcentuj opóźnienie pierwszej nuty w prawej!

Zaznaczyłem tę uwagę w nutach i gram dalej. Czuję, że słabo mi idzie.

— Śpiewaj, staraj się połączyć. Lewą ręką arpeggia za powoli! Proszę się opanować! Nie grać tak! Jeżeli tak w domu ćwiczysz, tak nierytmicznie, to źle ćwiczysz.

Muszę przerwać i wdać się w małą dyskusję, bo brnę coraz gorzej. Za chwilę zaczniesz mi mówić per „pan”.

— Panie profesorze, czy te dwa akcenty mają być jednakowo mocne?

— Nie. I nie może być diminuendo, musi być crescendo.

— A tu ja bym wolał brać drugi-piąty i pierwszy -piąty.

— Możesz. Palce ci chodzą całkiem nieźle, tylko dużo nimi ruszasz.

— Boję się, że zeszytnieją i koniec — pozwoliłem sobie uśmiechnąć się i uderzyć palcem o palec.

— Męczy cię to?

— Psychicznie. A tak w ogóle, to chyba nie.

— Trzeba ćwiczyć, samo się nie robi — powiedział niby surowo i czułem, że już jest na miękki budyń. Zacząłem jeszcze raz, znacznie swobodniej.

— Kładź ciężej.

— Boję się, że jak już nie trafię, to porządnie!

— Ja ci nie trafię! Łajdusie.

— Panie profesorze, czy to należy do frazy, czy zagrać na innym planie, trochę ciszej?

Dalej lekcja potoczyła się w niezmaconej harmonii. Tata jest fantastyczny. Mnóstwo od niego korzystam. Zastanawiam się, kiedy i czemu przestał sam koncertować. A on zaczyna swoją starą śpiewkę:

— Może na fortepianie Chopina to i tak brzmiało. Ale Chopin przeczuwał możliwości naszego fortepianu. Nie krępuj się! Zagraj ten fragment jeszcze raz! Dobrze, dobrze! Jeszcze bardziej aktywnie. Atakuj! Pokaż całe bogactwo instrumentu! Roztocz pawia ogon!

„Roztocz pawia ogon” mówi tylko wtedy, kiedy jest naprawdę zadowolony. Ufff!

Nareszcie w domu. Nie mogłam usiedzieć w Jastarni. Cały czas czułam, że jestem Jędrkowi potrzebna. Może jeszcze nie wszystko stracone. Dwie rzeczy są ważne: fortepian i tata. Muszę zdobyć fortepian i ugłaskać tatę.

— No widzisz, bardzo ładnie się opaliłaś, zupełnie inaczej wyglądasz - mówi tata i szykuje na moją cześć uroczystą kolację.

Ruszam z miejsca do ataku. Ale nie wprost. Z flanki:

- Tato, czy ciocia Tola jest w Warszawie? Nie wiesz?
- Jest. Dopytywała się o ciebie.
- Zaraz do niej polecę.
- Co się stało? Zawsze trzeba cię było kijami gnać. Stało się co?
- Nic... Dzwonił kto do mnie?
- Dzwonił. Ten twój Jurek.
- Żaden mój. A... Jędrak?
- Oczywiście, że nie!

Udaje, że krojenie pomidorów bardzo go absorbuje. A ja zaczynam okrążenie. Wystrzelam z pytaniem, które od dawna mnie intryguje:

- Tato, powiedz... dlaczego ty sam nie grasz?
- Daj mi spokój, co ci przyszło do głowy?
- Ale dlaczego? Nigdy nie chciałeś?
- Nie chciałem.
- Nieprawda. Widziałam recenzję z twojego dyplomowego koncertu: „Wschodząca gwiazda polskiej pianistyki”, „Wybitny talent”.

— Grzebiesz w moich szufladach.

— Ojej, ty moja gwiazdo. Wschodząca.

— Widziałaś datę?

— Czerwiec 1939 rok.

— No to masz odpowiedź.

— Ale przecież po wojnie nie byłeś jeszcze taki stary.

— Tak się złożyło, że nie siedziałem przy fortepianie sześć lat. Palce mi zesztyniały.

— Od karabinu?

— Powiedzmy. A więcej od łopaty.

— To skandal, żeby pianiście kazano fizycznie pracować!

— Co ty nie powiesz?! Szkoda, że cię wtedy nie było na świecie, bobyś zaprotestowała!

— A potem nie próbowałaś?

— Zaraz po wojnie objawiły się wielkie talenty: Czerny-Stefańska, Godziszewski, Hesse-Bukowska, Smendzianka, uznałem, że nie mam szans. A belferka zawsze mnie pasjonowała.

— Można robić to, i to.

— Można. Ale ja nie robię. Zresztą może i lepiej. Wirtuoz widzi w uczniu potencjalnego konkurenta. Nie może mu być bez reszty oddany.

— A czy ty się z kolei nie zanadto angażujesz?

— A czy można „zanadto”? Staram się tylko kontrolować, żeby nie widzieć w uczniach siebie. Z tym jeszcze czasem walczę. Na początku było mi bardzo trudno. Musiałem sobie ciągle przypominać, że uczeń jest sobą, a nie mną. Że w końcu na estradzie jest on — a nie ja. Że on odpowiada za to, co robi.

— „Odpowiada za to, co robi”... — powtarzam niby to machinalnie i czuję, że chwila jest odpowiednia, aby go zacząć kruszyć:

— Tato, przyznaj się... na pewno żałujesz, żeś Jędrka poświęcił? Gdyby stracił głowę dla jakiegoś dziwusa i przestał pracować, to rozumiem, ale przecież wiesz że to nie tak.

— Wiem. Ale jeżeli musisz wybierać, a nie wybierasz muzyki, nie jesteś artystą. Jak się nie ma powołania, lepiej robić co innego. Jak się nie robi tego con amore...

Truje. Co on wie o życiu! Ja bym dla Jędrka... Trzeba go dziabnąć:

— Czy ty też muzykę „wybrałeś” i dlatego mama odeszła?

Zachmurzył się i wiem, że dziś już nic więcej z niego nie wyduszę. Ale czuję, że tym pytaniem podkruszyłam go solidnie. Jak Szwedzi jasnogórską fortecę.

Załatwiłam dla Jędrka wielką rzecz! Fortepian od ciotki Toli! Dwa dni maglowania, ale wreszcie udało mi się ją przekonać, że chociaż fortepian to nie pudełko zapalek, to jednak można go na parę tygodni pożyczyć.

Dobrze się składa. Andrzej ma nagranie jakiejś muzyki dla teatru i prosił, żebym posiedziała z Ewą, więc mogę to z nią spokojnie załatwić.

Wiecznie skulona na swoim leżu. Nawet kwiatka się nie chce jej podlać. Więc włączę na tapczan z dzbankiem w rękę, a ona podkurcza nogi, jakby się bała, że ją dotknę. Podlewam stojący na oknie fiołek alpejski i zagajam:



— Słuchaj, jest taka sprawa. Zdobyłam dla Jędrka fortepian.  
— To dobrze — mówi z idealną obojętnością i chyba nie kapuje, o co chodzi.  
— Trzeba go będzie tu sprowadzić. Zgodzisz się?  
— Tu? Jak to tu?  
— Przecież on tu siedzi całymi godzinami. Gdzie ma grać, jak nie tu?  
— Tu się nie zmieści.  
— Oczywiście, że się zmieści. Trzeba będzie tylko trochę graty przesunąć...  
— I tu będzie ćwiczył?... Ja nie chcę! Ja nie chcę! Nie wytrzymałam!  
— Jesteś potworna egoistka! Nic nie widzisz! Nic nie rozumiesz! Nie jesteś warta takiego chłopaka! On marnuje dla ciebie całą swoją przyszłość! A ciebie to nic nie obchodzi?! Do pięt mu nie dorostała! Dlaczego on ciebie kocha? Co on w tobie widzi? Ty babo!...  
I rozbeczałam się ze złości na nią, na siebie, na niego, a najbardziej z żalu, że on nie mnie kocha.  
Spojrzała jakoś po ludzku. Jakby wyszła ze swojej skorupy:  
— Nie płacz. Przecież ja ci go nie zabrałam. I on mnie wcale nie kocha. Naprawdę.  
Chwytam tę okruszynę nadziei jak pająk muchę. Karmię się nią. Pożeram.  
— Więc dlaczego to wszystko robi?  
— Nie wiem. Sama się zastanawiam. Namówił mnie na operację i pewnie uważa, że jest odpowiedzialny to... że... żyję.  
Miłość przeogromna chwyciła mnie za gardło i... pająk wypuszcza muchę:  
— Niechby już sobie ciebie kochał, byleby tylko był szczęśliwy!  
Ale dla niej nic nie znaczy moja ofiara. Znów jest obojętna, martwa:  
— Dobrze, przywieź tu ten fortepian.

Króluje już Pleyel cioci Toli na środku pokoju, Ewa patrzy na niego z przerażeniem, a ja umieram z ciekawości, jaką minę zrobi Jędrak, gdy go zobaczy. Słyszę szcęk klucza w zamku. To on. Otwiera drzwi...

— Hej!  
Stanął jak wryty.  
— Zośka... co to?  
— Fortepianu nie widziałaś?  
— Nie... no... co ty... naprawdę?  
— Dotknij.  
— Jakim cudem?  
— Wycygałam od jednej takiej mojej przyszywanej ciotki. Sentymentalna osoba. Gdy jej opowiedziałam całą historię najpiękniej, jak umiałam, wzruszyła się do łez. Odwieszysz po konkursie. Nie jest to taty Bechstein, którym wzgardziłaś, ale zawsze lepszy kanarek w garści niż byk na licytacji.  
— Nie mów?... Co ty?... Naprawdę? — powtarza w kółko.  
- Będziesz mógł ćwiczyć od rana do nocy i w nocy też.  
I wtedy chwycił mnie, podniósł w górę i zaczął kręcić! Boże! Zarzuciłam mu ręce na szyję i śmieję się jak wariatka. Jak fajnie! Jaka jestem szczęśliwa! Musi być mój! Musi!  
Postawił mnie na ziemi i rzucił się do fortepianu. Gra jakieś zwariowane pasaże. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Jutro musi przyjść do taty.  
Spojrzałam na Ewę. Siedzi skulona z zamkniętymi oczami. Pewnie żałuje, że się zgodziła na ten fortepian

Lubię siedzieć na lekcjach taty. Grzegorz gra mazurki. Wydaje mi się, że chociaż tylko kibicuję, sama dużo się uczę. Gram razem z grającym po swojemu i cieszę się, gdy uwagi taty są po mojej myśli. Ile ten mój; stary wie o muzyce! Jak cudownie uczy.

Jędrak powinien niedługo przyjść. O tej porze Ewa zawsze śpi po proszkach. Nie uprzedziłam taty, bo czułam, że się wścieknie. A tak, jak zostanie zaskoczony...

Szlag mnie trafia, że ten głupi Grzesiek robi takie postępy. Pewnie! O niczym nie myśli, tylko o graniu! Skończył grać mazurki. Naprawdę fajnie.

— Nieźle — chwali go tata. — Z sarmackim rozmachem! O to chodzi. Tylko tu... — siada do fortepianu i sam przegrywa kawałek. — Nie bój się dźwięku. Nie można się bać dźwięku, rozumiesz?

Grzegorz powtarza ten sam fragment, rozgrzany pochwałą robi to bardzo dobrze.

— O tak. Teraz nieźle.

— Dziękuję, panie profesorze.

— No, tyle na dzisiaj. Bądź zdrow.

Tata nie rozgaduje się po lekcji jak zwykle, nie żartuje, tylko pośpiesznie wychodzi z pokoju. Grześ zauważył, że tata dzisiaj nie w sosie.

— Czemu taki zły? Cóżeś, Pekińczyk, narozrabiła?

— Nic nie narozrabiłam. Chyba dlatego, że... Jędrek...

— Ten opus już mnie nie interesuje. Jak dziś grałem

— Przecież wiesz, że fajnie.

— Prawdę mówisz? — nie czeka na odpowiedź i nagle pyta: — A co z Ewą? Nie wiesz?

— Chodzę do niej czasami, jak Jędrek musi wyjść. Ale przecież ciebie ten opus nie interesuje.

— Ewa? Nie... dlaczego. Pozdrów ją ode mnie. Zresztą może sam wpadnę któregoś dnia. Ewa wie, że wrócę do niej... Po konkursie.

— Gówno prawda — wyraziłam się wytwornie. Niby taki ważny, a zaczerwienił się jak głupi. Widać ta Ewa całkiem mu z głowy nie wywietrzała! Dzwonek. Pewnie Jędrek. Otwieram...

— Jędrek... — ucieszyłam się. — Chodź!

Grzegorz zabiera swoje nuty. Idioci! Udają, że się nie znają.

— No to cześć, Pekińczyk, do jutra!

— Panowie pozwolą, że ich przedstawię.

Ale oni wymijają się w przejściu bez słowa i Grzegorz wychodzi.

— Kretyni! Jelenie na rykowisku! — wołam za nim. Jędrek skubie rękaw koszuli i zerka niespokojnie na drzwi do pokoju taty.

— No jak? — pyta.

— Chyba za wcześnie. Powinam nad nim jeszcze popracować. On ci nie może darować... Nie jest w stanie zrozumieć.

— Ale ty... rozumiesz...

— Ja... tak. Ja... muszę.

Bo ja cię kocham, idioto! Bo ja cię kocham! Podchodzę do drzwi pokoju taty:

— No, ale ryzykujemy. Raz kozie śmierć. Pukam:

- Tato...

Wszedł i od razu marszczy brwi. A Jędrek zmieszany okropnie:

- Panie profesorze, przepraszam, że się ośmieliłem... przyjąć... niech mnie pan zrozumie... Ja naprawdę nie mogę inaczej...

Tata spogląda to na mnie, to na niego z nieodgadnioną miną. Sfinks, psiakrew! Czterdzieści wieków na nas patrzy!

— Tato... on ma fortepian. Ja ci nic nie mówiłam. Wycygałam od cioci Toli. Będzie mógł opiekować się Ewą i grać.

Patrzę na tatę. Co zrobi? Z nim nigdy nic nie wiadomo... Może dostać ataku wścieklizny. Zabiję go! Ale nie... powoli uśmiech rozciąga mu zmarszczki na twarzy:

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to jest aż tak poważna sprawa, łajdusie... Przychodź, kiedy będziesz mógł, przychodź.

— Och, tato! — rzuciłam mu się na szyję i ściskam, i całuję. Mój Jędrek! Jaki uszczęśliwiony. Jaki promienny. Mój dawny Jędrek. Wszystko się ułoży. Będzie grał. Będzie przychodził do taty na lekcje. I będzie mój! Będzie mój! Przejdzie mu ta Ewa jak choroba. Po co ja się całowałam z tym głupim Jurkiem? Koniec, kropka. Już nikt mnie nie dotknie. Kiedy Jędrek znów porwie mnie na ręce — zostanę jego dziewczyną.

Pełno teraz w domu muzyki. Gra całymimi godzinami. pięknie gra. Jestem trochę spokojniejsza. Mniej męczy mnie jego obecność, jego chłodna czujność, odkąd jest tak pochłonięty muzyką.

Jeśli są we mnie jeszcze jakieś ludzkie uczucia, to wyrzuty sumienia, że niszczę jego szansę. Zośka miała rację. Jestem samolub albo raczej samonienawistnik, co na jedno wychodzi.

Ona go naprawdę kocha. I on ją powinien pokochać. Byliby szczęśliwi. A ja?

Godzinami wpatruję się w to czarne pudło. Przypomina trumnę. I uparcie wywołuje wspomnienie, którego nie potrafię już odegnać. A może nie chcę?

To było wtedy, kiedy tak gwałtownie buntowałam się przeciwko śmierci mamusi. Dowiedziałam się od Basi, takiej jednej mojej koleżanki, że jej babcia umiera samotnie na raka. Basia odwiedza ją, kiedy tylko może, ale ma swój dom, swoje zajęcia. Zaofiarowałam pomoc w pielęgnowaniu chorej. Nie z

dobroci serca – o nie! Chciałam to zobaczyć. Zobaczyć umieranie. Moment przejścia. Uchwycić tę sekundę...

Patrzę na Wisłę. Jadę przez most na Pragę. Zupełnie inne miasto. Niskie rudery, sklepiczki, kocie łby. Przedwojenne, nie skanalizowane kamienice. Babcia mieszka w swojej ponad pięćdziesiąt lat! Przeżyła w niej dwie wojny, pochowała dwóch mężów, została sama.

Relikt starej, przedpotopowej Warszawy. W sionce ołtarzyk Matki Boskiej obstawiony słoikami pełnymi kwiatów: nieśmiertelniki, goździki, róże. Jak za okupacji. Lampka płonie, jak płonęła, tylko wtedy był to płomień żywy, tragiczny, płomień, który ocalał, jednoczył mieszkańców domu i uciekinierów szukających tu schronienia. A teraz elektryczna żarówka oświetla tylko tradycję, żywą może jeszcze dla takich staruszek jak umierająca babcia Basi.

Strome, skrzypiące schody. Wnętrze jak ze snu o Zapolskiej Gabrieli. Szafy, bieliźniarki, lustra, słupki pod kwiaty, pluszowa kanapa, na niej haftowane poduszki i serwetki z koronką, przypinane szpilkami, na ścianach stare fotografie i myśliwskie trofea, na stole — albumy, w nich pocztówki śmieszne i urocze, niektóre jeszcze sprzed pierwszej wojny, z carskimi znaczkami... Wszędzie mnóstwo bibelotów: słonie, figuryнки, dzbanuszki, wazoniki, popielniczki, „Pamiętka z Krymu” obok „Pamiętki z Krynicy”...

Na jednym z meblowych rzeźbionych łóżek wysoko oparta o poduszki leży babcia. Miła, pomarszczona twarz, srebrne rzadkie włosy, wyblakłe oczy, uśmiech, który prosi o przebaczenie...

Babcia modli się o szybką śmierć. Przykro jej, że sprawia swoją osobą tyle kłopotu. Mnie okazuje ogromną wdzięczność, płacze ze wzruszenia, że taka jestem dobra. „Mój aniołeczek”, mówi o mnie. Na początku dławił mnie wstyd, ale potem to się jakoś wyrównało, bo naprawdę ją polubiłam. Wydało mi się, że poprzez nią będę mogła nareszcie przeżyć śmierć istoty najdroższej mi na świecie.

Rak macicy i woda w organizmie. Pojednała się już z Bogiem, był ksiądz, płonęły gromnice, zleciały się baby z całej kamienicy. Wszyscy ją tu znają.

„Gasnę jak świeca” — powiedziała. Tak. Z każdym dniem mniej w niej było życia. Patrzeć na to. Oglądać ten proces. Po raz pierwszy.

Basen, mycie, zmienianie pościeli. Trzeba było prosić sąsiada o pomoc, bo nie mogłyśmy — zupełnie już bezwładnej — dźwigać. Chudziutka jak szkielet, przykro dotknąć, ręce maleńkie, żyły na wierzchu, a nogi i brzuch rozdęte. Już nic nie je, pije tylko gorzką herbatę i nawet po herbacie wymiotuje czarną, krwawą śliną.

Niezmacona świadomość jest źródłem dodatkowej udręki. Widzi, ile sprawia kłopotu, wstydzi się swego stanu. Basia mówi, że zawsze była wypiełgnowana, cysta, pachnąca.

Wybrańcy bogów umierają młodo. Pielęgnując babcię byłam szczęśliwa, że mamusia została wybrana.

W ostatni dzień szłam do niej w śnieżną zawieruchę. W kuchni światło, Basia sama, w pokoju ciemno. Stało się? Nie, ale zaczęły się bóle. Pogotowie, zastrzyk. Błagała lekarzkę, żeby mocny, żeby mogła zasnąć na wie na wieczne odpoczywanie. Czy zrobiłabym to, gdybym była lekarzką? Tak.

Śpi. Ciężki oddech, świszczący. Potworny zaduch. Już się nie obudziła po morfinie. Nie zobaczyłam więc tej ostatniej „jednej sekundy”...

A może to, co działo się potem, było doświadczeniem, którego za wszelką cenę pragnęłam? Zobaczyć, przekonać się, dotknąć, doznać: człowiek-odór, człowiek-zgnilizna, człowiek-strzyga, człowiek-upiór. Półotwarte oczy, rozchylone bezzębne usta, kości nosa, brody, policzków sterczą obciążone sinożółtą skórą. Woreczki pustych piersi. Ręce — oskubane skrzydła ptaka: zgięta kiść żyły na wierzchu, pazury.

Zniknęła bez śladu ciepła, dobra babunia. Dotykam trupa, dotykam zgrozy choroby i starości. To nie teoria to nie mamusieńka na obłoku, to z bliska bezwład, chłód, zapach śmierci. Pół godziny w starym szlafroku, maska z gazy osłania twarz, chustka na głowie, gumowa rękawiczka na jednej ręce, zdzieranie koszuli mycie, ubieranie — halka, sukienka, pończochy z trudem wciągane na opuchłe nogi. Walka o zamknięcie oczu. Oczy kury i ręce kury. Walka o zamknięcie ust - chustka związana pod brodą.

Wreszcie w czarnej sukience, stargana, straszna kukła na łóżku, porzucona już przez nas, przez dwie młode zdrowe dziewczyny, wyczerpane do dna, puste, obojętne.

Potem przyszli ci z trumną, ułożyli ją sprawnie, koronkowa chusteczka na stargane włosy, obrazek w ręce — jak oni je złożyli — odporne, zeszywniałe? Gałązki białego bzu na nieszczęsnym łonie; płonące gromnice! Wrócił „majestat śmierci”. Ale ja widziałam to wszystko — przedtem. Bez majestatu. Nagie.

Zeszli się gapie, dzieci, kobiety z całego domu i z paru sąsiednich kamienic. Pięćdziesiąt lat! — pół wieku. Chwila, i już trumnę zamknęli. Już ją dźwigają po stromych schodach. Za chwilę kostnica przy kościele. Zakonnica szarpie sznur dzwonu, zapala kinkiety. Już jest tabliczka na trumnę: „żyła lat 84... zmarła dnia...” Ksiądz klepie modlitwę i my z Basią powtarzamy za innymi „Ojczy nasz...”

Skąd się wzięło nagle w słońcu i w śniegu stado rozwrzeszczanych dzieci? Pewnie z lekcji religii. Truli im o nieśmiertelności duszy... Obskoczyły kostnicę jak ptaki. Wykrzywiony złośliwie staruszek zatrząskuje ciekawym drzwiami. I koniec.

Jakaś kuma mówi: „Bardzo ładny pogrzeb!” A druga: „Mój Boże, podobałby się biedaczce”. Tak. Nie żalowaliśmy na kwiaty i ksiądz ładnie się modlił, i śpiewy, i woń kadzidła. Już inny świat. Już ceremonia. Już to potworne — skryte. Rzuciłam twardą grudę — zadudniła. Mróz był i piękne, ostre słońce. Myślę o wojnie. To, co czytałam, teraz inaczej widzę. Skorupy gruzu we włosach, kikuty rąk, nóg. Stosy trupów. Teraz już nie tylko sobie wyobrażam. Teraz już wiem.

Koszmar. W każdym widzę trupa. W autobusie, na ulicy, w sklepie, na uczelni. Najtrudniej to znieść, gdy się patrzy na bliskich.

Kontakty z drugim ciałem — nie do zniesienia. Byłam wtedy z Tomkiem, moim pierwszym chłopcem. Trzymam go za rękę już usypiając — i nagły szok! To jest jej ręka! Ręka trupa! Oblewam się potem. Krzyczę. Odsuwam od niego. Tomek przygarnia mnie, przytula — ciepły, żywy. — Nie rozumiem...

Dotknęłam wtedy śmierci — a mimo to ciągle była czymś odległym, nierealnym, nie dotyczącym mnie. Dopiero teraz... Stoi tuż przy mnie. Słyszę ciężki świszczący oddech. Pustoszy mnie. Pochłania. Jest czarną kukłą, porzuconą na łóżku. Twarz babci? Nie... Moja twarz! Kukła już nie krzyczy — uładowana w czarnym pudle — ściska w szponiastych rękach święty obrazek. Ręce babci?... Moje ręce! Dudnią grudy ziemi. W czarnym pudle truchło, popiół, spopielała suknia, sterczące piszczele, czaszka z kosmykiem włosów. Moja czaszka! To jest śmierć. Nie ma już we mnie nic, tylko jej obraz. I pragnienie, żeby przyszła. I strach przed nią. Zwierzęcy strach.

Gdyby nie Andrzej, miałabym to wszystko już dawno za sobą. I za to go nienawidzę. I za to, że ciągle jest. Patrzę na okno. Czwarte piętro. Ale wyskoczenie przez okno wymaga większej odwagi niż odkręcenie gazu. I nie daję gwarancji. Gdyby mi znów kazali żyć?

Co chwila patrzę na swoje ręce, na swoje nogi; patrzę w lustrze na swoją twarz. Sprawdzam. Czy tak się zaczyna obłąkanie?

Nie być trupem. Zginać w katastrofie. Tak, żeby wiatr rozniósł szczątki po polach, po lasach, po górach po chmurach. Zniknąć bez śladu.

Nareszcie jesteśmy z Ewą w Końskich. Choć się nie skarżyła, czułem, jak męczył ją stukot kół, ruch pociągu, kolebanie na rozklekotanych szynach.

— Czy chcesz obejrzeć miasto?

Pokręciła przecząco głową. Trzeba przeczekać te dwie godziny do autobusu.

Błada, obojętna, nieobecna, siedzi ze mną w tej właśnie restauracji. Zamawiam dwie herbaty i dwa ciastka Kelnerka — chuda blondynka z wydatnym nosem i nastroszoną wieczną ondulacją, pobrzękuje szklankami, jeśli zjawi się tamta? Jeśli mnie pozna, podejdzie?...

Nie, pięć lat — niemożliwe. Mimo to z niepokojem patrzę na Ewę. Właściwie dlaczego — cóż ja ją obchodzę? I w ogóle, cóż to ma wspólnego z...

Tamto, wtedy — stało się w całkiem nieromantycznych okolicznościach. I pewnie dlatego te sprawy są wciąż dla mnie trochę wstydlive. Wszystkie moje przygody, nawet te najładniejsze, mają w sobie coś, do czego ciągnie mnie nieprzepraczone i od czego jednocześnie pragnę jak najszybciej uciec. Pewnie dlatego moje dziewczyny mówiły, że jestem „zimny”. Pewnie dlatego, kiedy marzy mi się Ewa — żona, widzę ją ze sobą w najróżniejszych sytuacjach, ale nigdy w „tej”. Nawet jeśli wyobrażam sobie, że jest ze mną w łóżku, to albo śpi spokojnie wtulona w moje ramię, albo coś jej opowiadam, albo słuchamy muzyki...

Tamta dziewczyna... Miałem wtedy szesnaście lat. Pod koniec sierpnia wracałem z wakacji od ojca do Warszawy, do szkoły. Rano nie było autobusu i nie miał mnie kto odwieźć na pociąg, więc przyjechałem wieczorem i musiałem przemocować w — pożałuj Boże — hotelu. To był ten sam hotelik z knajpą na dole. Była sobota, więc siedziało w niej pełno pijaków. Chodziłem dość długo po rynku, zajrzałem jak zwykle do Św. Mikołaja, lubię popatrzeć na półkolisty romański tympanon nad południowym portalem; zawsze mnie cieszy, że dwie rozety otoczone roślinnym ornamentem, umieszczone symetrycznie po obu stronach krzyża — nie są jednakowe... Jak zwykle, posiedziałem przed Pietą. Pierwszy raz, pamiętam, przyprowadziła mnie tam mama. „To jest cierpienie” — powiedziała, a ja nie rozumiałem i dziwiłem się, że dużego nagiego mężczyznę dźwiga na kolanach smutna pani. Kościół właśnie zamykano. Pójść do parku? Za późno. Pójdę jutro rano; ciekaw jestem, czy w egipskiej oranżerii stoją wielkie posągi faraonów, mieli je gdzieś wywieźć, miejscowi protestowali, nie wiem, jak to skończyło. Nie byłem tam tyle lat, zawsze w pośpiechu... Te posągi przejmowały mnie niewypowiedzianą grozą, gdy byłem małym dzieckiem. Pewnie teraz nie wydadzą mi się ani wielkie, ani

groźne. Właściwie wolałbym, żeby ich już tam nie było, żebym mógł zachować w pamięci tę przerażającą wizję.

Wróciłem do hotelu, wziąłem walizkę z recepcji i wchodzę po stromych schodach. Dziewczyna zbiegała w dół nucąc „ładne oczy masz”... Wbijam się w ścianę razem z walizką, żeby ją przepuścić, ale ona się zatrzymuje. Spocona, opalona twarz tuż przy mojej, czarne zmrużone oczy, zęby na wierzchu, ciemne zmierzwione włosy — śmieje się, obrzuca mnie taksującym spojrzeniem:

— Pan do czwórki?

— Tak.

Obraca się na pięcie i z powrotem na piętro. Idę za nią, targając walizkę, i muszę patrzeć na jej tęgie, gołe nogi. Widać pełni funkcję i pokojówki, i kelnerki bo na głowie, na czarnych kędzierzawych włosach kelnerski stroik.

Popycha drzwi i wchodzi do pokoju. Klitka z małym okienkiem wychodzącym na podwórze.

— Duszno tu, co? — mówi ze śmiechem i popycha łokciem okienko.

— Ciemno, nie? — nie przestaje się śmiać i zapala światło. Rozbłyśka goła żarówka po sufitem.

„Z czego ona się śmieje? — myślę. — Ze mnie. A może chce pokazać ładne zęby?”

— Co pan nic nie mówi? — śmieje się dalej. — śpi się tu dobrze. Łóżko wygodne! — klapnęła na nie i zaczyna się bujać i gapić we mnie.

— Niemowa?

— Nie, dlaczego... — bąkam.

Wstaje, podchodzi do umywalki, pstryka palcami dzbanek. Wodę przyniosłam. Kopie nogą blaszany kubek i zbliża się do drzwi.

- No to idę.

Wyjmuje klucz z zamka i przekłada go do środka.

— Niech ci się dobrze śpi.

— Dziękuję.

Zamyka za sobą drzwi — a potem nagle słyszę, że się otwierają, widzę znów jej roześmianą, zalotną twarz i słyszę szept:

— Nie próbuj się zamykać, bo klucz i tak nie od tych drzwi.

Szybki stukot obcasów po schodach w dół.

Serce wali. Rozdygotanymi rękami rozbieram się pospiesznie i nagi kładę się na łóżku.

Nagle ogarnia mnie głupi strach. Zrywam się, podbiegam do drzwi i próbuję przekręcić klucz w zamku.

Nie pasuje. Więc mówiła prawdę. Wracam na łóżko. Pachnie chlorkiem, stęchlizną. Po chwili

uspokoilem się trochę. Wymyślam sobie od idiotów, ale mimo to ciągle widzę jej twarz i słyszę śmiech.

Czy raczej gardłowy chichot. Wstaję, otwieram walizkę, wydobywam mydło, ręcznik i myję się. Zimna woda dobrze mi robi. Długo stoję nagi pod drzwiami. Z dołu dochodzą dźwięki muzyki, pijackie śpiewy i krzyki. Gaszę światło. Gwałtowna ciemność. Stoję w niej nieruchomy, bosy, z wciąż łomocącym sercem. Po chwili majaczą kontury szafy, łóżka i stołu, wydobyte słabym blaskiem sierpniowej nocy. Na palcach, jak złodziej, skradam się do łóżka. Podłoga skrzypi niemiłosiernie. Kładę się — i z moim ciałem zaczynają dziać się przedziwnie przerażające i niezwykle rzeczy... prądy... fale, serce w gardle — i to, co wykwitą ze mnie, krzyczy — prężne, strzeliste, radosne, poszukujące daremnie — czego?

Nagle słyszę kroki na schodach. Zrywam się i po omacku, pośpiesznie naciągam slipy, skarpetki, spodnie, koszulę... buty, jeszcze pasek od spodni... Ręce szamocą się jeszcze z guzikami — kiedy kroki rozpląnęły się gdzieś, ucichły. To nie ona.

Siedzę na łóżku ubrany i sam się z siebie śmieję i patrzę w drzwi jak sroka w gnat.

Nie słyszałem nawet, kiedy weszła. Poczulem, że coś mnie tarmosi za włosy. Otwieram oczy — jej twarz nade mną w szarości świtu. Półprzytomny, nie wiem, gdzie jestem.

— Czekałeś na mnie — śmieje się cicho.

— Dlaczego się nie rozebrałeś? Dlaczego się nie położyłeś? Czekałam przyniosłam ci coś dobrego!

Zapala światło, podchodzi do stołu, stoi na nim wysoki kieliszek z grubego szkła, wypełniony czerwoną cieczą.

— Prawdziwe sherry. Eksportowe. Pij!

Podaje mi kieliszek. Upiłem trochę, chociaż ślubowałem sobie, że nie będę pił alkoholu. Grzech był lekki, słodki z goryczką, pachnący... Wyjmuje z kieszeni garść papierosów.

— Zapalisz? Nie? To ja zapalę.

Nie ma już stroiku na głowie ani fartuszka. Wydaje mi się teraz starsza niż wtedy na schodach. Wyczuła widać coś w moim wzroku, bo podchodzi do lustra.

— Jezu, jak ja wyglądam — wzdycha i gasi światło.

Siedzę na brzegu łóżka. Słodko-gorzki alkohol łaskocze mi podniebienie — ona majaczy w bladym świetle, żarzy się ognek papierosa — usiłuję wmówić w siebie, że to mi się śni i że zaraz się obudzę. — No i co? — chichocze po swojemu. Zdusiła papierosa i podchodzi do mnie.

- Dlaczego się nie rozebrałaś, powiedz? Co? Wstydzisz się?

I już jej sukienka leci na stół, a potem reszta... Błysnęła nagość z tyłu, z przodu, i nie wiem, jak to się stało — już leżę na łóżku z twarzą między jej piersiami — miękkie, gorące — a jej ręka szuka mojej twardości.

— Pokaż, co tam masz — chichocze. Zrzucam ją z siebie i rozbieram się gwałtownie. Rozdygotane ręce daremnie szarpią guziki. Więc pomaga mi, wciąż chichocząc:

— Dobry jesteś, nie wiedziałam, że jesteś taki dobry.

Za chwilę znów leży na mnie naga. Pachnie... perfumami, upałem, alkoholem — a ja mimo to chcę, straszliwie chcę wdrzeć się w nią, przebić się przez tę kępę czarnych włosów w głęb — nie wytrzymam tego napięcia, umrę. A potem chwila ulgi i pustka, jakbym nie istniał.

Ona coś mówi, nic do mnie nie dociera, leżę z zamkniętymi oczami, wyrzucony na brzeg przez okropną burzę i teraz obmywany łagodną falą.

Obudził mnie jej chichot. Otwieram oczy.

— Ty, niemowa, co robisz jutro? — pyta zapinając sukienkę.

— Mam pociąg o dwunastej.

— Chcesz iść ze mną do kościoła, na spacer, na lody? Przyjdę po ciebie o dziewiątej. Pogadamy.

Przyznaj się, miałeś już dziewczyny?

— Nieraz... — skłamałem.

— Pewnie dwa! Ile masz lat?

- Osiemnaście! — kłamałem dalej.

- Łżesz! — chwyciła portfel i wyciągnęła legitymację.

- O rany! — spojrzała pogardliwie. — Jak dorośniesz i będziesz zarabiać, to kiedyś przyjedź i przywieź mi prezent. Może być niedrogi. Zbieram breloczki. Jutro ci dam adres.

Wyszedłem z hotelu chyłkiem, bardzo wcześnie, nie poszedłem nawet do faraonów, bo bałem się, żeby jej nie spotkać, przesiedziałem trzy godziny w kącie na dworcu i nigdy nie dowiedziałem się nawet, jak miała na imię.

Dlaczego tu przyszedłem? Teraz, po pięciu latach, z nią, z Ewą, z moją śmiertelnie chorą madonną. Jest przecież inna restauracja w Końskich. Gorsza? Ta też jest gorsza.

Muszę się od tego uwolnić. Za każdym przejazdem o tym myślę. Koniec. Może teraz będzie koniec. Jednak nie patrzę na Ewę, jednak jest mi jakoś wstyd. Po co ją tu przyprowadziłem?

Popijam wolno herbatę, dłubię ciastko i gapię się w drzwi zaplecza — może się tamta jeszcze ukazać? Płacę. Wychodzimy. Co za ulga, że się nie ukazała. Już jej nie będę szukał. Co za ulga! Wsiadamy w autobus do Pszczonowa.

Na szczęście nie ma tłoku. Znajduję miejsce, gdzie powinno najmniej trząść, i myślę już tylko o tym, jaki będzie ten nasz tydzień u ojca. Jakie będzie powitanie. Układam słowa:

— Ewo, to jest mój ojciec... i mój dom.

Panicznie się bałam obcego otoczenia, ale ono ustąpiło przede mną i zostawiło mnie w kręgu ciszy. Całymi dniami jestem sama. Andrzej znika gdzieś z ojcem. Małgośka krząta się przy gospodarstwie. Czasem widzę jakichś ludzi z daleka w polu albo słyszę ich głosy, kiedy przychodzą do ojca Andrzeja poradzić się o to czy owo. Właściwie okropne są tylko posiłki. Choć nawet wtedy nie męczą mnie zbyt rozmową. Pewnie Andrzej o to prosił. Jego ojca boję się. Jest jak stare drzewo pełne sęków, Muszę mu się wydawać śmieszna woskowa lalka.

Na Starówce u mnie też jest cisza, ale ta tutaj jest zupełnie inna. Wiejska cisza, wiejski chleb. Tak dawno nie byłam na wsi. Całymi godzinami leżę w sadzie, w gęstym cieniu jabłonek. Kiedy otwieram oczy, w liściach jest pełno słońca. Wsłuchuję się w dźwięki ciszy i sprawia mi to przyjemność. Uspokaja, usypia, nie myślę o niczym, staję się istotą wegetatywną, drzewem, kamieniem, trawą i jest mi dobrze. — Jędrzek mówił, że pani się uczy na architekta. Można się poradzić?

Stoi nade mną to sękate drzewo. Czego chce? Żebym wstała, żeby z nim poszła obejrzyć miejsce, gdzie ma stanąć fontanna, a potem do dworskiego parku, leży tam od lat figura z kamienia, trochę poharatana, ale może się nada. I czy obmurowanie dać niższe czy wyższe, a naokoło tylko trawnik czy klomby z kwiatami. Gdzie jest Andrzej, on by mnie obronił. Nie mam odwagi odmówić jego ojcu. Mobilizuję wszystkie siły, idę z nim. Początkowo droga mnie męczy, czuję ucisk w głowie, ale po chwili to mija i nawet jest przyjemne. Tak, ta rzeźba, secesyjna tancerka, powinna się nadać. Mierzę jej

wysokość gałęzią. Potem wracamy na skwer przed szkołę. Stałam na ganku szkoły i wyobraziłam sobie tę fontannę, tak jak powinna wyglądać.

- Ja to panu wyrysuję — wyrwało mi się. Uśmiechnął się do mnie każdą bruzdą i zobaczyłam, że oczy ma prawie tak jasne jak Andrzej. Wróciłam do sadu bardzo zmęczona, ale szczęśliwa. Więc coś po mnie zostanie. Na głuchej wsi. Śmieszna fontanna z tańczącą dziewczyną. Włożę całe serce w ten projekt. Po to tu przyjechałam. Zawsze wierzyłam w przeznaczenie. Na ostatnim zakręcie musiałam spotkać tego dziwnego chłopca-artystę, któremu zachciało się mieć we wsi fontannę. Jesteśmy już przyjaciółmi. Przyniósł mi do sadu wyrwane z zeszytu kartki i ołówki.

Ale to wszystko było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Biorę ołówek do ręki — i znów piekielny ból głowy, mdłości, mgła przed oczami. Jak mogę rysować, skoro nie widzę? Nie widzę. Także oczami wyobraźni nie widzę już tej fontanny, tak jak ją zobaczyłam, gdy stałam na ganku szkoły. Gdzieś się zapodziały proporcje, lekkość, styl, fantazja. Przy pomocy Andrzeja narysowałam jakiś potworny knot.

— Nie jesteś zadowolona?

— Nie.

— Może jak się lepiej poczujesz...

— Może...

On też doznał rozczarowania. Myślał pewnie, że praca dobrze mi zrobie. A ja nie nadaję się do pracy. Inwalida w wieku dwudziestu dwóch lat. Na szmelc. Na śmietnik. Jedno dobre, że ośmieliłam się chodzić. Dziś sama wybrałam się do drewnianego kościółka. Pół kilometra od domu.

Wewnątrz nie ma nikogo. Zawsze lubiłam puste kościoły. Naiwna polichromia, belkowany pułap, piękny wiszący przed ołtarzem krucyfiks — za nim wielki oleodruk „Chusta św. Weroniki”. Taki sam obraz, tylko mały, był u nas w domu. W grubej dębowej ramie. Paliło się przed nim światełko.

Blask latarni ulicznej w naszym pokoju, migotanie lampki oliwnej i cichy głos mamusi: „Pomódl się Bozi”.

„Do Bozi”, „Poproś Bożę...”, „Bozia” to był ktoś nieskończenie dobry, ciepły, bliski — wszechmogąca mama.

Ale nie był wszechmogący. Albo nie chciał nim być. Nie sprawił, żeby mamusia wróciła.

Wpatruję się w umęczoną twarz Chrystusa na krzyżu. „Bozia” wyciąga znów do mnie ramiona. Gotów przyjąć mnie, pocieszyć, obiecać „życie wieczne amen”.

Ale wstyd mi podejść do Niego. Skoro tyle dorosłych, świadomych lat żyłam bez Boga, w ogóle nie wliczałam Go w swoje obrachunki ze światem, to nie mogę teraz... tylko dlatego... że umieram.

A może nie tylko wstyd. Gdybym się poddała Bogu — nie zostałaby mi nawet rozpacz. Musiałabym wytrwać do końca. Bo rozpacz jest grzechem. Jest nieprzyjęciem losu. Buntem wobec woli bożej. Bo zabić siebie nie wolno.

A jeśli to nie znaczy koniec? Jeśli to znaczy etap, stan, przepoczwarczenie?

Uwierzyć. Zamknąć oczy i płynąć łagodnie w nicość. Byłoby to dobre. Byłoby bardzo dobre. Ale nie mogę tego zrobić. Więc dmucham na płomyk lampki oliwnej palącej się przed wizerunkiem Chrystusa, zdjętym z chusty św. Weroniki — i zostaję sama — z moją własną rozpaczą, z moim własnym strachem.

Wychodzę z kościółka. Przez podmokłe łąki nad rzekę. Świstawka się nazywa. Utopić się w Świstawce. Utopić się w takiej głupiej rzeczce...

Trawy wysokie, szumiące, w słońcu, jak wtedy. Czy tamto z Grzesiem naprawdę było? Dlaczego nie mogę się zanurzyć w pamięci o tamtym, jak w tych wysokich trawach?

Nie mogę. Już się nie łudzę, że nie wiedział, że gdyby wiedział... Wiedział przecież i co? I co? Pozwolił, żeby Andrzej ubierał mnie do trumny. Ma rację! Po co poświęcać życie dla trupa? Ta jego racja wyrzuciła we mnie wszystko na nice. Było to coś jak obdzieranie ze skóry, jak wrywanie wnętrzości. Ale za to teraz już nie boli. Napisał jakiś list, z którego wynika, że nic nie rozumie, potem kiedyś przyszedł i wtedy aż spościłam się ze zgrozy, że ktoś tak jeszcze wczoraj ukochany, może być dzisiaj tak obcy. Umarł we mnie ostatecznie. Już na nic nie czekam. Dawno powinnam i ja umrzeć.

Leżenie w sadzie zaczęło mnie męczyć, odkąd pomyślałam, że ta cisza właściwie wcale nie jest cisza. Że gdyby wzmocnić, podnieść do jakiejś tam potęgi wszystkie brzęczenia, szelesty, szumy, poszczekiwanie, piania, kumkania — hałas byłby gorszy niż w mieście, niż w najbardziej hałaśliwej fabryce. Wystarczy, że tak pomyślałam, a już to się we mnie spotęgowało, jakby podłączono mi do mózgu jakiś piekielny wzmacniacz. Muszę zatykać uszy. Znów nie mogę sobie znaleźć miejsca. Znów jest nie do wytrzymania. Znów jest źle. *Źle, źle, zawsze i wszędzie...*

Nieszczęsna Małgośka, kobieta-dziecko, patrzy na mnie z nienawiścią albo z bałwochwalczym zachwytem. Nie wiem dlaczego. Czasem coś mówi, ale nie mogę jej zrozumieć, czasem dotyka mnie, delikatnie, lecz i to budzi we mnie przerażenie.

Dobrze, że jutro już wyjeżdżamy. Ojciec Andrzeja ma coś do załatwienia w Końskich, zabierzemy się razem.

— Przewietrzę garnitur — powiedział — trzeba go nosić, skoro kupiłem.

Nie rozumiem, dlaczego Andrzej zaczerwienił się, a Małgośce zaczęły na kuchni skakać garnki.

Obudził mnie w nocy jakiś szelest. W świetle księżycy wpadającym przez otwarte okno Małgośka w długiej białej koszuli, z rozpuszczonymi włosami klęczy w drzwiach otwartej szafy i tnie coś wielkimi nożycami. Mamrocze jakieś zaklęcia, przekleństwa czy modlitwy... Staram się nie oddychać, żeby jej nie spłosz. Co ona robi?

— Małgosiu... — szepcę cichutko.

Odwróciła się ku mnie, krzyknęła — ostrze nożyc kieruje w moją stronę. Zamarłam z przerażenia. Ale nożyce z brzękiem padają na podłogę, a ona wyskakuje przez okno do sadu. Nic nie rozumiem, odurzona snem — a może to sen właśnie? Muszę biec za nią! Nie wiem, skąd mi się biorą siły, nie wiem, jak znalazłam się w sadzie.

Małgośka! — wołam. — Małgośka!

Jej biała koszula migoce już na łące.

— Małgośka!

Nie dogonię jej, nie mam siły, muszę ją dogonić, stanie się coś strasznego, jeśli jej nie dogonię! Już jest na brzegu rzeki.

— Małgośka!

Rzucam się za nią do wody. Oplątują mnie szuwary, nie mam już siły, dopadam jej wreszcie, chwytam za koszulę, szamocę się z nią — ona mnie odpycha, wyrwa się, jest silna, nie dam rady — pchnęła mnie — upadam twarzą w wodę.

Andrzej niesie mnie przez łąkę do domu. Wstydzę się, jakbym była naga, mokra piżama oblepia mi ciało, wiem, że Małgośka żyje, bo słyszę za sobą głos ojca i jej rozdzierający płacz.

Siedzę skulona w dresie Andrzeja. Pijemy gorącą herbatę. Małgośka wciąż szlocha. Ojciec ogląda pocięte ubranie. Ten szloch się nigdy nie skończy. Oszaleję. Nagle i ja zaczynam płakać. Dlaczego płaczę?! Mogę stać taka jak Małgośka. Więc na co czekam? Na co? Dlaczego płaczę?

Jest ktoś biedniejszy jeszcze ode mnie...

Sierpniowa noc włazi przez szpary do stodoły, pachnie siano. Jutro wracamy do Warszawy

Wszystko było jak we śnie: prowadziłem ją drogą między rosochatymi wierzbami, patrzyła na łąki nad Świstawką, przekroczyła próg domu, w którym się urodziłem, zasiadła przy naszym stole, zasnęła pod naszym dachem. Gdyby jeszcze tylko była zdrowa, radosna. I gdybym mógł powiedzieć: „Tatusiu, to jest Ewa, moja żona”. Gdyby. Tylko...

Było chyba lepiej, niż mogłem przypuszczać. Stała się jakby odrobinę pogodniejsza. Starłem się nie narzucać jej towarzystwa ani swojego, ani ojca. Udało się także ochronić ją przed oczami ciekawych sąsiadów. Rozstawiłem jej w sadzie polowe łóżko, leżała całymi dniami, starałem się, żeby piła dużo mleka, jadła miód, owoce, piękne mamy w tym roku śliwki i jabłka niebrzydkie, wydaje mi się, że jest trochę mniej blada. I chyba lepiej niż w Warszawie sypia. Śpi w pokoju sama. Ojciec z Małgošką w kuchni, a ja w stodole. Niepotrzebnie się tak bałem. Przypadła ojcu do serca. Dogadali się na temat fontanny. Zadowolony, że zrobiła projekt. Cieszyłem się, że się czymś zajęła, niestety skończyło się łzami, bo nie wyszło jej tak, jak chciała, ma trudności z rysowaniem, źle widzi, musiałem jej pomagać. Jednak trochę się rozruszała. Chodziła nawet spacerować.

Kiedy byłem mały, strasznie lubiłem spać w stodole. Wraca zapach szczenięcych lat. I uporczywe myśli o ojcu: dlaczego go zawiodłem? Kiedy to się zaczęło? On chciał, wierzył, miał nadzieję, że będziemy razem, a nie jesteśmy, właściwie nigdy nie byliśmy. Zawsze uciekałem od tego, co lubił. Nie lubiłem łowić ryb, nie lubiłem kopać w ogrodzie, nie lubiłem wstawać o świcie. Jakże często w dzieciństwie słyszałem pytanie ojca: „Na co się gapisz? Zajmij się czymś”. Albo: „Dlaczego nie śpisz?”

Mamie mogłem zwierzyć się ze wszystkiego, a jemu... Czyż mogłem powiedzieć, że nie śpię, bo zachwyca mnie gra kolorowych cieni, rzucanych na sufit przez żyrandol z paciorków? Ten żyrandol... Nigdy później takich nie widziałem: frędzle kolorowych szklanych paciorków na mniejszych i większych kołach wokół żarówki. Przy najmniejszym ruchu — mama je poruszyła - nieumyślnie? czy żeby spełnić moje najgorętsze pragnienie? — paciorki wibrują — ustokrotniejąc te drgania w cieniach rzucanych na sufit, na ściany. Taniec migotań, lśnień, połysków. Patrzę na to, chłonę i jest mi dobrze.

Czy mogłem mu to wytłumaczyć, kiedy pytał: „Dlaczego nie śpisz?” Nie mogłem.



Piękniejsza od gry żyrandola była tylko zabawa w oczy. Naciskasz oczy poprzez powieki i — dzieją się niezwykle rzeczy. Wytryskają jak fajerwerki błyskawice, pędzące chmury, tęcze, gwiazdziste nieba, górskie pejzaże, lodowe pałace, księżycowe zielenie, fiolety, srebro, migotanie słońca w wodzie, czerwienie, oranże, aż po niemal biały przejrzysty blask; kalejdoskopy barw, fontanny światła; wszystko w nieustannym ruchu, pulsuje, lśni, migoce, tryska, przenika jedno w drugie, budzi radosny niepokój — co dalej, co dalej? — co jeszcze? — aż nie wiadomo, kiedy już to wszystko zaczynasz śnić. Już śpisz snem dzieciństwa — a czasem jeszcze czujesz dotyk ręki matczynej, nasuwającej rozrzuconą kołdrę. Z półsnu wrywa mnie krzyk Ewy: — Małgośka! Małgośka!

Jezus Maria! Co się stało? Zeskakuję na dół, wciągam pośpiesznie portki, wybiegam na dwór. Widzę je obie, biegną przez łąkę w księżycowym świetle, Małgośka w długiej białej koszuli, rozpuszczone czarne włosy, Ewa w piżamie, z ostrzyżoną główką, chłopiec goni najadę, niesamowity widok, jak ze snu. Ojciec też usłyszał krzyki, biegniemy obaj za nimi. Małgośka już dopada rzeki — szybciej! — brnie przez szuwały, już jest zanurzona po szyję — Ewa przedziera się za nią, chwyta ją, szarpie, Małgośka wrywa się, z całej odpycha Ewę — Jezus Maria! Ewa znika pod wodą. Nie zdążę! Prąd znosi. Zaplątałem się w szuwały! Jest! Jej głowa ponad wodą. Chwytam jej rękę. Już trzymam. Już nie puszczę. Jezus, Maria... Widzę, że ojciec dopadł Małgośki i ciągnie ją na brzeg.

Niosę swoje dzieciątko przez księżycową łąkę do domu. Woda z nas spływa. Mokra piżama oblepia jej ciało — jakbym ją nagą trzymał w ramionach. Zalewa mnie fala gorąca i lęk, żeby ona tego nie wczuła.

W pokoju na wieszaku wiszą żalostne strzępy szarej wełny.

Co się stało? Strach na wróble? Co to jest? Ojca nowy garnitur!

— Małgośka!

Małgośka zanosi się płaczem. Zawijam Ewę w koc, robię gorącą herbatę. Ojciec chodzi, chodzi po pokoju wreszcie macha ręką, i mówi:

— Co ona sobie ubzdurła w tej głupiej głowinie? Że pojedę do Warszawy i już nie wrócę? Że ją tu samą zostawię? Cóż z taką wariatką robić?

Widzę, jak z oczu Ewy płyną łzy. Nie szlocha, tylko łzy płyną. Boże! Jak mogłem do tego dopuścić?! Jak mogłem ją tu przywieźć? Skoro ja sam pomyślałem, może się z nią stać to, co z Małgośką — jak mogłem nie przewidzieć, że ona pomyśli to samo! Zobacz ten koszmarny obraz przed sobą. Nie wolno mi było tu jej przywozić! Głupiec! Głupiec!

Łzy nie przestają płynąć z oczu Ewy, ale twarz jej ma jakiś dziwny, nowy wyraz. A może ona płacze nad Małgośką, nie nad sobą?

Zatrzymał się czas. Nie odróżniam dni. Leżę na tapczanie i gapię się w czarne pudło fortepianu. Potem odwracam się na drugi bok i wlepiam oczy w okno: korony drzew, obłoki, czerwony dach klasztoru — albo w ten nieśmiertelny fiołek alpejski — nie chce zemrzeć, podobnie jak ja, chociaż go wcale nie podlewam.

Ciotka wyjechała do Krakowa, facet do Algierii, skończył się pobyt na wsi i wszystko wróciło do normy, żyli dalej jest anormalne, bo nic się nie zmieniło i on znów jest przy mnie, a ja znów go dręcę jak dawniej. Wtedy przez te trzy dni, gdy go nie było, łudziłam się, że może być inaczej. Lecz okazało się, że inaczej nie może ze mną już być.

Bębnienie fortepianu piekielnie mnie denerwuje. Z każdym dniem bardziej. W ogóle wszelkie dźwięki. A znowu w ciszy wracają koszarne obrazy śmierci. Obłąd.

Andrzej albo Zośka usiłują mnie „rozrywać” i coś m czasem czytają na głos. Nie rozumiem ani słowa. Dawniej udawałam, że słucham, a teraz nie chce mi się nawet udawać. Jeżeli czegoś pragnę, to samotności, w której potrafię czasem uśpić wyobraźnię, i myśli pływają sobie wtedy wolno, w kółko, bez sensu.

Od czasu do czasu Andrzej ciągnie mnie do kliniki. Coś mi tam mierzą, badają, każą mieć nadzieję, wmawiają, że jest dobrze, że jest coraz lepiej, a ja już nawet nie buntuję się przeciw tym kłamstwom.

Zośka nie lubi mnie, przychodzi tu tylko dla Andrzeja, żeby mu pomóc albo żeby z nim być. Ma do mnie pretensje, że Andrzej traci swoją wielką życiową szansę, tylko co ja jestem winna, przecież niczym nie sprowokowałam jego decyzji.

Zośka myśli, że on mnie kocha jest zazdrosna o to a to nieprawda on nikogo nie kocha on jest anioł on jest święty patrzę na niego kiedy krząta się koło mnie albo kiedy gra i myślę dlaczego on to robi dlaczego to robi i nie znajduję odpowiedzi żadnej poza tą że szuka ujęcia dla swojej potrzeby poświęcenia się oddawania siebie bliźniemu że to przypadek że właśnie ja mu się nawinęłam że znalazł we mnie trędowatego ale trędowaty nie chce takiej litości zimnej nieskalanej trędowaty pragnie za wiele pragnie żeby kochać jego nieszczęście jego trąd jego samego.

Czy naprawdę chciałabym, aby mnie kochał? Nie wiem. Chciałabym, aby czułe ręce zamknęły moje mar two oczy. Ręce mojej matki. Ale czy to ma znaczenie?

Kiedy Jędrrek chałturzy albo jest u nas w domu na lekcji, ja siedzę z Ewą godzinami. Próbowałam mu wytłumaczyć, że Ewa powinna przyzwyczaić się być sama bo niedługo październik, pójdziemy do szkoły i zacznie się konkurs. Ale do niego żadne argumenty nie docierają. Boi się choć na chwilę zostawić ją samą. Więc co mam robić, siedzę z nią.

Ona przeważnie udaje, że śpi, żeby ze mną nie rozmawiać. Bardzo dobrze. Odwaliłam zaległą korespondencję. I czytam Dostojewskiego. Nie ma sensu chwycić wszystkiego, co popadnie. Nic z tego nie zostaje. Lepiej jednego genialnego pisarza poznać naprawdę. Kiedyś przeczytałam „Zbrodnię i karę”. Teraz czytam „Biesy”. Co za książka! A „Zbrodnię” przeczytam jeszcze raz. Chyba byłam za głupia, żeby taką książkę zrozumieć.

Jaka ja właściwie jestem?

Słyszę czasem: „Zośka złota dziewczyna”, „Złote serce”, „Ona jest taka dobra”... Czy to prawda? Nieprawda!

Jestem potworna egoistka. Jestem dobra o tyle, o ile mi to sprawia przyjemność. Lubię być „dobra”, lubię być lubiana. Ale czy potrafię być dobra, kiedy mnie to naprawdę coś kosztuje?

Może teraz — pierwszy raz w życiu — z Jędrkiem. Choć nawet teraz nie jestem pewna, czy ta cała moja „bezinteresowność” nie wynika z tego, że nie mam szansy, żeby go od niej oderwać? Ile intryg, kłamstw, podłości chodziło mi po głowie... Czy nie wprowadziłam ich w życie, bo jestem taka szlachetna, czy też tylko dlatego, że nie wierzyłam w ich skuteczność?

A gdyby wróciła do Grzegorza? Tak... to jedno... ale przecież ona nie może tego zrobić, choćby chciała. Byłaby ostatnią świnią. Ale przecież ludzie popełniają „ostatnie świństwa”...

Czy mam budować swoje szczęście na tym, że ktoś jest „ostatnią świnią”? A niechby, a niechby...

Jędrrek... Tak. O nim można powiedzieć „dobry człowiek”. Ale czy na pewno? Czy na pewno to jest ta dobroć, o którą mi chodzi? Przecież on ją kocha. Gdyby zrobił to samo dla obcej dziewczyny... To byłby święty! Życie dla drugich musiałoby być jego powołaniem. A przecież jego powołaniem jest muzyka. Więc jest czy nie jest egoistą? Czy w ogóle można nie być egoistą? Czy w ogóle jest to możliwe, jeśli człowiek jeszcze jest człowiekiem, jeszcze „zjadaczem chleba”, a nie aniołem?

Przez trzy dni nie miałem chałtur i prawie nie wychodziłem od Taty. O głupcze! — Znowu cię huśta nadzieja coraz wyżej i wyżej.

Były godziny, w których muzyka pochłaniała mnie bez reszty. Jak dawniej. Zamykałem się w olbrzymiej szklanej kuli, pełnej dźwięków. To znaczy, nie ja się w niej zamykałem, tylko zostawałem przez nią wchłonięty. Nie istniał świat. Jak dawniej.

Lecz nagle jej twarz umęczona pojawia się w szklanej kuli — dźwięki rozsypują się, rozpryskują i najważniejsze staje się pytanie, co powie lekarz jutro badaniu kontrolnym.

Niewzruszona cierpliwość. Sterylna dobroć. Marmur. Kryształ.

Dlaczego on to wszystko robi? Nie mogę pojąć, dlaczego. Wzięłabym go na tortury, żeby dowiedzieć się - dlaczego? Nie chcę litości. Czemu mnie to tak dręczy? Czemu cierpię, że jest tak doskonale obojętny? Czemu?

Mam tyle czasu, tyle czasu, piekielnie dużo czasu. Oszaleć można, jak dużo. Całymi godzinami myślę - dlaczego...

Czy boję się jeszcze śmierci? Tysiąc razy umieram leżąc z otwartymi oczami, kiedy na niego czekam. Za każdym razem, gdy słyszę kroki na schodach, serce bije z nadzieją, że teraz podejdzie, przygarnie, teraz uśmiechnie się, teraz powie...

A on zawsze chłodny, zawsze daleki, zawsze „troskliwy”. Nienawidzę go. Ach, jak ja go nienawidzę!

Ćwiczy etiudę. Co za męka! Każdy dźwięk dudni w mózgu. Chwyta nerwy w kleszcze, ciągnie, szarpie. Kulę się jeszcze bardziej. Zakrywam rękami uszy Zauważył to, bo przerwał granie i podchodzi do mnie.

— Co ci jest?

— Nic, nic, nic.

Moje oczy uciekają od niego. Jego oczy uciekają ode mnie. Spojrzał na mocno powiędnięty alpejski fiołek.

— Nie podlałaś go.

— Nie podlałam.

- Nie lubisz tego kwiatka?

- Dostałam go od ciebie.

- Nie dbasz o niego.

- Bo nie cierpię fiołków alpejskich!

- Czemu dopiero teraz mówisz? Zaraz go wyrzucę.

Mam ochotę otworzyć okno, cisnąć doniczkę, a potem... skoczyć sama. Mimo to mówię:

- Nie wyrzucaj. Podleję.

- Wiesz, w „Podkomorzance” była chałwa. Ale strasznie dużo ludzi. Może później wyskoczę. Kiwnęłam głową. Myśli, że mnie chałwą uszczęśliwi!

— Może byś teraz pospała?

— A ty, co będziesz robił?

— Będę grał.

— Więc jak chcesz, żebym spała? Właśnie chciałam spać. Ale skoro będziesz grał...

Poprawia mi poduszkę, okrywa pledem.

— Spij, będę grał na niemej klawiaturze.

— Czy to dla ciebie wszystko jedno?

— Nie. Ale nie martw się.

Zamykam oczy. Usiłuję spać. Słyszę, że Andrzej siada znów do fortepianu. Nie słyszę dźwięków, ale czuję, że gra, że porusza palcami. I nagle zaczynam słyszeć dźwięki. To się staje nie do wytrzymania.

Rozsadza czaszkę. Płaczę.

— Ewa, co się stało. Jestem przy tobie. Ewa, dlaczego płaczesz?

Pragnęłam to właśnie usłyszeć: „jestem przy tobie”. Nie — pielęgniarz. Nie — cień! Nie — anioł! Ale mój chłopak, mój mężczyzna. Człowiek, który mnie kocha.

Weź moje ręce... o tak... tak...

Teraz pochyli się, teraz powie, teraz mnie pocałuje, teraz przytuli mnie całą, teraz odpocznę w jego uścisku. Teraz zapomnę o wszystkim. Teraz poczuję się znów dziewczyną.

Trzyma moje ręce i siedzi sztywno, nawet jakby trochę odchylony do tyłu. Marmur. Kryształ. Szkło. Jego oczy patrzą czujnie, troskliwie... na trędowną. Wysuwam ręce z jego rąk.

— Wiem, że nie powinnam ci przeszkadzać... ale... nie mogę znieść tych dźwięków.

— Przecież nie słyszałaś dźwięków.

— Słyszałam. Jak grasz na niemej, to ja też słyszę dźwięki.

— Więc nie patrz.

— Nie patrzę. Mam zamknięte oczy i słyszę... ciągle słyszę.

— Teraz też?

— Nie, teraz, jak siedzisz przy mnie, to nie...

— Więc staraj się zasnąć...

— Tak... a jak zasnę, będziesz grał.

— Nie... Śpij.

Udaję, że zasypiam. Czuję, siedzi przy mnie, patrzy mnie. Po chwili cichutko wstaje. Pewnie wraca do fortepianu! Wytrzymuję, jak mogę najdłużej, z zamkniętymi oczami, wreszcie otwieram je: oszukał mnie! Gra! Porusza ustami, jakby nucił! Palce fruują nad klawiaturą.

Wybucham płaczem:

— Och, czemu ja jeszcze żyję!

I wtedy naprawdę się rozgniewał.

— Przestań! Ja muszę grać! Czy ty nic nie rozumiesz?! Daj mi nareszcie pracować!

Krzyk — tego mi było trzeba! Zobaczyłam nagle wszystko bardzo jasno i przestałam płakać. Usiadłam na tapczanie.

— Wezmę proszek.

Czuję w środku lodowate zimno. Głos brzmi spokojnie. Ani śladu rozszlochanej hysterii:

— Jestem dla ciebie takim ciężarem...

— Nie mów tak. To nieprawda.

— Musisz grać.

— Nic nie muszę. Połóż się. Będę przy tobie siedział.

- Nie, nie... Nie chce mi się spać. Jakoś lepiej się poczułam.

Muszę działać szybko, bardzo szybko.

- Wiesz co... Mam straszną ochotę na tę chałwę. Kup mi kawałek.

- Koniecznie teraz?

— O tej porze nie będzie tłoku. Proszę cię...

Wyszedł. Słyszę trzaśnięcie drzwi, a potem oddalające się kroki.

Szybko. Teraz szybko. Na tapczan, do okna, na parapet i... niechcący strącam ten nieszczęsny alpejski fiolek. Huk rozbitej doniczki niesie się po podwórku, narasta echem... i nie wiem, skąd on już jest przy mnie, ściga mnie z parapetu, zamyka okno, rzuca na tapczan, wisi jakoś dziwnie nade mną z rękami rozpostartymi nad moją głową, dygocze cały:

— Jak mogłaś? Ewa!... Jak mogłaś?...

— Dlaczego wróciłaś?... Dlaczego?

— Ewa... jak mogłaś?

— Komu potrzebne jest moje życie?

— Mnie!

— Tobie?!

— Ewa... Uwierz... będziesz zdrowa!...

I wtedy wyrwał się ze mnie krzyk tłumiony przez te nie kończące się dni i noce:

— Nie mów tak do mnie! Jest coraz gorzej! Będę kaleką! Już jestem kaleką! Nie chcę litości! Nienawidzę cię! Jesteś dobry! Piekielnie dobry! Nieludzko szlachetny! A ja tego nie mogę znieść! Ja tym rzygam! Nie chcę litości! Nie chcę twojej dobroci! Odczep się ode mnie! Twoja dobroć!... Ty nic nie rozumiesz... Nic!

Bierze moją ostrzyżoną głowę w obie ręce. Pochyla jeszcze niżej. Mam tuż nad sobą jego nieprawdopodobnie jasne oczy. Ich światło ogarnia mnie. Nagle stał się cały ciepłym, tkliwością.

- Będziesz zdrowa. Jeżeli do tego potrzebna jest moja miłość — to... ja ciebie kocham, Ewa. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Od samego początku. Od stworzenia świata.

Lekki wiatr z przymkniętego okna, obraz rozbitej doniczki zamajaczył jeszcze przez chwilę i już cała jestem w tym świetle, w tym cieple, we łzach. Płaczę cicho, bezgłośnie, szczęśliwie.

Czuję jego delikatne wargi na moich ustach.

Obudziłam się radosna i przerażona. Kocham Andrzeja! I chcę żyć! Zacznie się nowa męka. Muszę sama poważnie porozmawiać z lekarzem. Muszę wiedzieć, czy będę mogła żyć.

Jak będę mogła żyć.

Jakby mu dwie gwiazdy w tych ślepiach utonęły. Musiało się coś stać między nimi, bo i Ewa odmieniona. Uśmiecha się, krząta po domu, fotografię matki postawiła na dawnym miejscu, a na mnie patrzy jakoś tak... przepraszająco... Stało się. Koniec pieśni. Oni się kochają, a ja zostałam na lodzie.

Jutro pójdę do Jurka na chatę. Nie ma dla kogo oszczędzać! Muszę z tym skończyć.

Już się zaczęła szkoła. I wszyscy żyją konkursem. Tylko wczoraj się dwóch chłopaków z operowego pobiło i zrobił się wielki skandal. Pięknie zainaugurowali nowy rok! Rektor na tejże inauguracji mówił o honorze uczelni i o godności artysty, i takie różne... Ale fakt: żyjemy w tej szkole trochę jak na księżycu. Jest w Polsce normalna młodzież i jest koszmarny margines: łobuzy, gwałciciele, złodzieje, narkomani i inne bandziory. A my tworzymy margines przeciwny; sama subtelność, samo przerafinowanie, życie dla „wyższych” celów. Czy to dobrze? Czy nie znanadto potem dostaniemy po łbie? Każdemu się marzy żywot Kulki albo Pasja według Pendereckiego. Każdemu się marzy „wielka miłość” w sztuce. A to przecież niemożliwe. Co zrobią ci odepchnięci, zawiedzeni, rozczarowani?

Oczywiście, myślę i o sobie.

Coraz bardziej intrygują mnie młodzi wykołajeńcy. Chciałabym znaleźć się w ich środowisku, postarać się ich zrozumieć. Dlaczego są tacy? Jak do tego doszło? Pewnie dlatego, że nic ich nie pasjonuje. Jasne, jak młody nie ma nic, to szuka emocji choćby w drace. Nie można żyć bez napięć. Nuda rodzi zło.

O rany! Może ja powinnam pójść na psychologię? I właśnie zająć się „prostowaniem ścieżek” młodocianych przestępców? Czy to nie byłaby bardziej pożyteczna praca niż rozbijanie fortepianu? A czy to ważne, żeby być pożytecznym? Ważne, żeby w pełni realizować swoje możliwości. Tworzyć siebie. Być sobą.

Ale po co, skoro nigdy nie będę szczęśliwa? Kółko się zamyka. Och, Jędrak, Jędrak... Bredzę.

Poszłam do tego głupiego Jurka zdecydowana na wszystko. Jego starzy gdzieś wyjechali. Zorganizował chatę na medal. Wysokie kieliszki, wino, kwiaty, płyty, przyćmione światło, „Cygańskie romanse” — autentyczne ruskie nagranie, słowo daję, namiętne jak kalafior! Dlaczego jak kalafior? A bo tak. Kalafior.

Całowałam się, owszem, nawet mi bluzkę rozpiął i ucieszył się, że nie noszę stanika i... ale kiedy poszedł zaparzyć kawę, szybko zapięłam wszystkie guziki, nawet ten pod szyją, co go nigdy nie zapinam, i zwałam. Mało nóg nie połamałam na schodach. On zjechał windą i dopadł mnie na parterze. Szamotaliśmy się chwilę, ale ktoś szedł, więc dał mi spokój. Potem łaziliśmy po ulicy, usiłowałam żartować, ale było mi cholernie głupio. Nagle wpadł na koncept:

— A może ty jesteś dziewczycą?!

Idiota! Odkrył Amerykę! I jaki przerażony!

— Co ty, zwariowałaś? — rzuciłam wściekle i przysięgłam sobie, że on tego nigdy nie sprawdzi.

Co ja mam zrobić? Dlaczego uciekłam? Iść do lekarza? Jestem chyba nienormalna. Pogadać z tatą? Tata z tego nic nie zrozumie, powie: „Wyjdiesz za męża to się wszystko odmieni”. A jak ja w ogóle nie wyjdę za męża?

Dlaczego nie mam matki? To znaczy mam, ale nie mam. Napisać do niej? Nie ma sensu. Do diabła z takim światem! Całkiem mi się nie podoba. Niechby przepadł bez śladu! Tylko muzyki szkoda.

Koszmarne to życie jest pokręcone. Jedyne człowiek, któremu mogłabym się zwierzyć, to Jędrak, Cha! cha! cha! Znów się kółeczko zamknęło. Och, Jędrak, Jędrak. Na pewno zwariuję i będzie spokój.

Nie popadaj w szaleństwo, w zarozumiałość, w złudne nadzieje — to jeszcze wcale nie znaczy, że ona ciebie kocha, do tego jeszcze daleko, to się może nigdy nie stanie, to jest nieosiągalne. Ale cóż za radość! — ona chce, abym ja ją kochał, moja miłość jest jej potrzebna, wyciąga po nią rękę! Jak mogłem tego nie widzieć!

Dusiliśmy się oboje w oschłości. Jakże musiałem być jej nienawistny z tą gorliwością, za którą nie biło serce Biło, przecież biło! Opancerzyłem je tylko. Głupi! Głupi! Ile nakazów, zakazów. Dla oczu, dla rąk, dla słów. Żyłem, jakbym był cały usztywniony. Cały w gipsie. Manifestowałem swoją bezinteresowność — przed kim? Przed Grzegorzem? Wobec kogo? Wobec niej? żeby się nie czuła „zobowiązana”?! Wobec siebie! Idiota!

Przez tę narzuconą sobie oschłość byłem bliski załamania. Traciłem grunt pod nogami. Podnosiła łeb i gryzła myśl — że daremna jest moja ofiara, a wielka szansa życiowa, jaką jest konkurs, już nigdy nie wróci. Ale teraz to nie ma już znaczenia. Gdyby można było cofnąć czas, nic bym nie zmienił. Postąpiłbym tak sam o. Tylko nie zachowywałbym się tak idiotycznie. Przez trzy miesiące! Ale dość! „Gdybanie” jest wyjątkowo głupią rozrywką.

Jak dobrze, jak lekko nam teraz żyć. Wszystko ma sens. Każda szklanka mleka, każdy uśmiech, każde spojrzenie, każdy powrót do domu, każde pytanie, każda odpowiedź, zaśnięcie — obudzenie. Widzę, jak powraca jej nadzieja. Już zdrowieje! Z każdym dniem

Prawie nie rozmawiamy. Uśmiecha się do mnie, jak wtedy w Filharmonii, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem. Mój Grek Teofan.

Dotykam wargami jej ust — i to jest jak uchylenie nieba — otwarcie raj. *Nie otwieraj innego raj, dość m ...* Kiedyś czytałem taki wiersz...

Nie mogę wyobrazić sobie, żeby stało się między nami ... wszystko. Wyobraźnia nie działa. Obraz zasnuwa się mgłą.

Okularnik powiedział, że rokowanie jest pomyślne. Zdjął te swoje szkła i długo patrzył na mnie: — To była reakcja nerwicowa. Sprawdziła się moja optymistyczna hipoteza. Teraz wszystko wraca do normy. Gdyby nie blizna... — odgarnął mi włosy — ...bardzo ładnie wygląda — mogłoby się wydawać, że operacji w ogóle nie było.

Miałam chęć rzucić mu się na szyję.

— Och, panie profesorze... dziękuję. Strasznie dziękuję.

— Możliwości medycyny są niestety, ograniczone dziecino. To pani miała w sobie dość siły...

— Ja?!

To Andrzej! Andrzej! Andrzej! Chciałam to wykrzyzczyć, chciałam wyrzucić z siebie cały wielki wstyd małoduszne, histeryczne zachowanie. To Andrzej, Andrzej, profesorze!  
Ale profesor już założył okulary i ściska mi rękę na pożegnanie.  
— Musimy przeprowadzić jeszcze ostatnie badania. To już prawie formalność. Ale... proszę przyjść za dwa tygodnie.

Na straganie na Rynku kupiłam ogromny pęk różnokolorowych cynii.  
Kiedy wróciłam do domu, Andrzej grał. Zerwał się od fortepianu.

— No i co?

Śmieję się, i on się śmieje razem ze mną, i jasne jest, że jest dobrze.

— To dla ciebie — damę mu jedną cynię. — Wiem, że chłopak nie powinien dostawać od dziewczyny kwiatów, ale ta jest dla ciebie. I ta — podałam mu drugą.

— Ewa!

- I ta, i jeszcze ta — śmiejemy się oboje, aż wszystkie cynie znalazły się w jego rękach.

— Możesz z nimi zrobić, co chcesz.

- Ewa — szepcze uszczęśliwiony.

- Profesor powiedział na pożegnanie, że gdyby nie blizna, to można by myśleć, że nic w ogóle nie było. Ale muszę jeszcze przyjść za dwa tygodnie.

Teraz Andrzej odgarnia mi włosy.

Kocham tę bliznę. Zawsze będę ją kochał.

- A mnie?

— No... może i ciebie... troszeczkę.

Całuje mnie. W tę bliznę, we włosy, w oczy...

Czuję się dobrze, i tak bardzo chce mi się żyć! Staram się nie myśleć o czekającej mnie jeszcze wizycie w klinice. I zachowywać się, jakbym była już zupełnie zdrowa. Ale nie zawsze udaje się nie myśleć. A jeśli to tylko pauza przed nowym atakiem? A jeśli to jednak we mnie tkwi i tylko się przyczaiło?

Usiłuję nadgonić zmarnowane miesiące. Może mi się uda zrezygnować z dziekańskiego urlopu i zaliczyć wszystko na zimowej sesji. I muszę znów zacząć zarabiać. Andrzeja czeka rok dyplomowy, nie ma mowy, żeby chałturzył.

Co za radość rozłożyć z powrotem cały warsztat! Przypinać kalkę do deski, układać wszystkie swoje grafiony, piórka, redisówki, ekierki, ołówki, flamastry... pochuchać na rapidograf — skarb najwyższej klasy! Przygotować formatki. Pomarzyć o kulmanie... Pobawić się przykładnicą... Poukładać kartony, kalki, sulfity. Pociąć mój ukochany szary, chropawy papier pakowy, na którym lubię smarować węglem albo sangwiną.

Patrzę na swój ostatni przed chorobą projekt „Przedszkole w osiedlu miejskim”. Skopany! Kompletnie skopany. Drę go na drobne kawałeczki. Zrobię to zupełnie inaczej.

Przeoglądam notatki z wykładów Zachwałowicza... Czeka mnie egzamin u Suzina z geometrii wykreślnej. Założyłam się z dziewczynami, że zdam, choć nie pójdę w niebieskiej bluzce z dużym dekoltem! „Czarny Piotruś” znów pojechał do Italii, pewnie przywiezie nowe rewelacje na temat włoskiego baroku.

Chce mi się znów zanurzyć łeb w Noakowskim i pomacać swoją buławę w tornistrze... Gdybym miała kiego mistrza!

Robię szkice ot tak, jakby same spod ręki wychodziły: kwiaty w wazonie, martwa natura, widok z okna... ale wszystko do chrzanu. Albo zbyt realistyczne, albo już taka fantazja, że nie wiadomo co. Więc znów z okna — dachy, wieże... Potem wyszłam na Rynek, potem wewnątrz Św. Marcina, panorama z dołu od Wisły- czternaście kartonów. Jedno mi się może udało, że jest lekkie i że kreska coś znaczy. I znów Noakowski. Trudno uwierzyć, że człowiek, który tak czarodziejsko rysował, był ciężki, wielki, zwalisty, że z trudem się poruszał. Na jednej fotografii ma takie dziecinne oczy — czy naprawdę miał takie? Tak niewiele jego prac zostało, tyle spłonęło w czasie wojny. Trochę można jeszcze znaleźć po ludziach. Podobno nie cenił swoich dzieł. Targował się z kupującymi o niższą cenę. Powinno się to zebrać, chociaż ja nie oddałabym za skarby świata. Muszę mieć choć jeden jego oryginał. Może znajdę w Desie. Poszukam, gdy będę znów zarabiać...

Zrobiłam dla ojca Andrzeja kilka projektów fontanny. Andrzej twierdzi, że jeden piękniejszy od drugiego. Posłaliśmy, żeby sobie wybrał. Jak wybierze, to rozrysuję w skali, a na wiosnę pojedziemy budować.

Zaczynam znów żyć swoją pracą, swoim zawodem - jak to dobrze. Gdyby jeszcze Andrzejowi się udało – o Boże! oby mu się udało! Za kilka dni rozpoczyna się konkurs.

Zadręcza mnie świadomość, że przeze mnie może stracić swoją wielką szansę. Jakby wyczuł, o czym myślę, bo właśnie przerwał granie:

- Posłuchaj. Grałem to tak...

Powtórzył frazę z koncertu f-moll.

- A teraz gram tak...

Staram się słuchać uważnie, jak tylko potrafię.

- Zbyt subtelna różnica... jak dla mnie. Wiem, że pięknie.

- Nie, to jeszcze nie to. Ciągle uciekam od własnego w urojone. Piekielnie trudno znaleźć własne.

Znowu zagrał ten sam fragment.

- Co je złapię, to mi ucieka. Widzisz, zawsze starałem się... wniknąć jakby w sam moment, kiedy to się rodziło... Jakoś sobie to wyobrazić, odczuć — i grać, jakby to było moje, jakbym to sam skomponował.

Oczywiście mogłem się mylić, ale we mnie to było prawdziwe...

Zagrał cichutko jakiś inny motyw.

- Wiesz, Chopin uwielbiał Mozarta. Będę teraz grał dużo Mozarta. Taką okrężną drogą — wrócę. Ale nie mogę się śpieszyć. Wiem, że teraz już nie zdążę. Jestem na to przygotowany, nie martw się. Już bym nawet nie gonił, gdyby nie Tata.

Uśmiecha się, a mnie dławi wstyd, żal. Żeby można było cofnąć czas!

- To przeze mnie. Tylko przeze mnie. Tak okropnie mi głupio — szepnęłam hamując łyzy.

- Tak. Przez ciebie — powiedział poważnie.

Zamarłam.

- Przez ciebie wiem, kim jestem. Że jestem. Przedtem życie było grą, tylko grą... a teraz jest. Przez ciebie.

Fala radości zmywa żal.

- ...Kocham. Kocham ciebie.

Powiedziałam to pierwszy raz w życiu. Tak wyraźnie.

Jak przysięgę.

Więc trzeba było przejść przez piekło, żeby mieć ciebie, być z tobą, kochać ciebie!

Topimy w sobie nieprzytomne oczy już się ramiona splatają skronie policzki wargi vibracje prądu drżenia nagość obezwałdniona żarem bezbronna prężność twardość nabrzmienie brzmi we mnie nieprzeczuwana struna więc ja mogę tak kochać dłonie szukają czułych miejsc cała skóra wszystko wszystko skronie policzki wargi piersi zgnieść zmiążdżyć jęk och Jędrak to się nie kończy nie kończy nie kończy spadamy w górę i w górę spadamy taniec taniec i jeszcze i jeszcze i mocniej i głębiej na wskroś pod samo serce walące oszalałe zamykam oczy przepaść otwieram radosna twarz mną i jeszcze jeszcze do bólu aż Krzyk chce mil przestać istnieć pozostać na zawsze tak.

Serce na sercu łomotanie w skroniach w przegubach nóg i rąk objęci zwarci przedłużyć zatrzymać czas powoli rozluźnić w ciepłej pachnącej wilgoci uścisk głowa na twoje serce ramiona obejmują w wielkim uciszeniu leżymy na obłoku obłok wolno płynie po niebie. Nic nie wiedziałam. Nic. Nie przeczuwałam siebie takiej. Wszystko, co we mnie było jest i będzie. Tobie. Na życie i na śmierć.

Za oknem bledną gwiazdy. Świt.

Cynie, krótko podcięte, zanurzone w glinianym dzban ku, cieszą oczy cynobrem, złotem, oranżem, amarantem. Bicie twojego serca tak głośne, wyraźne — i nagle fala strachu podpływa aż do krtani: To nie może trwać! Z której strony uderzy cios? Gdzie się przyczaił wróg?

Po twarzy płyną łyzy. Jędrus... — czy tak już będzie zawsze? - opuszkami palców rozciera słońca strużkę, przygarnia mnie mocniej do siebie, wargi błędzą, we włosach serce bije coraz słabiej, ciszej — tkliwość ogromna - i za chwilę już uwolniona od lęku miękko zapadam w sen.

Nieosiągalne stało się dniem codziennym. Nie - powszednim.

Wszystko jest radosne, uszczęśliwiająca. A jednak, kiedy myślę o tym, cośmy przeszli, nie mogę uwierzyć, że możemy teraz po prostu zwyczajnie żyć. Bez potwornych napięć. Chyba dotknęliśmy granicy. Chyba za dużo wiemy. Czy potrafimy zapomnieć? Zdobyłem się na odwagę i powiedziałem jej,

że teraz, kiedy jest już zdrowa, musi się poczuć absolutnie wolna — bez bagażu jakiejś tam wdzięczności dla mnie, że powinniśmy od nowa zacząć układać nasze sprawy, jak równorzędni partnerzy — a to znaczy, że się wyprowadzam ze Starówki.

Oczy jej pociemniały.

- Wyprowadź się. Jeśli chcesz. Jesteś wolny. Ale ja... nie chcę przeżyć już ani jednego dnia bez ciebie. Ani jednego.

Zostałem.

Za kilka dni zaczyna się konkurs. Biegam jeszcze na ostatnie lekcje do Taty, ale jest w tym coś z oszukiwania samego siebie. Cień nadziei jeszcze... że może... ale wiem, że nie. Tata ma świętą rację. Trzeba się oddać całkowicie. A to jest dziś dla mnie niemożliwe. Zbyt dużo miejsca zajmuje lęk o nią, radość z niej, troska o nią.

- Panie profesorze, czy nie lepiej, żebym zrezygnował?

Chcę, żeby się zgodził, chcę odpocząć, czy nie widać jaki jestem zmęczony? Ale Tata jest uparty.

— Nie! Wytrzymaj do końca. To ci w każdym razie dużo da. Otrząskasz się z estradą, z publicznością. Z dużą salą. To dla ciebie bardzo ważne.

Ja mam dla siebie coś naprawdę ważnego. Wiem, cokolwiek się stanie, nigdy nie odejdę od muzyki.

Dzisiaj długo po lekcji rozmawialiśmy o wieloznaczności w sztuce. Jak to dobrze, że znaki w partyturze nie są precyzyjne. Crescendo, forte, vivace, sostenuto... con amore.... — samo w sobie nic nie znaczy, dopiero w kontekście utworu.

Zawsze czułem, że sztuka bez wieloznaczności jest płaska. Nie jest w ogóle sztuką. To chyba wynika z najgłębszych źródeł twórczości. Sztuka przecież musi mieć coś z magii, z tajemnicy, z niedookreślenia. Dopiero jak się czuje i wydobywa to niedookreślone, tę magię, tę tajemnicę — dotyka się sztuki.

Czy tak samo jest w miłości? Czy też, jak się wszystko wie — to się przestaje kochać?

Ale czy można wiedzieć wszystko?

O czymkolwiek?

Zaczęło się. Zjechali do nas młodzi pianiści z całego świata! A w jury same sławy. Gwiazdy pierwszej wielkości. Przy takiej konstelacji mógłby nawet prąd wysiaść, a w Warszawie i tak by było jasno. U nas w szkole odbył się zapoznawczy wieczorek. Profesor Sikorski bardzo ładnie mówił o odpowiedzialności jury. Jak trudno kwalifikować umiejętności artystyczne. Pewnie, że trudno!... I że nasza wielka narodowa sztuka jest przedmiotem powszechnego zainteresowania, że przyciąga i zachwyca swoim pięknem... I że będziemy żyć w tych dniach niezapomnianą atmosferą wielkiego międzynarodowego święta muzyki. Na wieczorku było z początku trochę sztywno, ale potem zrobiło się bardzo, bardzo. Jacy oni wszyscy fajni! Cholernie mi się spodobał jeden Francuz. Pewnie bym nareszcie straciła cnotę. Ale odpadł po I etapie, obraził się i zaraz wyjechał. Nie mam ja szczęścia do ludzi!

Zaprzyjaźniłam się z Japonką, trzymam za nią kciuki - o Jezu, jak ona pięknie gra! Bardzo subtelnie gra, a potem nie wiadomo skąd w takiej kruszynie, takim kwiecie lotosu, bierze się nagle nieprawdopodobna siła!

Stoję cały czas za kulisami, aż mi nogi w tyłek wrastają. Paplę po francusku i po angielsku, całkiem nieźle mi idzie, tata to zauważył i powiedział, że powinnam wyjechać do Paryża albo do Londynu, tam pracować i uczyć się przez całe wakacje. Przyszłe. Nie da się ukryć, to jest wzruszające. Te wszystkie flagi, obce języki, i jak taki Metys gdzieś z końca świata, z Urugwaju czy Paragwaju, zaszuwa nasze mazurki... Coś naprawdę jednoczącego. Osiemdziesięciu dwóch pianistów z dwudziestu ośmiu krajów! Ale czasem to i się aż rzygać chce, tak mi się nudzi. Nie zajrzę do Chopina przez rok.

Staram się o tym nie myśleć, ale okropnie denerwuję się o Jędrka. Moim zdaniem grał cudownie, ale tata ma jakąś niewyraźną minę. A może mi się zdaje? Och, żeby przeszedł do finału! Nie mogę się doczekać werdyktu jury.

Dopycham się do tablicy. Jezus, Maria! Nie przeszedł! Wściekłość przypieka mnie pokrzywą. Odpadł z naszych przeszedł Grzesiek i Elka. Moja Japonka też. A Jędrak odpadł. Kto mu to powie? Ja mu to muszę powiedzieć. Nie... Już tato zabrał go na rozmowę... Dlaczego odpadł? Przecież tak pięknie grał. Kretyni siedzą w tym jury!

Niby jestem dobry kumpel, taka serdeczna, cieszę się, gratuluję, a skręca mnie zazdrość. O sobie. A najbardziej o Jędrka.



Moja Japonka zdobyła trzecie miejsce. Grzegorz wypadł wspaniale: drugie miejsce. Elka szóste.

Dziś koncert laureatów, no i nareszcie koniec! Jeszcze Grześ, potem — cudo — Argentynka i kropka. Żegnaj, Chopinie!

Uwielbiam ten moment podniecenia, tuż przed rozpoczęciem koncertu. Grzegorz rozpromieniony, chyba nawet już się nie denerwuje, co chwila ktoś do niego podchodzi, ale on, skubany, widzi tylko Ewę. Wyraźnie ją rwie, sukinkot! Właściwie to powinnam się cieszyć, nie mogę znieść takiego świństwa!

— Stary, uważaj... przestań tokować.

— Co ty?... Zośka!...

— Stroszysz ogon fraka jak paw!

A on, pewny siebie, szczęśliwy, śmieje się i ciągnie mnie za włosy jak tata. |

— Ty przeciwko mnie? Dlatego że Jędrak odpadł. To co, już go nie kochasz?

— Idiota!

— Dla ciebie lepiej, żebym był z Ewą.

— Uch, ty! cymbale! Chcę, żeby był szczęśliwy! Flaki wypruję, jak się będziesz go czepiał! Coś ty dla niej zrobił! Nic! Palcem nie kiwnąłeś! Chociaż to ty z nią spałeś! A nie on!

— Wierzysz w cuda?!

— Nie wiem. Nie byłam materacem. Ale wiem, uratował jej życie.

- Jesteś wspaniała dziewczyna, Pekińczyk! Nie doceniałem cię!

- Tylko nie zaczynaj mnie podrywać!

Zaczerwienił się ze złości, a tu mu inspicjentka przynosi bukiet storczyków i długą kopertę. Koledzy go otoczyli:

— Ale kwiaty! Ambasada! Na pewno zaproszenie!

Bierze nonszalancko te kwiaty, jakby całe życie był storczykami karmiony, szuka oczami Ewy, podchodzi do niej, podaje jej bukiet z miną Romea i bezczelnie zerka na mnie. I znów ją odciąga na bok, i znów coś jej tam szeptem. Na szczęście inspicjentka przerywa te romanse.

— Panie Grzegorzu, panie Grzegorzu, na estradę! Obciągnął frakową kamizelkę, przyglądał włosy, wchodzi — wita go burza oklasków.

Z pokoju solistów wyszedł Jędrak, rozgląda się za Ewą. Wiem, że rozmawiał z tatą. Więc poszłam do taty. Usiadłam przy nim bliźutko, patrzę w oczy... Smutny jakiś, a przecież Grzegorz to jego wielki sukces.

— Tato... nie jesteś szczęśliwy?

— Chyba jestem.

— Kiedy się kapnąłeś, że Jędrak nie przejdzie?

— Za dużo chcesz wiedzieć, Smoluszk.

— Wiesz co? Może ja jestem głupia, ale mnie się zdaje, że ja bym przeszła. Czy ja gorzej gram choćby od tego Kitajca?

— Gorzej.

— Ale Jędrak grał cudownie. Dlaczego przepadł?

- On ten konkurs u mnie wygrał. I ty też.

Czy mi się zdaje, czy też oczy taty naprawdę zaszklily się łzami.

- Skąd wyście się tacy wzięli?

Grzegorz kończy grać. Wchodzimy po schodkach za kulisy posłuchać, jak finiszuje. Ostatnie akordy. I huragan oklasków. Już jest z nami. I znów na estradzie. Aż wreszcie możemy mu naprawdę pogratulować.

— No, pięknie się spisałeś... łajdusie — mówi tata.

— Dziękuję, panie profesorze. Dziękuję za wszystko.

Jędrak podchodzi:

— Cieszę się, stary.

Pierwszy raz chyba od tych gniewów uściskali jak dawniej. Mnóstwo ludzi otoczyło wybrańca losu, a ja zobaczyłam, że Ewa ujęła dłoń Jędraka, ścisnęła jakoś tak kurczowo i przytuliła do policzka.

Ludzie zaczynają się powoli rozchodzić. Tata wziął mnie za rękę, podszedł do Jędraka i Ewy, objął nas razem i powiedział:

— Świat nie kończy się dla was na tym konkursie. Prawda, Smoluchu?

I pociągnął mnie za kudły. Och, tato, tato...

Dziwnie, przedziwnie. Tyle czasu żyłem jedną myślą, jednym dążeniem, jedną pasją: dobrnąć, nie załamać się, wytrwać. I wreszcie jestem. U mety? U celu? Wyścig skończony.

Zziany, szczęśliwy... laureat! Stoję na estradzie brzmi „Jeszcze Polska...” Już po wszystkim. Że też nerwy napięte do ostateczności nie trzasły. Dziś jest luźny, swobodny, dziś już koncert laureatów. Zapach sławy, te dymy, kadzidła... Upajające, nie da się temu zaprzeczyć. Wygrałem. Teraz już jestem na górze. Teraz już można powiedzieć, że warto się było tak męczyć.

Wszystkie drzwi otwarte. Byłem był mądry. Dużo pracować, stale poszerzać repertuar. Bach przede wszystkim i muzyka współczesna. Tak, Chopin, Bach i współczesna. I muszę mądrze sobą gospodarować. Nie, łapać wszystkiego. Nauczyć się odmawiać. Wybierać. O rany! Ale pojeżdżę sobie po świecie!

Cieszę się i ze względu na starych. Pękają z dumy. Należy im się to. Niczego mi nigdy nie odmawiali. A mimo wszystko jakoś pusto i głupio, że to już. Żyłem jak w wariackim śnie. Teraz trzeba się obudzić. Nareszcie zobaczę dziś Ewę. Czasem mi tam migą, ale nie byłem w stanie o niczym myśleć. Dziś co innego. Dziś będę dla niej grał. No i dla mamy. Dla moich kobiet.

Wiem, że Ewa do mnie wróci. Nie może mieć pretensji o ostatni okres, zwłaszcza że wygrałem. Takiej miłości, jaka była między nami, nie zapomina się łatwo. No i blask „sławy” opromienia. I perspektywy... Z kim jej będzie lepiej niż ze mną?

Andrzej przegrał, trudno, tak w życiu bywa. Ktoś musi przegrać, żeby ktoś inny mógł wygrać. Trochę mi głupio, ale ostatecznie... nie wierzę, żeby odpadł tylko przez Ewę...

Zresztą sam powiedział, że ona zdecyduje. Na pewno przyjdzie za kulisy. I na pewno pamięta moje słowa, że „po konkursie porozmawiamy”...

Jest! Jaka piękna! Szkoda jej długich włosów, ale i w krótkich wygląda prześlicznie. Jak chłopaczek, jak paż. Ktoś coś do mnie mówi, nawet nie odpowiadam, tylko od razu podchodzę do niej.

— Ewa...

- Gratuluję, Grzesiu, cieszę się... inspicjentka zawraca mi głowę jakąś reporterką:

- Czy może pan z nią teraz porozmawiać?

- Nie... Proszę mnie nie denerwować! Po koncercie. Przecież zaraz gram!

To nieprawda. Wcale się nie denerwuję, mógłbym "udzielić wywiadu", ale chcę rozmawiać tylko z Ewą.

— Dla ciebie będę dziś grał, Ewa. Czemu tak patrzysz? Wszystko robiłem dla ciebie. Dla ciebie wygrałem... Będziemy podróżować, zobaczysz. Będziemy mieli piękny dom.

— Grzegorz...

— Wiem, możesz mieć do mnie żal... Ale to już minęło. Najgorsze za nami. I twoja choroba, i mój konkurs. Upierałem się na ten konkurs dla nas, dla ciebie... A to jest dopiero pierwszy krok. W świat! Szeroki.

Czuję, że dziewczyna się łamie, a ta głupia Zośka nam przeszkadza, odciąga mnie od Ewy i robi awanturę. Zupełna idiotka!

Na szczęście przynieśli bukiet storczyków z włoskiej ambasady, więc musiała się odczepić. Nawet nie rozerwałem koperty, tylko znów odszukałem Ewę. Wręczam jej te kwiaty. Widzę, że oczy jej się do nich śmieją, ale wzdrania się wziąć.

— No weź, proszę cię.

Wzięła.

— Zaczekaj na mnie po koncercie, dobrze? Wszystkich spławię. Chcę być tylko z tobą. Urwiemy się...

— Grzesiu... zrozum... tej dziewczyny, którą kochałeś... nie ma już.

Decyduję się na ostre cięcie:

— Kochasz Andrzeja?

— Tak.

Powiedziała to wyzywająco, chyba po to, żeby się zemścić. Zdażyłem jeszcze szepnąć „nie wierzę” i już inspicjentka wypycha mnie na estradę.

Grało mi się lekko, wypoczynkowo. Myślę, „z wdziękiem” przyjmowałem entuzjazm publiczności.

Nareszcie koniec. Uściski najbliższych i dalszych. Reporterka, babka na medal, czeka z magnetofonem. Tysiące radiosłuchaczy słuchało, jak gram, teraz usłyszą mój głos. Umyśliłem sobie, co powiem. Im prościej, tym lepiej. Więc mówię, że dobrze się czuję w klimacie napięcia, że w skrytości ducha marzyłem o konkursowych laurach, ale bałem się o tym myśleć, wierząc, jak poważną mam konkurencję. A jednak się udało. Jestem bardzo szczęśliwy. Na sali są moi rodzice, Moja dziewczyna. Cieszę się, że sprawiłem im radość, że spełniłem ich oczekiwania.

Reporterka jest zadowolona. Nie jąkałem się za bardzo, nie będzie musiała montować taśmy.

I znów serdeczności, gratulacje. Z Andrzejem uściskaliśmy się jakby nigdy nic.

— Cieszę się, stary... — powiedział.

Głupia sprawa. Czy może być szczerzy?

Jeszcze podziękować Tacie, jeszcze mamie dać kwiaty, jeszcze kolacja w „Kamieniolomach”, którą ojciec wydaje na moją cześć.

A może jednak Ewa na mnie czeka?

Nie. Stoi z Andrzejem i kurczowo trzyma go za rękę. Aha! Więc boi się wrócić do mnie. On ją omotał.

Ale ona mu ucieknie! Prędkiej czy później ucieknie!

A jeśli nie...

Przyciska jego rękę do policzka... Może dlatego przeszywa mnie dzika myśl: że mimo wszystko... w gruncie rzeczy... nie on tu jest przegrany...

Bzdura!

Zostać w domu. Albo uciec na wieś do ojca. Nie chcę być wśród nich. Czy Ewa poszłaby beze mnie? Nie, na pewno nie. Ale dowiedziałyby się, ile mnie to kosztuje. I znów zaciążyłby nad nami ten dręczący „dług”. A może... boję się wystawić ją na próbę? Przecież taki sukces musi działać... I to, co było między nimi. Pamięć tego. On się ciągle odgrażał, że „po konkursie”... Teraz wszystko mu samo wchodzi w ręce.

Wszystko, ale nie Ewa. Nie Ewa!

Jeśli zechce wrócić do niego, jest wolna.

Wyobrażam już sobie, jak on jedzie przez świat wspaniałym mercedesem — a ona przy jego boku.

Czy nie tak być powinno? Czy masz prawo ją zatrzymywać? Czy po tej chorobie nie powinna żyć w dobrobycie, w cieplarnianych warunkach? Czyż nie jest do nich stworzona? Wszystko w niej takie kruche, delikatne... Wkrótce wróci ten facet z Algierii. Czy widzisz ją ze sobą w obskurnym pokoiku w rodzaju tego u pani Romy, czy widzisz ją, jak się myje w brudnej łazience, jak smaży na płycie w pokoju jajecznicy? Albo u ojca na wsi obok Małgoški?

A jednak muszę pójść. Tata oczekuje po mnie „fasonu”. I Zośka też. Bratnia dusza.

Trzymam ten „fason”, ale cholernie mi głupio. Czuję fałsz w każdej sytuacji, w każdej rozmowie, w każdym geście. Widzę siebie włóczącego się po lesie, siedzącego nad Świstawką, pracującego z ojcem w polu. Tam dziś powinienem być. Dlaczego ulegam tym kretyńskim „koniecznościom”? Ciągle chcę coś udowodniać sobie, światu, innym. A najważniejsze to być sobą, i niech się dzieje, co chce.

Przepuścić przez siebie ten strumień. Rozluźnić się. Niech odpadną maski, gorsety, pancerze. Wrócić do źródła. Gdzie wszystko jest prawdziwe. Własne. Ale to znaczy wystawić się na mróz, na szyderstwo, na upał, na ciosy. To znaczy żyć całkiem nie osłoniętym. Kto to zniesie? Nie ma wyjścia. Pragnienie i niemożność. *Źle, źle zawsze i wszędzie.*

Jeśli ma odejść — nie zatrzymasz jej „odwagą”. Dlaczego krzywdzisz ją brakiem ufności?

Jest dumna. Nie zostawi mnie właśnie dlatego, że jemu świeci dziś słońce. Będzie jej wstyd tak zrobić.

Ale czego naprawdę pragnie? Czy dowiem się kiedy? Nigdy się nie dowiem.

Tata taki sztucznie wesoły i naprawdę serdeczny. Tak na siłę chce mnie pocieszyć i podtrzymać na duchu.

Skończył grać. Już jest tu, za kulisami, otoczony tłumem... przyjmuje gratulacje, ale widzę: jego rozbiegane oczy szukają jej. A ona stoi obok mnie i trzyma te wspaniałe, sztywne kwiaty, których nie mógłbym jej kupić za całe moje stypendium, a które on jej dał — ot tak, jak bukietek fiołków.

Muszę jej to ułatwić. Zawieruszę się gdzieś teraz, żeby mogła z nim odejść, jeżeli zechce. Przed koncertem długo ze sobą rozmawiali. Odsuwam się od niej leciutko i cofam do tyłu. Ale ona chwyta mnie za rękę. Usiłuję się uwolnić. Daremnie. Trzyma mnie mocno, kurczowo. Spojrzałem na nią.

Patrzy na mnie — w jej oczach jest strach, czy to tylko moja imaginacja widzi strach w jej oczach. Czego się boi? Jej oczy krzyczą, żebym jej nie opuszczał, żebym jej bronił, żebym nie pozwolił odejść do niego. Boi się siebie? A może to niepokój serca? Dla kogo bije? Dla mnie? Dla niego?

Podnosi moją dłoń i przytula ją do policzka i ukradłem od wnętrza całuje. A jej oczy śmieją się do mnie. I nagle wszystkie moje głupie strachy rozpięchły jak stado gołębi spłoszone radosnym krzykiem dziecka.

